

Corocznie 52 tomy.

Bezpłatny Dodatek tygodniowy do „Gazety Polskiej”.

WYBÓR PISM
Klemensa Junoszy.



ŻYWOŃA I SPRAW
IMÓ PAŃA
SYMCHY BORUCHA KALTKUGI
KSIĄG PIĘCIORO.

Część 1.



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej”.
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

Co tydzień książka

WYRÓB PISM
KLEMENSA JUNOSZY.



83242/1

K-46/28/89593

J.R.

KSIĘGI PIERWSZE.

**O zacnej rodu Kalkugłów prozapii, tudzież o dziecię-
nych Imć pana Symchy leciech.**

Ten jest odwieczny autorów przywilej, że jako drogich kruszców kopacze z łona ziemi, tak oni z ksiąg, tradycyi, ze starszych ludzi opowiadań, a wreszcie z własnych eksperyencyi i dociekań — znaczne i drogie mogą wydobywać rzeczy; a jako szacowny jest dobyty z gór wnętrzości minerał, tak też, według rodzaju swego, szacownym był i jest ród Kalkugłów, którego jednej latorośli dzieje tu się właśnie na papierze wyklada.

Nie będzie powiedziano, że gniazdo to bylejakie

i pospolite, bo od wielu a wielu wieków odznaczało się ono niezwykłemi cnoty. Roztropność jego jeszcze w zamierzchłych słyęła czasach: wstrzemięźliwość, co do pokarmów zwłaszcza i napojów, po dzień dzisiejszy podziw słusznie wzbudza; że zaś z męstwa ród ten nie słyęł, natomiast sprawiedliwości aż dwa rodzaje sobie stworzył: jeden na własny użytek mając, drugi zaś do innych ludzi przystosowywał, nie wynosząc się z tego, ani próżnej nie szukając chwały.

I innemi jeszcze cnoty jaśniał. Członkowie jego byli w miarę i według potrzeby pokorni, powściągliwi, pobożni i cierpliwi... do czasu. Szczodrobliwość ich mniej w dziejach jest znana. W wysokiej zawsze cenie mając czystość, ochędóstwo za niepotrzeby zbytek i próżny wymysł ludzki poczytywali, tej się trzymając zasady, że nie szata człowieka, ale człowiek szatę zdobi.

Za daleko w przeszłości dziejowej manowce zaprowadziłoby nas początków tego rodu badanie, nie pójdziemy tedy do patriarchy Noego korabia, ani na przesłoniałą żonę Lotową patrzeć będziemy, ani do Egiptu, ani ztamtąd, przez puszcę, do Chanaanejskiej ziemi nie pójdziemy, ani o zaprowadzeniu do, ani o wyprowadzeniu z niewoli babilońskiej i assyryjskiej opowiadać mamy, ani też o smutnej chwili rozproszenia wspominać. Opisane to już jest wszystko z dawien dawna i znane światu dokładnie.

I śladami rozproszonych isć nie będziemy, ani im w długich wydrówkach towarzyszyć, ale wprost wszelkie boczne i okólne omijając ścieżki, na nadwiślańskie podążymy równiny, na żywe onych pola, woniejące łąki, do czarnych, ongi szeroko ciągnących się borów.

Żyli tam przed wiekami prostaczkowie spokojni, żywe skiby orali, tłuste wolce paśli, smaczne miody sycili, — jedząc, Pana Boga chwając, siedzieli jakby za światem.

Bywało, zajrzał do nich kto dobry, to go słowem życzliwym, chlebem i solą przyjęli; zły napadł, bronili się, jak mogli, i odpędzali od granic. Nawiedzali ich goście źli lub dobrzy, aliści jednego razu zjawił się gość dziwny.

Nie miał w dłoni miecza, ani oszczepu — więc wrogiem się być nie zdawał; nie chciał zasiąść do misy mu podanej, ani w dzbanie ust nie umoczył — więc snąć i przyjacielem być nie pragnął. Oblicze miał od żarów opalone słonecznych, pociągłe, włos czarny, spojrzenie przenikliwe, postać zawiędlą i jakby ciężarem jakimś na barkach przytłoczoną.

Usiadł przybysz ów na uboczu, i nie patrząc na mięsiwa parą dymiące, ani na chleb świeży, ani na dzbany miodu pełne, cebulą z sakwy dobytą się posilał i wodę ze strumienia pił. Poczem skłonił się przeto-

żonym i starszym, aby mu na ziemi tej pozwolono pozostać. Jakoż, iż nie był chciwy na dostojęstwa i zaszczyty, ani na wet posiadania ziemi, choć wielka pól mnogość odłogiem leżała, nie pożądał, — przeszkody mu żadnej nie czyniono i osiadł.

Za owym przodkiem Kaltkuglowym ściągając zaczęli jego bracia powinowaci a krewni — gromadą się to wszystko trzymało, swoim dworem żyjąc, swoją mową mówiąc, obyczajem i prawami swemi się rządząc. Nikt im w tem wstrętów nie czynił, a i oni niewiele komu zawadzali.

Rolnik orał, siał, zbierał, bydło a konie hodował — oni gotowe ziarno i bydło odhodowane kupowali; łowiec po borach, puszczech, po kniejach niedostępnych za zwierzem się uganiał — oni skóry z ubitej kupowali zwierzyny; a natomiast z obcych krajów, z za morza takie sprowadzali objekta, jakich ziemia tutejsza nie rodzi, — takie złotogłowia i tkaniny, jakich tu nikt zrobić nie potrafi.

I tak się oto stało i tak w obyczaj weszło, że jakikolwiek grosz w te strony popłynął, albo li też z tych stron wypływał, zawsze, niby woda przez słuzę, przez ręce owych przodków przechodził i co nieco palce im zwilżał.

Jeśli budować domy i składy, i piwnice i śpichlerze, i zapęlniać je kupią wszelkiego rodzaju, od żyta

aż do pieprzu, od oleju i smoły do małmazji, od płótna, ręką wiejskiej utkanego niewiasty, do racimorów, karmazynów, kunsztownych, złotem przetykanych materyi.

Bogacili się, biednieli, odradzali się znowuż, jako grzyby, co chociaż jednego lata wybierane, na drugie jeszcze gęściej i obficie, jeżeli pora sprzyja, powschodzą.

Z takich to przodków wywodzi się Kaltkugłów ród przezacny. Próznoby rycerzy w nim szukać, bo się jego członkowie nie imali miecza, a sam widok samopału, rusznicy lub choćby guldynki strachem ich serca napełniał i wszystko ciało w srogie drzenie wprawiał, — ale pieniążników i handlarzy siła w nim było, a takich, co w księgi nabożne cały swój żywot włożyli, więcej jeszcze.

Nie jest dla opowieści niniejszej niezbędnem, aby drzewo rodu Kaltkuglowego malować i, za kolejną czasów idąc, spisywać, jako Szłoma zrodził Abrama, Abram Borucha, Boruch Pinkusa, Pinkus Rubina i braci jego. Wieleby na to trzeba spotrzebować papieru i inkaustu, bo drzewo bardzo już starożytne jest, a liczba pokoleń mnoga. I to jeszcze dodać należy, że ród ów zawołanie miał inne, a nazwisko Kaltkugel spadło na jedną szlachetnego szczepu latorośl dopiero w tem stuleciu, na którego koniec własnymi naszymi oczami patrzymy.

Nadał je pradziadowi Imię pana Borucha amtman pruski, którego nazwisk żydowskich dystrybutorem i rozdawcą uczyniono. Krotochwilny Szwab był, a iż mu od piwskiego mocnego do głowy uderzały wapory, przy czynności swej żarty różne wyrabiał.

Ów mąż, co pierwszy nazwisko Kalkugla dostał, innem ród swój przyozdobić chciał mianem; ale piękne nazwy drogo kosztowały, a że człek ten wiele o honory nie dbał i nierad sakiewkę rozwiązywał, więc Prusak ordynaryjnie Kuglem go nazwał i za to całego talara żądał; gdy mu zaś tego nie dano, na urągowisko jeszcze „kalt“ do „kugla“ przyrzucił, i ztąd nazwa Kalkugel powstała.

A zamieszkał był ów pierwszy Kalkugel w miasteczku podłem na wejście, lecz znacznem w handlu i bogatem.

Domostwo jego stało między innymi w rzędzie, na wielki rynek patrzące, a tyłami do pola obrócone. Tam się pokolenia Kalkuglów chowały aż do Dawida, ojca Symchy Borucha, którego spraw i żywota dokładne opisanie jest właśnie naszym przedsięwzięciem.

*

*

*

Jest chwila, w której się mocno niepokoją wszystkie złe duchy, zaludniające świat.

Przerażone i strachem wielkim zdjęte są duchy leśne, polne, domowe, nocne, a wszystkie szatana dzieci rodzone, ze złych uczynków ludzkich, niby z jaj podłe gady, wylęgłe, rodzicowi swemu posłuszne, na zgubę ludzką dybiące. I kiedy ich niepokój i trwoga ogarnie, wówczas do walki się sposobią, wszystkich drózek i ścieżek pilnują i, niby straża mocne, obsadzają wszelkie drzewa, okna, dachy, piwnice, wszelkie szczeliny w ścianach, wszelkie otwory najdrobniejsze, przez które tylko powietrze może się przecisnąć. Roją się one jak pszczoły koło domostwa, w którym ma się stać to, co ich obawą i przerażeniem napędza. Taki strach na całe pokolenia i zastępy złych duchów pada zawsze wówczas, kiedy z pnia Izraelowego ma nowa wystrzelić latorośl.

Rzecz to dla nich w wysokim stopniu nieprzyjemna i przykra; sam Belzebub wówczas zgrzyta zębami i całe zastępy duchów złych i najgorszych wypuszcza, aby tę spodziewaną i oczekiwaną latorośl w jakikolwiek sposób uszkodziły.

Jest jednak mądrość na mądrość i jest sposób na sposób,— a że ów bój z nieczystą siłą od dawna prowadzi się i trwa, przeto wielcy myśliciele mieli dość czasu, aby wynaleźć broń skuteczną do walki, utworzyć zaklęcia potężne, które, niby tarany i kusze, mogą zmiażdżyć złą siłę.

Imię pan Dawid Kaltkugel, człek naonczas jeszcze dość młody, gdyż szesnaście wiosen sobie liczył, współ ze swą małżonką Imię panią Dawidową, z zacnego domu Migdałów, od roku już blisko zaślubieni — mieli swoje ubikacye w jednym rogu stancyi, przez ojca pani Dawidowej dzierzawionej; tam były wszystkie ich lary i penaty złożone, tam mieli pościel swą i szatnię z odświętnem odzieniem.

Nie była to oczywiście książęca siedziba, gdyż stary Imię pan Migdał, chociaż znaczny kupiec, który sklep z miotłami i ze smołą utrzymywał, nie ubiegał się o zewnętrzne splendory, tyle miał bowiem w duszy własnej przeświadczenia o swym wysokim splendorze i godności, że o sądy ludzkie nie dbał wcale.

Gdy mu się uśmiechnęła nadzieja, że wnuczka mieć będzie, bardziej jeszcze głowę do góry podniósł i przyśpiéwował sobie w chwilach wolnych. Nie zapominał atoli i o tem, że złe duchy mogą mu psotę wyrządzić — i, zabrawszy się do robót współ z zięciem, poowieszał wszystkie drzwi, okna i ściany swej stancyi karteluszami, na których misternie wypisane były najstraszniejsze i najpotężniejsze zaklęcia; — co uczyniwszy, zapalił fajkę i czuł się tak bezpiecznym, jakby wśród murów warownej twierdzy, niedostępnej i niezdobytej.

Toż samo uczynił zięć — i tak siedzieli obaj zatopieni w myślach, milczący, otoczeni obłokiem sinawego dymu, co się rozwłóczył po stancyi, jak mgła ciężka, gdy jesiennym rankiem łąkami się wlecze.

Nie zważali na zwykłą krzątanicę niewiast, na ich drobne a zawzięte kłótnie, na wrzask dzieci, bijących się o skórkę chleba. Podnioslejszemi zajęci myślami, byli niby głusi i ślepi na pospolite i marne codziennego żywota sprawy.

Straszna i pamiętna była noc z dwunastego na trzynasty czerwca onego roku. Po dniu zupełnie jasnym i pogodnym, skoro tylko słońce zaszło, zaczęły się gromadzić chmury czarne i złowrogie. Niby goniec wielkich i potężnych wiatrów, przyleciał mały wietrzyk, psotnik krotochwilny, uwijał się po uliczkach, podchwytywał z ziemi kurz, śmiecie, papiery i rzucał je wprost w okienko tej stancyi, w której siedział Imię pan Dawid z teściem swoim panem Migdałem.

Widząc, co się dzieje, obaj spojrzeli po sobie i zrozumieli się doskonale, przyczem i jeden i drugi taki ruch wykonał, jak gdyby całym ciałem jego dreszcz nagły wstrząsał.

Wietrzyk tymczasem figlował po ulicach ucieśnie i zaczął przechodzących, nie patrząc ani

na wiek, ani na pleć, ani na stanowisko znaczne. Uczonych ludzi targał za pejsy i rozdmuchiwał im długie brody, poważne matrony za spódnicę chwycił, jednemu mężowi, co znaczny urząd pełnił w kahale, zrzucił z głowy czapkę z przedniego aksamitu w kurz uliczny, zmuszając tem niejako dostojnika, aby się schylił aż do ziemi i oddał mu pokłon — co też mąż ów, rad nierad, splunąwszy poprzednio dla ostrożności, uczynił i czapkę z prochu podniósł.

Widział to wszystko z okna Imé pan Dawid, gdyż noc nie ogarnęła była jeszcze ziemi zupełnie, widział, zrozumiał i teścia swego w łokieć delikatnie trącił.

Obaj spojrzeli na kartelusze i zapalili fajki.

Tymczasem wietrzyk, psotnik krotochowilny, uciekł. Jak nie wiadomo, zkąd przyszedł, tak nie wiadomo, gdzie się podział, zniknął, przepadł, jak kamfora gdy ją w niezamkniętem naczyniu kto nieopatrznie zostawi.

Po figlach wietrzyka nastąpiła cisza solenna, taka cisza, że człowiek mógł słyszeć własnego serca kołatanie, tudzież szmery, jakie różne insekta, po chropowatych ścianach izby wędrując, drobnymi swemi łózkami czyniły. Tak cicho leży przyczajony dziki zwierz, gdy się na niewinne koźle ma rzucić. W powietrzu zrobiło się dziwnie duszno i parno, go-

raço przenikało do siedzib ludzkich i czyniło je podobnemi do łaźni.

Imé pan Dawid i jego teść poczerwienieli mocno na obliczach, a czoła ich pokryły się grubemi kroplami potu.

Nagle straszny wicher się zerwał. Ryczał on niby zwierz dziki. wstrząsał szybami w oknach, a w kominie takie nadzwyczajne jęki, wycia i skomlenia wyprawiał, że najodważniejsi nawet mężowie, dla których rzucić sporo pieniędzy na niepewne jest głupstwem, głowy pod pierzyny schowali, tak ich tchórz od tych głosów nadzwyczajnych obleciał.

Całe miasto, jak się wyżej rzekło, dość podłe na wejście, jeszcze się podlejszem a prawie zupełnie marnem stało; a kiedy błyskawica, obłoki przernąwszy, oślepiającym oblała je światłem, to domostwa szare, niskie, odrapane, wyglądały niby gromadka przestraszonych kurcząt, nad któremi kania się unosi.

Tej nocy strasznej uderzał grom po gromie, w górze huk był nadzwyczajny od grzmotów, na ziemi szum od ulewy, potokami zalewającej uliczki. Ziemia zniknęła pod wodą i, zdawać się mogło, że na dachach wielka moc doboszów zasiadła i w bębny co się łomocze — taki był loskot straszny i trzeszczenie; a gdy się jedne chmury wyczerpały, wnet nadcho-

dzily drugie, i nawałnica znowuż się srożyła z wściekłością.

Próżnym byłoby trudem opisywać drobiazgowo, co się działo tej nocy: jako woda przez dachy dziurawe i uszkodzone powały na bardzo szanowne głowy kapala, — jako się fale jej wdzierały do sieni, a nawet do stancy przez progi, jako przerażone niewiasty poduszkami zatykały szyby wybite, a dzieci z wielkim wrzaskiem i lamentem chowały się za piece.

Próżny byłby to wysiłek i trud nadaremny.

Imć pan Dawid Kalkugel, aczkolwiek człowiek dzielny i mężnego serca, tyle się onej nocy strachu najadł, aż się później własnemu nie mógł dość nadziwić obzarstwu; drżał, trząsał się, dygotał, i zajmowała go tylko jedna myśl: czy wyjdzie cało z tego rozpasania żywiołów, czy chałupa wraz ze stancją, teściową, z jego własnym kątem, ruchomościami i nadzieją w sercu pieszczoną, nie zostanie zdmuchniętą z powierzchni globu, jak pyłek drobny; czy kunsztownie zapisane kartelusze będą w sobie miały dość siły, aby się oprzeć zjednoczonej potędze złych duchów, które tak wielką mocą uderzyły, aż ogromne drzewa się zatrzęsły.

Atoli ludziom uczonym na chwałę, Belzebubowi na urągawisko, wszelkim złym mećom na wstyd i po-

hańbienie, nad ranem dało się słyszeć w kącie płaczliwe kwilenie dziecięcia, a w moment później wschód jasny, niby z wielkiej, złocistym płynem napełnionej czaszy, nalał pełną stancję pięknego blasku, który jasnością wszystkie kąty napełnił.

Na drzewach, na krzawkach wisały jeszcze grube, przezroczyste krople wody, właśnie jako łzy na oczach dziecka, co dopiero płakać przestało, a już się śmiać zaczyna.

Zerwał się tedy Imć pan Dawid, zerwał teść Imć pan Migdał, obadwaj rzeźcy, weseli, otuchy pełni, i z nowej rodu Kalkuglowego latorośli ucieszeni setnie, tem więcej, że nie była to dziewczyna, mało znacząca istota, ale mąż, zapewne przyszła chlaba rodu i jego ozdoba, a następnych pokoleń podpora i filar.

Osiem dni jeszcze od tej chwili szczęśliwej, w której syn Imć pana Dawida światło dzienne ujrzał, do chwili obrzędowego wprowadzenia go do prawych izraelitów grona, złe duchy mogły do kolebki szturmować i psoty młodemu obywatelowi wyrządzać. Słusznie więc dziadek i ojciec o wzmocnionej pomyśleli ochronie i podwoili liczbę karteluszków na drzwiach, oknach i ścianach. I leżało niemowlę w kącie rodzicielskiej izby, niby w opasaniu murów wa-



rownym, i było pod strażą wielkich zakłęb bezpieczne od oka szkodliwego, od urzeczenia, od złej godziny, od wszelkich psot, jakie umieją czynić sładzy piekiel.

Imé pan Migdał, aczkolwiek w potęgę kartek ochronnych mocno wierzył i wielką ich wartość dokładnie rozumiał, jednak, dla tem pewniejszego bezpieczeństwa, handlowe swe sprawy zaniedbując, na progu stancyi z fajką w ustach zasiadał, pilnie strzegąc, aby czy to jaki podejrzany człowiek, czy też zwierz brzydkiej maści do izby nie wszedł i złego z sobą nie przyniósł.

Siedział tedy czeigodny dziadek na progu, brodę prawie na kolach wspierając, a choć mu w tej pozycyi nie było wygodnie, jednak placu dotrzymał i ze stanowiska nie ustąpił.

Parolista był wielki Imé pan Migdał i w całym mieście znano go jako człowieka wielkiej stateczności i powagi. Nie patrzano na to, że podlejszym towarem, jak miotłami i mazią, kupeczył, lecz szanowano w nim zacność ducha.

Wypełniło się na reszcie dni ośm. Do domu Imé pana Kaltkugła zaczęli się schodzić mężowie, których liczba była dziesięć; kroczył na czele tej dekady Imé pan Abram Dawid Kołowrotek, mąż tuzszy dobrej i wzrostu słusznego; za nim Imé pano-

wie: Chana Majer Sz wajbel, korzennik i kupiec znaczny,—Józef Mendel Kaltbier, mizerny na obliczu, ale silny duchem obywatel i szynkarz,—Uszer Gdala Chomont, dzierżawca myta drogowego, wielki znawca świata pozarogatkowego, — Abuś i Lejzor Rosendornowie, bracia rodzeni, handlujący owsem,—Moszek Icek Gips, utrzymujący zajazd,—Szloma Apelsiner, staruszek, ex-pachciarz, właściciel domostwa, położonego na rynku—i Aron Mendel Pikies, felczer, tak dalece w medycynie biegły, jak gdyby wszystkie źródła wiedzy Hipokrata wypił. Znana była szeroko i głośno jego fachowa biegłość, zwłaszcza w stawianiu baniek, których cierpiącym nigdy nie żalował, w słusznem mniemaniu, że gdy zła krew będzie odjęta, dobra na to miejsce przyplynie.

Takie godne w stancyi Imé pana Dawida Kaltkugła zebrawszy się towarzystwo, po dopełnieniu obrzędu, przyjemnym zabawiało się dyskursem, który tem był weselszy, że dziad nowonarodzonego, Imé pan Migdał, honeste bardzo wystąpił, nieco pieprznej zupy i rodzynekowej małmazyi na stół postawiwszy.

Mężowie życzliwi domowi i rodzinie powinszowania składali, życząc szczerze, aby do późnych lat podobną uroczystość co roku mogli święcić i rodowi Kaltkugłów pomnożenia winszować. Pod koniec

uczty fajki wszyscy pozapalali i napełnili niską stancję wonnym, aromatycznym dymem tak dalece, że bohater uroczystości w silny kaszel wpadłszy, omal się nie udusił. Dziadzio drzwi na oścież otworzył i tem wnuczka od przygody niedobrej ocalił.

Dano niemowlęciu temu dwa imiona bardzo piękne: Symcha — co znaczy *radość*, i Boruch — co się wyrazem *blogosławiony* wyklada, a dano mu zasię dwa imiona dla przyczyn słusznych: 1-o, że ogólnie lepiej mieć dwa, aniżeli jedno, i 2 o, że, wobec zaciągów do rycerstwa, na dwóch imionach, niby na dwóch rumakach, można niekiedy szeregi ominąć. Tak, czy owak, dość, że postanowiono, iż młodziuchny Kalkugel dwa będzie nosił imiona, i wierzone w to mocno, iż potrafi nadać im dość blasku i świetności.

Gdy się mężowie gościnnie przyjmowani rozeszli, Imć pan Dawid kartusze, jako już niepotrzebne, pozdejmował i do zwykłego zatrudnienia się zabrał — to jest poszedł na rynek, gdzie się dużo kupców zbierało, i różne najświeższe nowiny chciwem uchem łowił.

Czas biegł, a niemowlę, najmłodsza rodu lato-rosł, chowało się doskonale, z każdym dniem nowe okazując zalety i zdolności. Było ono bardzo delikatne i piękne tak dalece, że wzbudzało podziw rodziców, dziadka i sąsiadów, którzy też, spędzając

urok na psa, nachwalić się młodego Symchy nie mogli.

Godzi się o tej delikatności nieco obszerniej powiedzieć, gdyż jako w młodym zrebku wnet się objawiają cnoty lub wady, które kiedyś jako rumak mieć będzie, tak i w dziecięciu człowiek się przyszyły w różnych drobnych objawach zapowiada, jakim być ma. Te bacznie obserwując drobiazgi, łącno jest przy pilności siakie takie wyprowadzać konkluzye.

Że się zaś to ziele domysłów najobficiej w sercach rodzicielskich rozkrzewia i tam dla siebie grunt dziwnej żyźności znajduje, przetoż oboje Ichmość państwo Kalkuglostwo, imaginacyi bujnej popuściwszy wodze, cudne przyszłości gmachy budowali dla swego synaczka. I jako dwa na fluktach rozbujałych korabie śmiało ku nieznanym a wymarzonym płyną krajom, tak ich myśli lotne w słoneczną, blasków pełną szybowały przyszłość. I widzieli go oczyma dusz swoich już to jako męża powagi i uczciwości wielkiej, odzianego w futro przednie, w czapkę kosztowną, jako siedzi nad wielkimi folianty i świat cały mądrością zadziwia, — to znowuż jako pieniążnika i bogacza, na tratwie z drzewem i zbożem do niemieckich płynącego krajów.

To przyjemne horoskopów stawianie nieraz nawet sporów małżeńskich bywało powodem, gdyż Imć

pan Dawid, bardziej niż czego innego, honorów i sławy mędrca dla syna swego pożądał, gdy tymczasem jejmość, mniejsze swem niewieściem okiem obejmując horyzonty materialnych bogactw raczej pragnęła.

I widziała go w myśli swojej, jako się poważnie wśród składów swoich przechadza, gdzie pieprz, gdzie cynamon, gdzie szafran, gdzie nagromadzenie cukru, kawy, fig, rodzyneków, daktyli—ogromne: widziała go, jak do piwnic schodzi, gdzie beczki liczne na legarach spoczywają, gdzie szeregi butelek na półkach leżą, gdzie się liczna czeladź uwija. Widziała domostwo jego z wielkim podwórzem i stajniami, ze stancją dla honoratiores i izbami dla zwyczajnego plebsu, widziała, jak domownicy jej syna trunki przeróżne w beczkach toczyli, a on, jedną rękę za pas zatkanąwszy, drugą wielkie pieniądze do skrzyni zgarniał, od czasu do czasu piękną, rozłożystą brodę swoją gładząc.

Różność poglądów ojca i matki na przyszłość i szczęście jedynaka nieraz bywała powodem sporów i sprzeczek małżeńskich, które—ile że Imć pani Dawidowa była temperamentu kolerycznego i przy lada okazji o garncu wrzącą wedą napełnionym wspominała—tem się zazwyczaj kończyły, że Imć pan Dawid na podwórko uciekał i tam już bez żadnej prze-

szkody dalsze plany wysnuwał, lub udawał się do teścia do sklepu, gdzie się przyjemnym zabawiali dyksursem.

Młodociana latorośl Kalkugłowego rodu szybko rosła i sił nabierała, i nie upłynął nawet rok czasu, kiedy infant ten już się zaczął na ziemię do chodzenia samowolnego rwać, przyczem całą stancję ostrymi napełniał krzykami, jakby tem chciał dać poznać, że istotnie kiedyś głośnym człowiekiem się stanie.

Tak rozpoczynał Imć pan Symcha Boruch żywot swój, swoje „siedm światów“; bo i to wiedzieć nie zawadzi, że, według zdania dawnych myślicieli, którzy z dziwną rozumu bystrością wszystko, co jest ludzkie, badali, cały żywot człowieczy na siedm podzielony jest światów, i prawie każdy od urodzenia swego, aż do powrotu w łono ziemi, przechodzić je musi, notandum, o ile go śmierć przedwcześnie do innego nie zabierze żywota.

Tych siedmiu światów ludzkich następujący jest porządek: Dwa lata zabawia się człowiek w pierwszym świecie i podobien jest wówczas królowi. Każdy mu się kłania, każdy mu dary składa i z widoku jego ma ucieszenie.

A gdy się dwa lata wypełnią, wchodzi w świat drugi, stając się podobnym wieprzom nieczystym—tak

samo albowiem, jak i one, w błocie się tarza, a wszelką obrzydliwość do ust bierze. Umorusany jest i brudny, że go w dziewięciu wodach obmyć niesposób. W tym drugim świecie, zgoła szpetnym i niemiłym, nie długo człowiek przebywa, bo w rok lub dwa później otwiera się przed nim świat trzeci, najprzyjemniejszy może. Żwawe, wesołe pacholę podobne się staje kozłęciu; biega, bryka, figle ucieszne czyni, niewinne psoty wyprawia—i już się nim rodzice, krewni i powinowaci dość ucieszyć nie mogą.

Ten jest świat trzeci, a po za nim natychmiast czwarty się otwiera — z pacholęcia robi się wyrostek, niby żrebiec dziki, nieujeżdżony a hardy. Aliści znajduje się i na niego uzda mocna i wędzidło twarde. Żenią go —i wtenczas wchodzi w piąty świat, stając się podobnym osłowi. Pod ciężarem obowiązków, jakie wkłada na niego małżeństwo, idzie on ze zwieszoną głową i nie w myśli mu już wówczas ani krotochwile ucieszne wesołego kozłęcia, ani harcowanie żrebca, którego nadmiar sił młodych do skoków szalonych pobudza.

W szóstym świecie żywota, gdy już jest liczną obarczony rodziną, gdy go nieustannie utrapia pytanie: czem oną sercu miłą a głowie ciężką konsolację wyżywić?—człowiek jest jako pies: biega tu i owdzie, węszy, gdzieby co zyskać, tu bierze, tam daje, czasem

nawet przychodzi aż do bezczelności — i to już jest przedostatni świat żywota.

Ostatni, od piątego i szóstego smutniejszy — to starość.

Zmienia ona i oszpeca twarz męża i gadatliwym go czyni.

Wówczas lubi się on bawić, jak dziecko, ale nie jest tak jak ono lubionym, owszem—ciężarem się dla innych wydaje.

O tych wszelako smutnych siódmego świata perspektywach słusznieszka będzie, jak na teraz, przemilczeć i do właściwej Symchy Borucha historii powrócić.

O pierwszym i drugim świecie jego żywota niewiele jest do powiedzenia.

W pierwszym, już-to na rękach swej rodzicielki, Imć pani Dawidowej, już-to w kolebce, słodkiego używał wywczasu i hołdy obojętnie przyjmował,—wyjątkowo tylko, gdy mu do nich makagigę lub piernik dodawano, radość okazując; w drugim arte po ziemi się tarzał i grzebał w śmieciach, które w obfitości wielkiej w domu rodzicielskim znajdował.

Kiedy już cztery lata ukończył i stał się niby młode kozłátko uciesznym, wówczas rodzic jego z Imć panem Migdałem, teściem zacnym, który wiel-

kie wnuczkuwi swemu okazywał przywiązanie—wałną odbyli naradę.

Że to zimowa pora była i mrozy srogie onymi panowały czasy, przeto się Ichmościowie naradzali pod piecem. Miłe ciepło rozchodziło się im po grzbietach, dużo się do przyjemności dyskursu przyczyniając.

Imć pan Migdał, rodzinne szanujący tradycje, a zarazem podziwu godną obdarzony pamięcią, szeroko się nad rodami zarówno Migdałów jak i Kaltkugłów rozwodził i liczne bardzo uczonych dziadów i pradziadów wyliczał szeregi, co oczywiście do słusznego prowadziło wniosku, że z czasem i mały Symcha Boruch w sławie antenatom swoim dorówna, a może ich nawet przewyższy. Nieby w tem nadzwyczajnego nie było, zaś dziecka tego delikatność fizyczna argumentu contra nie stanowi, gdyż i maleńki orzeł, gdy się z jajka wyłupi, nie wzbija się od razu pod obłoki, lecz wprzód pisklęciem jest niedołącznym i na wejrzenie brzydkiem.

Mały Symcha Boruch szpetnym bynajmniej nie był, owszem, piękną nawet, zdaniem znawców, odznaczał się powierzchownością. Oblicze jego było niby alabaster, jaki we wnętrznościach gór italskich kopią—białe, gdzieniegdzie żółtawemi nakrapiane centkami; oczy barwy mieniającej się, niby pi-

wnej, niby zielonkowatej, coraz inne przybierającej odcienia; a włosy miękkie, kręcone, przypominały najprzedniejszy szafran. Kompleksyą zbyt silną się nie odznaczał i drugiego Samsona nie zapowiadał; to jednak rodzicom nie przyczyniało zmartwienia, przypuszczali bowiem, i słusznie, że wielki duchem urośnie i jako taki wielkie zdobywać będzie splendory.

Ani się domyślał nawet mały Symcha Boruch, o czem rodzic jego wraz z dziadkiem dyskurs pod piecem prowadzą, i że on właśnie jest głównym tego dyskursu przedmiotem. Wesoly niby ptaszę polne, bez troski o jutro, siedząc na podłodze, trojakiem miedzianym się zabawiał, wielką ztąd mając uciechę, iż mu dziadzio tę monetę, na początek, z dobrem życzeniem i stosowną nauką moralną, ofiarował. Bawił się tedy mały chłopczyk owym numizmatem szanownym, z którego rąk ludzkich miliony wszelkie napisy już starły, podrzucał go do góry, to znów przypatrywał mu się bacznie, to szukał takiej skrytki za piecem, gdzieby ze wszelkiem od złodzieja bezpieczeństwem skarb swój mógł schować.

Tymczasem dyskurs ojca z dziadkiem już do konkluzji dochodził ostatecznej. Zgodzili się Ichmościowie na jedno, że czas młodziuchnego jelonka

do krynicy ożywezej mądrości doprowadzić i dać mu poznać smak onej wody, którą przez długie lata napawać się powinien.

Szło już tylko o wybór przewodnika, któryby małemu pacholęciu pierwsze do krynicy wiodące pokazywał ścieżyny i za rączkę go wśród manowców abecadła prowadził.

Po dość długiej naradzie wybór został dokonany; ojciec i dziad zgodzili się na jedno, że zśród wielu mężów, naukę w onem mieście krzewiących, najbardziej wybitnymi zdolnościami i erudycją głęboką odznacza się niejaki Imć pan Chaskiel Klopman, człowiek posunięty w latach, a więc przez to samo nie nowicyusz, lecz przeciwnie — w doświadczenie bogaty.

Jakoż zaproszono pana Chaskla, aby przyszedł; a gdy na wezwanie się stawił, na honorowem go miejscu pod piecem posadzono.

Wysłuchawszy propozycji, Imć pan Klopman w te się odezwał słowa:

— Chwalebna i słuszną jest rzeczą chłopca do źródła mądrości prowadzić, słuszną i chwalebna jest rzeczą weześnie naukę zaczynać, boć, jak waszmościom wiadomo, czem skorupa za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

— Prawda — rzekł Imć pan Migdał, znacząco

poruszając oczyma i nosem, — wszyscy trzej, jak tu jesteśmy, nasiąkaliśmy od lat najmłodszych i nikt nie zaprzeczy, że czuć nas cokolwiek zapachem starych ksiąg, gdyż przenośnie mówiąc i w duchowem to rozwijając znaczeniu, jesteście niby trzy szafy napełnione faliantami.

— Obym tak piękne życie miał — odezwał się, gładząc brodę, Imć pan Chaskiel, — jak piękne słowo wyszło z ust waszych, godny panie; i nie skłamię, twierdząc, że takie właśnie zdania mają dla mnie smak najprzedniejszego miodu. Ojcowie i dziadkowie nasi mawiali, że nauka jest to najdroższy towar, czyste złoto.

— Złoto, złoto — potwierdził Imć pan Dawid, kiwając głową; — a powiedzcie, panie Chaskiel, ile żądacie za naukę?

Mistrz wymienił cyfrę i wnet teść z zięciem, jak gdyby niewidzialną podrzuceni siłą, nagle się z pod pieca na równe nogi zerwali i, jako dwa na tokowisku głuszcze, kiedy ich wielkie paśye porwą, do mistrza przyskoczyli, obadwaj na obliczach zaczerwienieni mocno. On, jak siedział, tak siedział poważnie i z fajki dym obojętnie pociągał.

— Jesteście waszmościowie — rzekł po chwili — w niezgodzie z dobrym myśleniem porządkiem; sami przyznaliście dopiero, że towar mój jest czyste złoto,

a teraz chcecie, abym go waszemu dziecku oddawał po ce wie śmieci! Z czystym sumieniem powiadam, że czynicie wcale nieprzystojne figle.

Na to Imé pan Migdał, uspokoiwszy się z pierwszej pasyi — która, jak wiadomo, zawsze najgorętszą bywa — i znowuż pod piecem usiadłszy, dłuższą rozpozczął przemowę.

Wyraził w niej, że wartość największego skarbu ma w istocie nauka, ale w swoim całokształcie, który jest tak wielki, że go rozum ludzki objąć nie może; ta zaś odrobinka, jaką ma otrzymać od Imé pana Chaskla mały Symcha, jest tylko kropelką z oceanu. Gdzież więc sprawiedliwość, aby ktoś kroplę jedną biorąc, i za cały ocean miał płacić?..

— Ażali sądzisz, panie Chasklu, że sprzedawszy miarkę mąki, dostaniesz zapłatę jak za wór? Ażali mniemasz, że za koźlę na targowicy dadzą ci cenę dobrego konia? Powstrzymaj wodze swej chciwości i nie daj jej, aby cię za daleko unosiła, bo wszelka szcudroblliwość ma granice, a naprzeciwko twego domostwa mieszka inny mistrz, który potrafi uczyć dzieci tak samo jak waszmość, a może nawet i lepiej.

To samo mniej więcej mówił Imé pan Dawid, a mistrz argumentami tymi jak do muru przyparty, zaczął po trosze mięknać, aż zmiękł całkowicie i umo-

wę zawarł. Stało tedy na tem, że Imé pan Klopman pierwszymi krokami przyszłego luminarza pokieruje, i onego do przybytku wiedzy wprowadzi i tam do czasu niejakiego przetrzyma. Za to mistrz miał regularnie co tydzień, bez zawodu, wykreću, ani zwłoki, pewną ilość monety miedzianej otrzymywać.

Pertraktacye, pod piecem prowadzone, natrafiły na silny opór ze strony jejmości pana Dawida małżonki, a małego Symchy rodzicielki; ta bowiem niewiasta wyraziła zdanie, że na naukę jej synka jest jeszcze za wczesnie i że należy mu się jeszcze przynajmniej pół roku swobody, iżby jej zażywszy do syta, mógł kiedyś wspominać, że był młody i że wszelkich rozkoszy tego najpiękniejszego w życiu ludzkim okresu dowoli użył.

Niewiele waży słowo niewieście na szali uczonych mężów; nic też sobie Imé pan Dawid i Imé pan Migdał z uwag jejmości nie czynili; a gdy ta, w rancor wielki wpadłszy, donośnym głosem lamentować zaczęła, wyszli obaj na rynek miasta i tam się z zajęciem chłopskim przypatrywali furom.

Tu opowiedzieć wypadnie historję o łani kochającej i wilkach podstępnych.

Stało się pewnego dnia letniego, rankiem, w dzień targowy, że niedaleko mieszkania Imé pań-

stwa Kalkkugłów dwie jejmościowe, trudniące się handlem drobiu, z powodu współubiegania się o kupno koguta wszczęły ze sobą żywą sprzeczkę. Z początku przemawiały jedna do drugiej bardzo uprzejmie, potem zaczęły się cokolwiek przekomarzać podniesionym głosem, aż wreszcie puściły tak gwałtowne słów obelżywych potoki, że na całym rynku hukczek się zrobił i ludzie ze wszech stron na miejsce kłótni przybiegali. Niewiasty zwłaszcza bardzo się licznie gromadziły, jako że ciekawość jest ich przyrodzoną cnotą,— że zaś wszystkie jednocześnie krzyczały, przeto gwałt się ogromny uczynił, że najbardziej nawet zatrudnieni z domostw wybiegali, najpilniejszą porzucając robotę.

Można było słusznie mniemać, że miasto pożar gwałtowny nawiedził, lub inna wielka, z rozpasania żywiołów wynikająca klęska.

Nie była też głucha na ten krzyk ogólny i jejmość pani Dawidowa—i z rękami zawałanemi mąką, gdyż kluski wówczas czyniła, przerażona na rynek wybiegła, nie patrząc na małego Symchę, który się właśnie na podwórzu kamykami bawił.

Tak gdy łania odstąpi swego kozłatka, chytre i zdradzieckie wilki chwytają je natychmiast. Jakoż i w tym razie od strony domostwa, w którym mieściła się akademja Imć pana Klopmana, przybiegli dwaj

wyrostki, i obejrzawszy się dokoła, czy kto na nich nie patrzy, małego Symchę Borucha pochwycili na ręce. Obaj ci młodziankowie pełnili przy szkole urząd belferów, co się niemieckim wyrazem „*behelfer*“, alias pomocnik, wyklada. Byli oni do pewnego stopnia kalafaktorami, gdyż na rozkaz rektorowej akademii, Imć pani Klopmanowej, wytwarzali ciepło— w piecach, a raczej w piecu, paląc; bakalarzami zaś, ponieważ już do pewnego stopnia w nauce pisania i czytania biegli, byli w wykładzie tych umiejętności Imć panu Klopmanowi pomocą.

Jeśli tego męża uważać będziemy jako głównego akademii rektora i rządę, to owym wyrostkom słusznie tytuł asystentów przyznać należy—asystowali bowiem przy wykładzie, pomagali młodszym uczniom, wreszcie przez gwałt przynosili nowicuszów, którzy względem szkoły stawiali się opornie i nie chcieli z własnej i nieprzymuszonej woli do jej wnętrza zaglądać. W takich razach imćpanowie belferowie byli delegowani, aby opornego dzieciaka przynieść i dać mu tem do zrozumienia, że próżno jest przeciw ościeniowi wierzgać i że wolę własną należy ugiąć wobec słusznych wymagań szkoły. I w tym wypadku w podobnej młodzianaszkwie byli wydelegowani misyi; mieli oni małego Symchę naprzód słowami łagodnej perswazyi o pożyteczności i wzniosłem

zadaniu szkoły przekonać, a gdy to nie pomogło, gwałtem go porwać. Ci panowie woleli jednak opuścić pierwszą część programu, ponieważ naprzód o jej bezskuteczności byli przekonani — i od razu przystąpili do wykonania drugiej.

Imć pan Klopman uprzedził ich widocznie o niechętnem Imć pani Dawidowej dla szkoły usposobieniu i zalecił im, aby się znaleźli sprytnie, — co też w istocie uczynili. Porwali dziecko, zanim się obejrzeć i krzyku narobić zdołało, zatkali mu usta, aby nie krzyczało — i biegnąc wielkim pędem, z sobą unieśli.

Trzeba przyznać, że mały Symcha bronił się walecznie i z taką zaciętością, że możnaby przypuszczać, iż w prostej linii od Machabeuszów pochodzi; jednego z wyrostków chwycił za pejs, przy skroni jak pijawka wiszący, z taką mocą, że połowę z niego włosów drobną rączką wydarł, a drugiego o mało co oka nie pozbawił. Słusznie powiedziane jest jednak, że przeciw przeważającej sile i sam Herkules nie poradzi, przeto i kozłatko uledez musiało, a tryumf został przy wilkach.

Mały Symcha, porwany, uniesiony, znalazł się niebawem w szkole, gdzie już około trzydziestu dzieciaków, w niebogłosey drąc się, postępy na drodze zdobycia wiedzy czyniło.

Kiedy Imć pani Dawidowa, doczekawszy się

końca awantury dwóch przekupek, do domu powróciła i miała cały przebieg tej zajmującej sprawy opowiedzieć złożonej niemocą sąsiadce, spostrzegła, że małego Symchy niemasz ani w izbie, ani na podwórzu, ani na górcie śmieci, gdzie zwykł był z towarzyszami harce i figle wyprawiać.

Zaczęła wypytywać sąsiadów i wnet dowiedziała się o przygodzie, jaka jej ukochane kozłatko spotkała. Dość z tego powodu było płaczu, lamentów i złorzeczeń, ale mąż i ojciec poważnie i z godnością wyperswadowali jej, że rzecz to konieczna i niezbydna, — że mały Symcha, przecierpiawszy tę chwilową wiolecę i rapt, oswoi się ze szkołą, zacznie się uczyć i z czasem wyjdzie na wielkiego luminarza.

Nie przekonało to młodej matki, ale uspokoiło ją o tyle przynajmniej, że już wielkiego nie robiła hałasu i na tem tylko poprzestała, że ukochanemu pierworodkowi dwa obwarzanki do szkoły zaniósła, ażeby w smutku swoim i zmartwieniu poznał smak pociechy.

Na tem zamykają się pierwsze księgi żywota i spraw Imć pana Symchy Borucha Kaltkugla.

KSIĘGI WTÓRE.

O tem, jak skorupka nasiąkała za młodu i z jakiego źródła pijał młody jelonek.

Zanim te karty inkaustem czernić poczniemy, aby dalszy ciąg historyi Symchy opisać, należy za-
stanowić się wpierw nad ogólnem szkolej znaczeniem. Powołana do życia na to, aby uczyć, je-t ona niby
ogrodem, w którym młode drzewka rosną, pilnowane
przez biegłego ogrodnika, aby nie wyrosły krzywe,
nie usychały stoczone przez robactwo, ani objedzone
przez kozy psotne, lecz aby wydały owoc zdrowy, na
pożytek ludzi.

Takim ogrodnikiem biegłym był Imć pan Klop-
man, a szkolej swej strzegł jak żrenicy w głowie,

o tyle, o ile mu inne w tem nie przeszkadzały intere-
sa. Ale podczas nieobecności mistrza ogród zlestrze-
żony nie był, pilnowali go bowiem rzeczeni belferowie
i szczepili w młode płonki mądrość o tyle, o ile ją sa-
mi posiadali.

Trwało to od rana do wieczora, bez przerwy
prawie, gdyż w tym razie przesady nigdy być nie mo-
że; słusznie albowiem powiedział wielki mędrzec, że
wiele mięsa pociąga za sobą wiele robaków, wiele
majątku — wiele trosk, wiele dziewcząt — wiele nie-
przystojności, wiele służących — wiele kradzieży; ale
wiele nauki daje wiele życia.

Ponieważ każdy pragnie mieć wiele życia, prze-
to się uczniowie skwapliwie do nauki garnęli; słusz-
ność jednak przyznać każe, że musieli się garnąć,
gdyż inny mędrzec powiedział: grzej się przy ogniu
mędrców, ale strzeż się ich płomieni, gdyż ich ukąsze-
nie jest jak ukąszenie szakala, ich ukłucie — jak ukłu-
cie niedźwiadka, ich syczenie jest syczeniem węża,
a wszystkie ich wyrazy są na kształt żarzących
węgli.

Imć pan Klopman, który miał się za wielce uczo-
nego męża, posiadał też w wysokim stopniu wszyst-
kie przymioty uczonych, pozwalał chętnie pacholętom
grzać się przy swoim ogniu, ale skoro płomieniem
gniewu wybuchnął, stawał się strasznym, jak szakal,

wąż, niedźwiadek i rozżarzony węgiel. Twarz jego czerwieńiała jako purpura, oczy na kształt dwóch wielkich karbunkulów błyszczwały, a na skroniach występowały żyły grube i nabrzmiałe.

W takich momentach, przejmujących drżeniem całe audytoryum, a nawet i asystentów, którym się także przy okazji coś obrywało, Imć pan Klopman bywał nieublagany. Nie kąsał ci on wprawdzie jako szakal, ale zdjąwszy z głowy jarmułkę, uderzeniami jej uczniów srodze policzkował, lub też giętkim jak wąż cybuchem od fajki po plecach ich ćwiczył, popędliwości wrodzonej wolne puszczał w wodze. Wielki lament wówczas szkołę napępiał i trwał, dopóki mistrz się nie zmęczył i wszystkiej z siebie nie wyrzucił złości. To jeszcze dodać należy, że Imć pan Klopman, pewien defekt fizyczny mając, częstokroć dolegliwości swe ożywczym uśmierzał kordyałem; że jednak wina zamorskie i weneckie dryakwie za kosztowne dla niego były, przeto się, według stanu swej szkatuły biednego, zwyczajną gorzałką zakrapiał. Uśmierzała ona cokolwiek dolegliwości, ile że ją zwykle z pieprzem czarnym zażywał, ale zarazem do głowy różnej wilgotności napędzała i humory, co przy kolerycznym mistrza temperamentcie silne w nim wzbudzało alteracje.

W takich wypadkach nawet na kategorye uczniów nie zważał i jednakową wszystkim wymie-

rzał sprawiedliwość—nie wedle zasług i stopnia, ale według równości.

Gdy nie był pod wpływem kordyału, uczniów na kategorye dzielił, wedle zasady dawnych mędrców, która powiada, że cztery są uczących się rodzaje: tacy, którzy łatwo pojmują i łatwo zapominają, którzy trudno pojmują i trudno zapominają, którzy łatwo pojmują i trudno zapominają, i wreszcie którzy trudno pojmują i łatwo zapominają.

Pierwszych Imć pan Klopman hojnie obdzielał szturchańcami; dla drugich starał się być wyrozumiałym, o ile mu temperament koleryczny nie przeszkadzał; trzecim cybucha nie żałował, ale wróżył im świetną przyszłość; czwartych traktował stale pięścią i dawał im tygodniowo znacznie więcej kułaków, aniżeli brał groszy za naukę.

Nieraz też, w słusznem rozzaleniu, mówił, że uczniowie ostatniej kategoryi wielką mu krzywdę na zdrowiu czynią, bo gdyby furę drzewa zrębał, to jeszczeby tak rąk i pleców nie sforsował, jak przy wytłómaczeniu takiemu dyscyplowi różnicy, jaka zachodzi pomiędzy dwiema podobnemi jedna do drugiej literami.

Nie można powiedzieć, aby pomiędzy uczniami a mistrzem był zadzierzgnięty silny węzeł sympatyjowszem, raczej z wszelką pewnością da się stwier-

dzić, że wąż pajączyna była stokroć mocniejsza od nici przyjaźni, jaką mieli dla niego.

Czynili mu też różne figle i psoty, a choć ich za to sroga spotykała kara, jednak słodycz zemsty milszą im była od goryczy razów.

Starsi chłopcy poważali się nawet niekiedy czynić sobie z niego nieprzystojne żarty, a zwłaszcza robić alluzye do jego nosa, który i kształtem i barwą znacznie się od zwykłych nosów różnił. Dosypywali mu popiołu i piasku do tabaki, a nieraz tabakierę tak schowali, że jej na żaden sposób nie mógł odszukać.

Mały Symcha nie od razu mógł się grzać przy ogniu mądrości samego Imć pana Klopmana i był wraz z kilkoma innymi młodzieniaszkami powierzony pieczy asystenta imieniem Mojsie. Ten, aczkolwiek miał nadzieję kiedyś mistrzem zostać i obyczaj swe go nauczyciela pilnie studyował, jednak nie nasładował go w surowości, i owszem, łagodny był dla dzieci, a tę miał z tego korzyść, że każdy z pieczy jego powierzonych pupilów dzielił się z nim prowizyą, z domu do szkoły przynoszoną. Ten asystent miał takie przekonanie, że więcej waży cicha łagodność, aniżeli głośna gwałtowność, i że dla delikatnej potrawy zawsze się znajdzie miejsce w żołądku. I to mu również obcem nie było, że kto dziecko chwali, ten

matkę po sercu głaszcze, więc odprowadzał co wieczór małego Symchę do domu i Imć pani Dawidowej cuda o jego pilności wielkiej i nadzwyczajnych zdolnościach opowiadał; tym sposobem matka jadła słodki miód pochlebstwa i chętnie płaciła za to ślédziem dziękczynienia—a wiecznie głodny asystent radował się i cieszył, że jego sposób postępowania takie mu przynosi korzyści.

Tego rodzaju raporta nie tylko matce, ale także ojcu i dziadkowi wielką czyniły przyjemność i cała rodzina pyszniła się pacholęciami, tak świetne rokującem nadzieje. Ażeby mały Symcha Boruch i powierczownością do małego mędrca był podobny, przeto sprawiono mu i stroj poważny: kapotę do samej ziemi, pas wełniany, pantofle, a Imć pan Migdał, jako przywiązany dziadzio, podarował wnukowi bardzo piękną aksamitną czapkę, którą sam przez lat kilkanaście na własnej głowie nosił i liczne podróże w niej odbywał. Ach! gdyby wnuczek wiedział, ile pod tą czapką roilo się myśli poważnych i wzniosłych, ile mądrych zdań przechodziło przez głowę, którą przykrywała, niby przez wielki alembik—jakżeby tę pamiętkę szanował! Ale wnuczek, zapowiadający się jako wielki mędrzec w przyszłości, był jeszcze mały i głupi, i nie mógł ocenić wartości wspaniałego podarunku dziadka. Co prawda, czapka była za wiel-

ka i spadała wnuczce na oczy, zasłaniała mu więc pole widzenia.

Imię pani Dawidowa, widząc, że pierworodek jej niemały z czapką ma kłopot, zeszyła ją w jednym miejscu mocnymi szaremi nićmi, co znów miało ten skutek, że czapka z bardzo obszernej stała się bardzo ciasną i trzymała się na samym czubku głowy. Ta wszakże okoliczność nie zmniejszała ani wartości aksamitu, ani charakteru pamiątki.

Trzeba było widzieć małego Symchę Borucha, jak w tem wielkiem nakryciu głowy i w długiej kaptocie, przepasany wełnianym pasem, po mieście kroczył: tyle w nim było powagi i godności, że ludzie nadziwić się nie mogli, jakim sposobem taka masa dobrego o sobie rozumienia może się zmieścić w tak małym białorze. Brakowało mu tylko fajki i cokolwiek większego wzrostu, a mógłby stać obok dorosłych, bynajmniej harmonii zaczętego towarzystwa nie psując.

I sposób wyrażania swych myśli również miał zachwycający; najczęściej albowiem, zapytany, drapał się palcem po nosie—i nie nie odpowiadał, hołdując widocznie wzniosłej zasadzie, że mowa srebrem jest tylko, a milczenie złotem. Wogóle było to brylantowe dziecko, a Imię pan Dawid słusznie się swoim pierworodnym mógł chlubić. Nie widziano nigdy,

żeby mały Symcha oddawał się zabawom i rozrywkom, wiekowi jego właściwym; nie gonił się z towarzyszami, ani nie podzielał ich uciech; a jeżeli zdarzyło się, że był do zabawy wciągnięty, to nie długo w gronie rówieśników popasał; wołał, jak latem, położyć się na trawie i leżeć, a zimową porą siedzieć pod piecem, lub grzać się przy ogniu, przy którym matka gotowała kolację. Wogóle nad wiek swój poważny był i zamyślony, a gdy czasem do sklepu Imię pana Migdała, dziadka swego, przyszedł, to bardzo uważnie i pilnie przypatrywał się biegowi interesów. Poznał też w krótkim czasie ceny sprzedażne zapalek, biczysk, mioteł, nafty, smoły i wszystkich wogóle towarów, którymi szanowny dziadzio handlował.

Ponieważ natłok kupujących w tym sklepie nie zawsze bywał wielki, przeto Imię pan Migdał miał dość czasu, aby wiadomości praktyczne wnuczka wspierać teorią. Wiedząc, jak zbawienny wpływ na młodociane umysły wywiera studyowanie żywotów znakomitych mężów, choćby nie według Plutarcha, opowiadał Imię pan Migdał wnukowi historię co poważniejszych kupców i co uczeńszych nabożników, jako ci z czemś niewielkiem albo i zgoła z niczem zaczynając, doszli do wielkiego znaczenia, uznania i honorów, tak, że na starość używają miru u ludzi i wszelkich błogości; a przecież i oni byli kiedyś małutkimi białorami, czołgali się po ziemi jak ro-

baki i mieli oblicza umorusane wszelakimi śmieciami.

Opowiadania te były bardzo budujące, a że Imé pan Migdał sentencjami poważnemi je przepłatał, więc miały wartość pedagogiczną niemałą.

Że podczas takich opowiadań wnuczek cokolwiek ziewał, a nawet niekiedy zasypiał, to wcale Imé pana Migdała nie zrażało, bywały już bowiem notowane w historii i takie zdarzenia, zwłaszcza ongi w gorących krajach, że podczas wykładu bardzo znakomitego nauczyciela audytoryum, złożone z kilkuset uczniów, bardzo twardym snem usnęło, tak, że trzeba ich było głośnym okrzykiem budzić, a opowiadaniem zajmujących anegdot ostatecznie ze snu wybijać.

To, że mały Symcha często poważnie się zamyślił i miał taką minę, jak gdyby najtrudniejszą zagadkę naukową chciał rozwiązać, napępniało dumą Imé pana Dawida tak dalece, że był on prawie pewny, iż syn jego wielkim w przyszłości zostanie uczonym. Nieraz zastanawiał się ojciec nad kwestyą, jakie mianowicie myśli mogą taki młodociany umysł zajmować, ale pytaniami dziecka nie męczył i biegu myśli mu nie przerywał. W istocie jednak myśli przyszłego luminarza nie miały orlego polotu i nie szybowały pod niebiosami; owszem, były bardzo bliskie ziemi,

komina, na którym matka jeść gotowała, i miski. Mały Symcha zastanawiał się najczęściej nad tem, czy dostanie na kolacyę trzy kartofle, czy cztery? czy będą one duże, czy małe? czy same, czy z dodatkiem kawałka chleba lub dzwonka śledzia?

Jak słońce, które, aczkolwiek tak czystym i wspaniałym ziemi przyświeca blaskiem, ma jednak plamy na sobie,—jak najpiękniejszy kwiat, który oko ludzkie barwami, a powonienie rozkosznym delectuje zapachem, tak i mały Symcha, pacholę delikatne, wielkich zdolności i wielkich na przyszłość nadziei, nie był jednak bez wady. Obiecujący ten chłopaczek odznaczał się niepohamowanym żarłocstwem. Na jedzenie rzucał się jak lew na niewinnego baranka, a był tak nienasycony, że potrafił schrupać cały obwarzanek za grosz i jeszcze wołał o więcej.

Pomimo takiej chciwości do jedzenia, nie odznaczał się, jak powiedziano wyżej, Samsonowymi kształtami, a rumieńce nigdy na jego policzkach nie kwitły; przeciwnie, blade był zawsze jak ściana, a głowę zwieszał ku ziemi, co rodzice na karb wrodzonej składali delikatności.

Po dwóch latach pobytu w akademii Imé pana Kłopmana mały Symcha, jako młodzieniec, umiejący już jako tako czytać, przeszedł pod kierunek samego mistrza i zaraz pierwszego dnia zapoznał się z jego

cybuchem, do czego zresztą w krótkim czasie zupełnie przywykł. Pod tym światłym kierunkiem odbywał on już poważniejsze studia i uczył się myśleć samodzielnie.

Samodzielność myślenia najczęściej polega na tem, jakby się wywinąć ze szkoły. Udawało się to nieraz, pod pozorem słabości, ale w takich wypadkach zwywany był zaraz feler, sławny Imć pan Icek, i ordynował bardzo niesmaczne lekarstwo. Prócz tego i ojciec, szanowny Imć pan Dawid, siadywał w takich wypadkach przy łóżku chorego i pytaniami różnemi go trapił.

Raz, na przykład, postawił pierworodkowi swemu takie zadanie:

Wiedząc, że kij ma dwa końce, obliczyć, ile końców ma półtora kija?

Mały Symcha odpowiedział bez namysłu, że trzy, czem oczywiście serca ojcowskiego nie rozradował; owszem, napełnił je i smutkiem i gniewem, a względem Imć pana Klopmana żalem. Nawet z tego powodu pomiędzy mistrzem a ojcem Symchy wyniknęła bardzo ożywiona dysputa i grube nieporozumienie, które później w srogą miało się przerodzić nienawiść. Jak budowla, postawiona na bagnie, z czasem chwiać się zaczyna, tak też i nadzieje Imć pana Dawida co do przyszłej kariery naukowej pierworodnego syna traciły swoją podstawę.

Zaczął się Imć pan Dawid smutnie zamyślać i coraz silniej utwierdzać w przekonaniu, że syn jego pierworodny wielkim luminarzem nauki nie będzie i na tem polu do zaszczytów nie dojdzie. Imć pan Klopman pocieszał strapionego ojca, jak mógł, dowodząc, że nie ma się czego tak dalece martwić: 1-o, gdyż oprócz małego Symchy dało mu jeszcze niebo czterech synów: Judkę, Berka, Szmula i Beniamina, o przyszłości których wolno jest najpiękniejsze rokować nadzieje—i 2 o, że i o przyszłości małego Symchy jeszcze nie należy rozpaczać.

Różne są gatunki kwiatów na świecie: jedne zaraz od wczesnej wiosny zachwycają ludzi barwami swemi i wonią, drugie dopiero podczas gorącego lata rozwijają się z pączków, inne wreszcie aż późną jesienią wszystkie swe okazują wdzięki.

Mały Symcha nie jest kwiatem wiosennym—ale kto mu broni zakwitnąć w lecie lub w jesieni żywota? Gdzie napisano, że taki wypadek nie może się zdarzyć?

Znana to rzecz, że pewien mąż do czterdziestu lat swego żywota czytać nawet nie umiał, a jednak wzięwszy się do nauki, tak wielkie i zdumiewające uczynił postępy, że w krótkim czasie stał się sławnym nauczycielem, tak, że po dwanaście tysięcy uczniów chodziło za nim, aby słuchać jego wykładów.

— Nie należy rozpaczać — powtarzał Imć pan Klopman, — straconego nic niema. Wielki duch w synu waszym jeszcze śpi. Czekaśmy na jego przebudzenie się.

Imć pan Dawid ręką machnął niechętnie, chcąc zapewne tym gestem powątpiewanie wyrazić

— Ja sam — mówił dalej Imć pan Klopman — nie należałem do kwiatów zbyt wczesnych i mogę was zapewnić, że duch mój przez długi czas spał tak twardo, jak, nie przymierzając, najpospolitszy parobek. Zato, skoro się przebudził, dopiero pokazał swoją sztukę! To wszystko wskazuje aż nadto wyraźnie, co macie czynić z synem.

— A cóż czynić? — zapytał ojciec.

— Czekać.

— Łatwo to mówić!

— Nie zdaje mi się, żebyście mieli inny sposób.

I rzeczywiście innego nie było; chyba wyrzec się wszelkich ambitnych zamiarów i, zrzuciwszy pychę z serca, oddać chłopaka na naukę do szewca lub innego rękodzielnika, aby się do pracy ręcznej sposobil.

Nie każdy atoli może tak postąpić. Są tradycje, są pewne punkta honoru, których szanujący się człowiek naruszyć nie może. W szlachtetnym rodzie

Kalkkugłów i Migdałów, który kilku wielkich kupców i uczonych z siebie wydał, rzemieślnika ani jednego nie było.

Na cóż więc na jasne karty dziejów familijnych rzucać płamę?

Postanowiono tedy na walnej naradzie, że Symcha Boruch jeszcze przez lat kilka do szkoły Imć pana Klopmana ma uczęszczać i tam ze źródła mądrości pić, na przebudzenie się ducha czekając — zaś Imć pan Klopman przyrzekł solennie, że ducha tego ospałego wszelkimi sposobami budzić będzie.

Przyznać trzeba, że doświadczony mistrz przyrzeczenia dotrzymywał sumiennie, a podczas wykładów Symchę Borucha po lewicy swojej umieszczał, gdyż, jako mańkut, lewą ręką razy uczniom swoim wymierzał.

Stało się w tym czasie, że Imć pan Migdał sprawiedliwy swój żywot zakończył i do lepszego świata się przeniósł. Nikt się takiego wypadku nie spodziewał, gdyż był to mąż jeszcze w sile wieku i zdrowia, i mógł sobie długie życie rokować — ale człowiek nigdy nie wie, kiedy go zawołają. Imć pan Migdał w najlepszym stanie zdrowia wyjechał był na wieś, w interesach handlowych, i widocznie w czasie tej podróży zły wiatr go obleciał, gdyż powróciwszy

do domu skarżył się na klucie w boku i do łóżka natychmiast się położył. Choroba postępowała tak szybko, że nawet dziwnie w sztuce Hipokratesowej biegły Imé pan Icek, głowę stracił, i wyczerpawszy wszystkie środki, po zwyczajnego doktora posłać polecił, — ale ten również nic nie mógł poradzić, gdyż było za późno — i chory już konał.

Uczciwie Imé pana Migdała pogrzebawszy i żałobę, jak się należy, odprawivszy, Imé pan Dawid, w imieniu małżonki swej działający, z innymi sukcesorami mienia po niegdy Migdale pozostałego szybko układy przeprowadził i podział uczynił.

Spadkobiercy porozumieli się zgodnie i po bratersku, co nieco sobie tylko policzki siniakami popstrzywszy. Mienie po nieboszczyku wielkie nie było. Pół domu dobrze zdezelowanego, zapas towaru w składzie smoly i mioteł, tudzież kilkadziesiąt rubli w gotowiznie — nie licząc ruchomości, garderoby odświętnej i ksiąg nabożnych — oto wszystko, co Imé pan Migdał po sobie pozostawił i o co ubiegało się cztery głowy spadkobierców zstępnych, tudzież wdowa, którą także odpowiednio należało opatrzyć.

Gdy się wszystko sprzedało i na grosz gotowy zamieniło, gdy podział skuteczniono — wypadło, że jejmość pani Dawidowa, a właściwie Imé pan Dawid, gdyż on głową domu był i majątkowemi spra-

wami zarządzał, otrzymał w gotowiznie sześćdziesiąt kilka rubli i nieco kopiejek — co mu się w swym czasie bardzo a bardzo przydało...

Śmierć teścia, który, o ile tylko mógł, zięciowi dopomagał, stagnacya w interesach, tudzież znaczne powiększenie się rodziny, czyniły żywot Imé pana Dawida bardzo ciężkim. Postanowił przeto zaraz z wiosną coś nowego przedsięwziąć i nowe wynaleźć resursy, aby liczną swą rodzinę utrzymać i wyżywić.

Jakoż, gdy śniegi stopniały, a wiosenne słońce o tyle obsuszyło rolę, że się chłopci już do orania zabrali, wziął Imé pan Dawid laskę, worek i nieco pieniędzy do kieszeni, i opuścił progi domowe, aby się po świecie trochę rozpatrzeć, ażali się jakie korzystne przedsiębiorstwo nie znajdzie. Żeby mu zaś w drodze było przyjemniej i weselej, syna swego pierworodnego za towarzysza wziął, urlop mu czasowy ze szkoły Imé pana Klopmana wyrobiwszy.

O samym wschodzie słońca ojciec z synem, w lekkich szatach, domowe opuściwszy progi, w drogę za miasto się puścili, a że wiatr tego dnia był znaczny i z długimi połami ich odzieży figlował, przeto wyglądali z daleka niby dwa korabie, po fałach piaszczystych płynące.

Udali się drogą ku południowi; a że zaraz z miejsca bardzo szybkim krokiem ruszyli, przeto zmęczenie dało im się uczuć niebawem.

Imé pan Dawid bynajmniej końskim zdrowiem pochwalić się nie mógł, w dalszych peregrynacjach nie miał wprawy, zaś Symcha Boruch, jak powiedziano wyżej, był nader dalikatny z natury. To też za ledwie za miasto wyszli i niecałe pół mili ubiegli, zaczęli oddychać z trudnością.

Ciężko sapał Imé pan Dawid, ciężko dyszał Symcha, aż nagle obadwaj, jak gdyby jedną myślą tknięci—stanęli.

— To jest ciężki interes—rzekł syn.

— Wszystkie są ciężkie — sentencyonalnie potwierdził ojciec,—ale co robić?

— Jak daleko mamy jeszcze iść?

— Blisko dwie mile drogi; uszliśmy pół, pozostaje więc półtorej i to po piasku.

— Nie mam nadziei — szepnął chłopiec, — że przez dzień dzisiejszy całą tę drogę odbędziemy...

Ojciec nic nie odrzekł i usiadł przy drodze na wzgórk, syn poszedł za jego przykładem. Odpoczywali.

Syn pierwszy przerwał milczenie.

— Ojczy—rzekł,—ja jestem głodny.

— Zwyczajna to u ciebie rzecz. Odkąd żyjesz na świecie, nie slyszalem, żebyś był kiedy syty. Ty masz brzydką naturę, Symcha; jesteś żarłoczny jak

parobek, jak pospolity, ordynaryjny chłop. W naszej familii nigdy takich obzartuchów nie było. Możesz mi wierzyć na słowo.

— Zapewne, że tak jest, jak mówicie; ja wam wierzę; ale swoją drogą jestem bardzo głodny, tak głodny, że robi mi się mdło.

— Martwisz mnie, synu, bardzo martwisz — odrzekł Imé pan Dawid: głowa twoja jest twarda jako kamień, a brzuch niby przepaść niezgłębiona, gotowa zawsze pochłonąć wszystko, co w nią wpadnie. Jakie ciebie życie czeka przy takim niegodziwym charakterze?!

— Ja nie wiem, jakie mnie życie czeka, ale to wiem dobrze, że kto jest głodny, musi jeść.

— Nie zawsze—odrzekł ojciec.

— Dlaczego?

— Jeżeli, na przykład, nie ma nic do jedzenia, to musi się obejść i czekać; i ty więc musiszz czekać.

— Muszę?

— Tak jest.

— Zapewne, skoro powiadacie, że tak, to tak; ale żeby w tem miała być prawda, ja nie powiem.

— Co?

— Chociaż macie mnie za głupiego, mam ja jednak dobre oko i lepiej widzę, niż wam się zdaje.

— Ciekawym, co ty możesz widzieć?

— Wczoraj jeszcze widziałem, jak matka włożyła do worka na drogę kilka funtów chleba, dwie bardzo piękne cebule i przynajmniej za pół grosza soli w papierku. Może nie?

Ojciec nic na to nie odrzekł, syn zaś dalej rzecz swą prowadził:

— Chociaż macie mnie za głupiego, jednak ja widzę, że jestem głodny nie dlatego, że niema co jeść, tylko dla waszej fanaberyi... Wy o tem dobrze wiecie... ale to wam zapewne [nie wiadomo, że wczoraj stary Klopman wybił mnie bardzo dotkliwie; a kiedy go zapytał: za co? odpowiedział, że właśnie za... fanaberye...

Imć pana Dawida oburzyła hardość syna; wydobyl chleb z torby, ułamał kawałek i rzucił go na kolana Symchy, mówiąc:

— Masz, żarłoku! Najedz się, napchaj swe nasycone gardło, ale o tem pamiętaj, że jeżeli człowiek wyrusza w drogę nie dla przyjemności, lecz za interesem, to w_pierw_ powinien załatwić interes, a potem myśleć o pożywieniu; nie zaś odwrotnie, jak ty czynisz.

Na to Symcha nic nie odrzekł, ponieważ ustami chlebem zapechane. Imć pan Dawid zaś zaczął kombinować w myśli słowa syna i przyszedł do wnio-

sku, że jednak umysł jego nie jest tak dalece ograniczony. To, co powiedział o fanaberyi, obrócone było weale dobrze, pomimo brzydkiej tendencji. Któż wie, może jeszcze z tego chłopca da się co zrobić i będzie z niego pociecha. Któryż ojciec nie lubi mieć takich słodkich złudzeń! Dla rodzicielskiego serca są one jako najprzedniejszy kordyał, jako ożywcza i wzmacniająca dryakiew. One to napęłniają duszę radością, czyniąc dzień miłszym, a noc spokojniejszą.

Gdy Symcha cokolwiek się posilił, dał Imć pan Dawid znak, że trzeba wstać i iść w dalszą drogę; jakoż poszli — nie tak szybko, jak z początku, ale krokiem umiarkowanym, tuszając, że tym sposobem sił zaoszczędzą i łacniej do zamierzonego dojdą kresu.

Chcąc bliżej się ze sposobem myślenia swego syna zapoznać, zagadnął go Imć pan Dawid temi słowy:

— Ciekawy jestem, o czem ty myślisz?

— Ja, ojcze—odrzekł,—dużo myślę. W mojej myśli znajdują się te wielkie pola, koło których idziemy, i ten wielki las, co przed nami jest. Ja myślę, że ludzie, którzy posiadają tyle pola i tyle lasu, mają co jeść i czem w piecu palić. Chyba nigdy nie dokuca im głód i zimno.

— Czasem dokuca — odrzekł ojciec, — zwłaszcza

czy, jeżeli kto ma niewiele pola, a lasu wcale nie. Na polu rośnie zboże, które trzeba, uprawiwszy grunt poprzednio, zasiać. Takim interesem trudnią się chłopci. To, co się na polu zieleni, jest trochę zboże; ono już zasiane, ono już powsechodziło, ale to jeszcze nie jest całkiem zboże. Musi wpierv urosnąć, mieć wysoką słomę i kłosa pełne ziarna.

— No, to urosnie i będzie miało.

— Niezawsze; czasem Pan Bóg daje pogodę, czasem deszcz, ale niekiedy daje zimno i grad. Grad może zepsuć zboże i z tego powodu człowiek, który ma pole, może poznać głód. Co myślisz o tem, Symcha?

— Ja myślę, że belfer Mojsie jest bardzo, bardzo rozumny człowiek, i że stary Klopman nie wart u niego w piecu palić.

— Co ty powiadasz?!

— Prawdę.

— No, no... Odkądże to tacy głupcy, jak ty, mają oceniać ludzi uczonych i rozumnych?

— Ja go wcale nie oceniam, ja mówię tylko, że belfer Mojsie ma od niego więcej rozumu. Klopman umie tylko krzyżeć, bić i wymyślać, a Mojsie spokojny jest i często ze mną rozmawia. Wczoraj jeszcze pokazywał mi mały pieniądz i mówił, że to jest najlepsza rzecz na świecie. Kto ma pieniądze,

wszystko ma; kto ich nie ma, nic nie ma. Teraz, kiedy mi ojciec powiedział, że nawet ten, kto posiada swoje własne pole, może niekiedy nie mieć chleba, widzę, że belfer Mojsie jest bardzo rozumny. Czy nie tak?

— Zapewne, on dobrze mówi; człowiek powinien się starać o pieniądze, bo bez nich trudno żyć, a z nimi można zejść daleko. To nie jest nic nowego. Przecież idąc teraz w tak daleką drogę i zrywając nogi w piasku, idziemy także po pieniądze.

— A dokąd my idziemy?

— Do Trzmiela.

— Co to jest Trzmiel?

— To jest taka sobie wieś, zwyczajna wieś.

— Co my tam będziemy robili?

— Zobaczysz, jeżeli jesteś ciekawy.

— Dlaczego nie miałbym być ciekawy? owszem... Imię pan Dawid uśmiechnął się.

— Nic to nie szkodzi—rzekł—człowiek powinien być ciekawy, jeżeli chce mieć kawałek chleba na tym świecie i uznanie u ludzi. To powinieneś pamiętać, że w twoim wieku należy mieć dwie ciekawości, a raczej dwa gatunki ciekawości: jeden do nauki, drugi do interesów; pierwszy prowadzi do honoru, drugi do majątku.

— Ja, proszę ojca — wtrącił mały Symcha, — mam jeszcze jeden gatunek ciekawości.

— Na przykład?

— Czy w Trzmielu mieszka jaki żyd?

— Na cóż ci ta wiadomość?

— Bo nie wiem, czy dostaniemy tam jakie ciepłe jedzenie, czy będziemy musieli poprzestać na kawałku chleba?

Imć pan Dawid aż splunął ze złości, przyspieszył kroku i mrucał pod wąsem:

— Zakała rodu, wstyd! Żarłok, pasibrzuch nie-nasycony!...

W lesie zatrzymali się znowu dla wytchnienia. Pół drogi uszli, należało więc dać wypoczynek nogom. Zeszli z drogi i usiedli na trawie; ojciec zaczął sakwę rozwiązywać — i jemu także głód już dobrze dokuczał. Rozłamał chleb na dwoje i połowę synowi rzucił. Posilali się, milcząc, — poczem w pobliskim strumieniu myli ręce i napili się wody. Imć pan Dawid zapalił fajkę i na niebieskawy dymek w zamysleniu spoglądał. Pogoda była prześliczna, słońce wiosenne przygrzewało silnie, po niebieskich lazurach przesuwwały się białe obłoczki. Wśród drzew leśnych świergot małych ptasząt rozbrzmiewał. Mały Symcha przypatrywał się bacznie wszystkiemu;

w życiu swoim nie widział on jeszcze nigdy lasu i w ogóle piękność przyrody nie była mu znana. ■

— Tu jest bardzo pięknie! — odezwał się — tu jest daleko piękniej, aniżeli w mieście.

— Co pięknego widzisz? — spytał ojciec.

— Wszystko tu bardzo ładne; nie widziałem jeszcze nigdy tak pięknej trawy, takich drzew zielonych, takich śpiewających ptaszków. U nas tego niema...

— Owszem, i u nas jest to samo, tylko jeszcze piękniejsze.

— Ja nie wiem.

— Zmartwienie z tobą mam, ty nic nie rozumiesz. Powiadasz: piękna trawa, piękne drzewo, piękne ptaszki! Czy nigdy tego nie widziałeś? Czy nie pamiętasz, jak nieboszczyk dziadzio Migdał... oby miał wieczny spokój!... kupował całe fury siana na targu i robił z nich małe wiązeczki?

— Pamiętam.

— No, widzisz, to jest twoja piękna trawa. A zdarzało ci się zapewne widzieć furę drzewa na targu?... to jest twoje piękne drzewo. W zeszłym tygodniu matka twoja kupiła ładnego pięknego koguta, który też ładnie umiał śpiewać; sprzedała go na zajutrz aptekarzowej z dobrym zarobkiem... oto jest twój śpiewający ptaszek! To, co tu widzisz, wcale

nie jest piękne i naprawdę ani takie, ani owakie nie jest; dopiero jak się znajdzie u nas, na rynku, ma swoje znaczenie i wartość.

— Ten ptaszek, który teraz na gałęzi usiadł— rzekł Symcha, wskazując ręką ptaszynę,—nie jest podobny do koguta.

— On też nic nie znaczy—rzekł Imé pan Dawid surowo;—on jest tyle wart, co mucha, która lazi po ścianie; za niego grosza nikt nie da.

— Ale on jest bardzo ładny.

— Nie zaprzataj sobie głowy takimi myślami pustemi; czy on bowiem jest ładny, czy brzydki, tobie nic z tego nie przyjdzie. Wstawaj oto lepiej, czas w drogę.

— A daleko jeszcze?

— Jak się las skończy, zaraz będzie wieś Cygan, a potem znów trochę lasu i Trzmiel. Tam zano-cujemy, a jutro powrócimy do domu. Ja mam nadzieję, że w Trzmielu zrobię dobry interes.

— Co ojciec chce zrobić?

— Zobaczysz. Nie lubię mówić o tem, co nie jest zrobione; jak się zrobi, wtenczas...

Syn nie nalegał; myśl jego była tem tylko zaprzątnięta, aby jak najprędzej do owego Trzmiela dojść i położyć się, — wielkie albowiem zmęczenie

nie tylko w nogach, ale we wszystkich członkach uczuwał.

Las się skończył, a za nim ukazała się wioseczka Cygan, przeprawa przez którą była ciężka, gdyż z każdego podwórka wybiegały psy kudłate, zażarcie szczekając. Imé panowie Kalkuglowie, senior i junior, oganiali się rozpaczliwie laskami, a tu jeszcze małe dzieciaki chłopskie kundłów do większej zache-całę zażartości.

Ledwie że podróżni wydostali się z tej wioski, nie bez pewnych jednak na kapotach plejzerów.

Ochłonawszy z przestachu i otarłszy spocone czoło, odezwał się Symcha w te słowa:

— Dlaczego ludzie trzymają na wsi takie pa-skudne psy?

— One im są potrzebne: pilnują, żeby złodzieje w nocy nie przyszli i nie ukradli czego. Zresztą taki zwyczaj: chłop lubi mieć koło domu psa. Brzydkie towarzystwo, ale co nam do tego?... niech on ma psa, skoro mu się to podoba.

— Swoją drogą ja się bardzo dziwię...

— Czemu się dziwisz? Od dawnych czasów tak było i tak jest, że chłopcy psy trzymają. Myśl lepiej o czem innem, niż o psach.

— Kiedy, proszę ojca, ja się bardzo dziwię i chciałbym, żeby mi kto wytłómaczył. Jeżeli zapy-

tam starego Klopmana, to on najpierw da mi ze trzy razy w kark, potem krzyknie: „o co się pytasz!!...“ a potem da mi znów z pięć razy w kark, żebym na drugi raz wiedział, co to znaczy pytać. Ja go dobrze znam! A jeżeli zapytam belfera Mojsie, to on nie potrafi mi może wytłómaczyć, bo jeszcze wszystkiego nie wie. Ja pomyślałem sobie, że ojciec ma teraz czas, że ojciec także jest człowiek uczony i może...

— Ale cóż ty chcesz wiedzieć nareszcie?—zapytał Imć pan Dawid — jakież znowu głupie pytanie mogło się zrodzić w twojej pustej głowie?

— Ja powiem: myśmy szli przez wieś, na nas bardzo szczekały psy; jakaś obca baba też szła przez wieś, na nią wcale nie szczekały psy. Chłopaki we wsi, co się bawili na ulicy, gdy myśmy szli, wołali: „huź go! weź żyda!“ a gdy baba szła, wcale nie wołali: „huź babę!“ My mieliśmy dużo strachu, i nasze kapoty są w kilku miejscach rozdarte; baba nic się nie bała.... i, niech ojciec patrzy, idzie przed nami i wcale nie ma podartej spódnicy. Ja się temu bardzo dziwię...

— Zwyczajna to rzecz — odrzekł Imć pan Dawid:—tak zawsze było i tak będzie.

— Ale dlaczego?

— Bo nas chłopci nie lubią i psy nas nie lubią.

— Ale dlaczego? niech mi ojciec powie, dlaczego? Co psu do tego, że my idziemy do Trzmiela? Na co chłopakom trzeba, żeby nas psy kąsały? Jaki oni mają z tego zysk?

— Wiadomo ci zapewne, mój synu—odrzekł poważnie Imć pan Dawid, — że ryba psuje się zwykle od głowy.

— No, tak, ale...

— Czekał-no, nie bądź taki prędko i naucz się porządnie słuchać, jeżeli chcesz wyćwiczyć własną siłę myślenia. Jeżeli powiedziałem, że ryba psuje się od głowy, to widać, że do wytłómaczenia tego, o czym chcesz wiedzieć, potrzebna mi jest głowa, ryba i psucie się. Mamy tedy trzy kawałki, z których zrobimy kombinację. Niech ci się zdaje, że psy i chłopskie dzieciaki to ryba; szczekanie i hałas, jaki dzieciaki robią, to jest psucie się ryby; a z kąd się to psucie zaczyna? Od głowy. Gdzież jest głowa? Głowa to dorośli chłopci. Pies jest zwierzę dzikie i bezrozumne, mały chłopski dzieciak też nie ma rozumu... robią więc to, co im każe stary chłop. A co on im każe? On im każe nie lubić żyda.

— Ale dlaczego?

— Ty zawsze ze swoim „dlaczego?“

— Chciałbym wiedzieć. Niech mi ojciec wytłómaczy, ja jestem bardzo ciekawy.

— Bardzo dużo trzebaby o tem mówić.

— Nie szkodzi, mamy czas. Do tego kochanego Trzmiela jest, jak widzę, jeszcze porządny kawałek drogi. Ja będę uważnie słuchał. Dlaczego chłopci nas nie lubią? Czy zrobiliśmy im co złego?

— Im się zdaje, że my ich oszukujemy.

— A czy to prawda?

— Czasem oszukujemy, czasem nie. Rozmaicie się trafia.

— No, to po co my ich oszukujemy?

Imć pan Dawid rzucił się, jak gdyby źmija go ukąsiła.

— Głupi jesteś jak cielę! — zawołał. — Co się mieści w twojej pustej głowie! Po co my ich oszukujemy? Naprzód, co oni nazywają oszukaństwem, to podług nas może być najrzetelniejsza rzetelność; a powtóre, choćbyśmy nawet oszukiwali, to co? Czy nie mamy żon, dzieci? czy nie potrzebujemy żyć? Takie nienasycony żarłok, jak ty, powinien to rozumieć... a jeżeli nie potrafisz objąć takiej prostej rzeczy głową, to obejmijże ją twoim bezdennym brzuchem!

— Co ma do tego brzuch?

— A ma! ma! ma! — wołał rozjątrzony już na dobre Imć pan Dawid. — Czy, kiedy ja ci daję kawałek chleba, kiedy matka woła cię do miski krupniku, czy tobie przychodzi na myśl, z kądem ojciec wziął chleb

i kaszę na krupnik? Ty bierzesz się do jedzenia i pożerasz, napychasz się, nie zastanawiając się, z kądem jest twoje jądło. A czy my wszyscy nie chcemy jeść?... my też chcemy. Rozumiesz teraz, końska głowo?

— Słyszałem.

— Ale co słyszałeś?

— To, że ojciec powiedział, iż jestem końska głowa.

— Ojciec powiedział prawdę.

Symcha zamilkł, ale za wygranę nie dał; szedł jakiś czas w milczeniu, nareszcie nagle zagadnął:

— Ojciec ma przy sobie trochę pieniędzy?

— Mam; co ci do moich pieniędzy?

— Coby ojciec zrobił, żeby ojcu kto te pieniądze chciał wyciągnąć?

— Nie wymów w złą godzinę, paskudniku! — rzekł Imć pan Dawid i machinalnie za kieszeń się schwycił.

— Zapewne gniewałby się ojciec na tego człowieka?

— Jaby... jaby mu oko wybił! Co to jest brać cudze? To nie wolno...

— Ja już teraz nie rozumiem nic.

— Czego nie rozumiesz? Kto bierze cudze, to jest złodziej...

— A jeżeli on potrzebuje żyć, jeżeli ma żonę, dzieci, chce chleba... to na co ma pytać, z kąd ten chleb jest? Aby go dostał...

Imć pan Dawid zasunął czapkę na sam tył głowy, poczem szepnął:

— Ten stary Klopman jest cygan i oszust; mój syn nic nie umie i nic nie rozumie. Tak być nie może. Trzeba go uczyć samemu. Słuchaj-no, Symcha — rzekł głośno — czy ty rozumiesz, co to znaczy krzywda?

— Rozumiem; dopiero cośmy o tem mówili.

— Czy ty wiesz, kto ty jesteś? kto ja jestem? kto był nieboszczyk dziadek Migdał?

— Dlaczego nie mam wiedzieć?

— Więc kto?

— No, kto? dziadzio, ojciec i ja...

— Ale kto my jesteśmy?

— Biedni ludzie...

— I to prawda, ale my jesteśmy Żydzi. Nie przyszlismy na świat jako biedni, ale jako dzieci Jakóba. Biedny stać się może bogatym, z bogatego może się zrobić kapean, ale Żyd zawsze jest Żydem. Chyba... no, chyba, że... ale o tem niema co mówić... to jest fe!

Tu Imć pan Dawid szeroko opowiedział synowi, że Żydzi są potomkami Jakóbowymi, wszyscy zaś inni ludzie idą od Ezafa; że, jak to wiadomo, Jakób miał bardzo legalne prawa pierworodztwa i dziedziczenia, a Ezaw prawa swoje utracił; że zatem wszystko, co na świecie było, co jest i co w przyszłości może być, jest legalną Żydów własnością. Ztąd oczywiście wynika, że gdy oni cokolwiek biorą, to biorą swoje, własne. Zmiany czasów, okoliczności i ludzkich stosunków ukształtowania nic nie znaczą, takie bowiem prawo jest wieczne i niewzruszone...

Następnie, w drugiej części swego przemówienia, szeroko się Imć pan Dawid rozwodził o szczepu swojego zacności i przekonywał syna, że wszyscy inni ludzie w porównaniu z nimi są to śmiecie...

— I ciebie to obchodzi, że pies na cię szczeka, że chłop cię nie lubi!... Nie, synu, za wielki jesteś na to, żeby cię jego miłość lub nienawiść osiągnąć mogła.

Tak przekonywające i wymowne były słowa ojca, że pod ich wpływem mały Symcha okrutnie szaradział, głowę do góry podniósł i kroczył już z wielką powagą.

Człowiek, do którego świat należy, ma prawo z góry na ludzi spoglądać. Jednak w niedojrzałym jeszcze umyśle małego Kalkugla zaczęły się znowuż budzić pewne wątpliwości.

— Ojcie—rzekl.

— Co chcesz? Czym ci mało jeszcze powiedział?

— Owszem, bardzo dużo, nawet zrobiliście mi piękny podarunek.

— Ja tobie?!

— No, darowaliście mi cały świat... to jest bardzo przyjemnie...

— Śmiałyś sobie żartować z moich słów! A może im nie wierzysz, może myślisz, że mówię nieprawdę?

— Wiem, że mówicie prawdę, i wierzę, tylko...

— Jakie tylko?... nie można wierzyć przez połowę... albo, albo...

— Ja was pragnę o coś zapytać.

— No mów...

— Zdarzyło mi się widzieć kilka razy, jak przyjechał do miasteczka jakiś purec i kazał was zawołać; wyście wyszli z izby, staliście przed nim bez czapki i kłanialiście się bardzo nisko...

— Więc cóż?

— Czekajcie; zdarzyło mi się też widzieć, że nieboszczyk dziadek Migdał chylił swoją głowę także przed jakimś purecem. Wytłómaczcie mi teraz, jak to może być? Do nas należy świat, my jesteśmy ludźmi nad wszystkich ludzi... dlaczego my się kłaniamy?...

— Ty, mój kochany, jesteś głupi. My się kłaniamy, bo tak trzeba, bo ztąd jest zysk; ale czy wiesz, co my sobie myślimy? Nasza myśl daleka jest od pokłonów.

— No, no...

— Tak jest, bo tak być musi, a inaczej nie może; zresztą, czyś ty kiedy widział, jak się porządny Żyd kłania purycowi i jak zdejmuje przed nim czapkę?

— Widziałem.

— Nie, tyś tylko patrzył na to, ale nie widziałeś. On się kłania i schyla, ale myśli sobie: oby cię tak nieszczęście pochyliło, jak ja się pochylam przed tobą; on zdejmuje czapkę, ale naprawdę wcale jej nie zdejmuje, gdyż ma pod czapką jarmułkę i głowa jego bynajmniej nie jest odkryta. Nawet w wielkich elegancyach, w takich pokojach, gdzie niekiedy, jak pieniędzy potrzeba, przyjmują Żyda, gdzie sam purec siedzi z odkrytą głową, Żyd zawsze ma na głowie jarmułkę. Czy ty teraz rozumiesz smak tego interesu?

— Rozumiem i dziękuję wam. Ja teraz będę umiał się kłaniać.

— Ty powinieneś uczyć się koniecznie; powinieneś przykładać się do książki, słuchać mądrych ludzi, naśladować ich we wszystkim, co robią, a w takim razie wyjdiesz jeszcze na ludzi.

— Ja to zrobię.

— Przyrzekasz?

— Na co wam moje przyrzeczenie? Powiadam, że zrobię. To jest mój interes.

Weszli na wzgórek i z wysokości jego ujrzeli wioszczkę.

— Co to za wieś, ojcze?

— To jest Trzmiel.

— Nareszcie! ja jestem bardzo kontent, że odpocznemy już po tej podróży.

— Nogi cię bolą?

— Tak, nogi mnie bolą... i głowa boli.

— Przecież chyba nie od gorąca?... owszem, dziś mamy bardzo przyjemny czas.

— Nie od gorąca mnie głowa boli, tylko od tego, coście mi w nią nakładli. Ja dziś nie będę mógł spać jak należy, choćbym się nawet na świeżem sianie położył i choćby mnie ojciec swoją własną kapotą przykrył.

— Wielkich wygod się tobie zachciewał! Świeżego siana, mojej kapoty... może jeszcze poduszkę dać ci pod głowę?

— Owszem...

— Nie myśl o tem; ja sam jeszcze nie wiem, gdzie będziemy dziś spali, ale to wiem naprzód, że

nie będzie wygody w tem spaniu. Pachciarz Mendel da nam gościnność, bo on jest gościnny, ale całe jego mieszkanie to jedna mała stancyjka, a familia jego duża jest. Mendel, jego żona, ośmioro dzieci i babka przy nich też jest. Trzeba, żebyś Mendla szanował.

— Za co ja mam go szanować?

— Ja ci tak każę, bo ja będę współkę z nim miał, a z czasem, jak dorośniesz, to i tobie Mendel może się przydać. Jest to człowiek mądry irzetelny...

— To biedny musi być.

— Dlaczego?

— Mówicie przecież, że jest rzetelny...

— Słuchaj, Symcha—rzekł Imé pan Dawid—ty już dziś nie myśl, to na ciebie za dużo i za ciężko, a myśli twoje są jak dzikie koty... skaczą z jednego pieca na drugi i same nie wiedzą, czego im potrzeba.

— Ja jednak wiem.

— Mówię ci, daj pokój... Widziałeś zapewne nieraz małe dzieci, które jeszcze nie umieją chodzić.

— Mam braci...

— No, to wiesz, że takie dzieci porywają się do chodzenia, a padają i tłuką sobie nosy, dlatego, że nie mają jeszcze dość siły, aby kierować swoimi krokami. Otóż ty jesteś także małe dziecko i nie umiesz chodzić.

— Bogu dzięki, zaszedłem przecież już prawie do samego Trzmiela.

— Nogami; ale twój mózg jeszcze chodzić nie umie i ciągle się potyka... Poczekaj, ty się wzmocnisz z czasem i będziesz chodził porządnie, ale wprzód musisz się nauczyć. Trzeba słuchać starszych ludzi, co oni powiadają; trzeba siedzieć nad starymi książkami i czytać, co w nich napisane; trzeba poznać dużo interesów, dużo handlu, a wtenczas myśl będzie miała dobre nogi i potrafi chodzić jak należy... Otóż, widzisz, jesteśmy u celu. Ta wioska nazywa się Trzmiel... Kawalek drogi ładny!

— Oj!—westchnął Symcha— będę ja go dobrze pamiętał.. Zaczekajcie no trochę.

— Co ci trzeba?

— Ja się boję.

— Czegóż znów?

— Tam zapewne są złe psy i trzeba poszukać kija, żeby się bronić przed nimi.

— Nie bój się... jeszcze przyjdzie taki czas, że będziesz chodził po wsi, jak po swojej stancyi, i żaden pies nie potrafi cię nastraszyć.

— Tymczasem ja się boję.

— Nie lękaj się... nie pójdziemy przez wieś, ale boczną drogą, po za domami. Pachciarz nie mieszka we wsi, ale na folwarku, niedaleko dworu.

— Co jest folwark? co jest dwór?

— Znów się pytasz!

— Bo nie wiem.

— Widzisz... jak dla nas, dwór, folwark, to jest interes hurtowy, a wieś detaliczny... Czy teraz rozumiesz?

— Cokolwieczek, ale nie bardzo.

— Trzeba ci wiedzieć, że we dworze mieszka purec, który ma dużo ziemi, dużo lasów i dużo interesów; a we wsi mieszkają chłopci... ci zaś mają mało ziemi, a lasu ani interesów nie mają wcale. To jest taki dla nas geszeft jak nafta: może być na całe beczki, a może być na funty. Otóż folwark jest interes na beczki. Nie potrzebuję ci opowiadać, że do handlu beczkowego pasuje żyd z trochę większym kapitałem; do drobiazgowego handlu tyle nie trzeba... można zacząć nawet z jednym rublem.

— To Mendel jest beczkowy kupiec?

— Mendel jest Mendel, rozumny człowiek; na beczkowy interes go stać, ale i drobnym nie pogardzi. Dlaczego ma gardzić? O, widzisz, tam w dużej gromadzie stoją drzewa, a pomiędzy nimi bieli się budynek.

— Widzę.

— To jest dwór; a tam znów, cokolwiek na lewo, znajduje się kilka dużych budynków... to jest fol-

wark. Pomiędzy dworem a budynkami stoi maleńki, bardzo maleńki domek... tam mieszka Mendel. On musi mieć ciągle oko i na folwark i na dwór.

— Dlaczego?

— Bo on jest Mendel.

— No, no...

— A jeżeli będziesz się pilnie przypatrywał, jak już staniemy u Mendla, to zobaczysz, że w jego mieszkaniu jest też maleńkie okienko, które wychodzi na wieś. Mendel musi mieć także oko i na wieś.

— W takim razie... ile on ma oczów?

— Tylko dwa, ale w dobrym gatunku.

Imé panowie Kalkuglowie, nie dochodząc do wioski, zwrócili się wązką dróżką, wśród pól się ciągnącą, w stronę folwarku i zatrzymali się przed domostwem, które zajmował wraz ze swoją rodziną Imé pan Mendel Szkolnik, pachciarz.

Domostwo rzeczzone, w jednej połowie zupełnie zrujnowane i niezamieszkałe, znajdowało się nieco na stronie, tak, że chcąc się do niego dostać, należało zboczyć z drogi i pójść opłotkami. Obok domu znajdowała się mała stajenka, przed którą stała biedka dwukołowa oraz wóz z wasągiem, do dalszych peregrynacji i do wożenia towarów służący. Przed domem bawiła się gromadka dzieci, a na każdym prawie kolku, wystającym z płota, wisiał duży, siwy gar-

nek gliniany. Ze trzydzieści ich było, a może i więcej. Na progu dziewczyna, najstarsza córka Imé pana Mendla, skrobała kartofle.

Gdy Imé pan Dawid z synem przyszedli i dziewczynę grzecznym słowem pozdrowili, wnet wyszedł z domostwa sam pan Mendel we własnej osobie i poprosił gości, aby spoczęli na progu, lub na wielkim kamieniu, koło izby leżącym.

— Zaraz będę gotów—rzekł do Dawida—tylko w stroju pewne uczynię dopełnienia.

Jakoż rzeczywiście Imé pan Mendel ubrany był po domowemu: w pantoflach i bez szaty zwierzchniej; miał na sobie pończochy niebieskie, szerokie hajdawery dreliszkowe, tudzież szatkę starożytnym krojem, bez boków i bez rękawów, białą z czarnymi szlakami, opatrzoną pęczkami nitek na rogach. Ciemna broda, spadająca mu na piersi, bardzo pięknie na białem tle tej szatki odbijała.

Goście usiedli na kamieniu, gospodarz zaś zniknął we wnętrzu chaty i po chwili ukazał się odziany jak należy—w żupanie kamlotowym świecącym, przepasany pasem bawełnianym czarnym, w ręku miał laskę i był zupełnie gotów do drogi.

Imé pan Dawid kazał synowi zostać i czekać, dopóki nie wróci, powierzył też jego opiece torbę, w której znajdowała się jeszcze reszta chleba, zaleciwszy, iżby do niej zbyt często nie zaglądał.

Symcha posilił się nieco, a czując wielkie zmęczenie, wybrał sobie dobre miejsce pod ścianą, torbę podłożył pod głowę i wyciągnął się na piasku jak długi.

Bolały go nogi i plecy i wogóle czuł się bardzo znużonym; to też, pomimo wielu wrażeń, jakich w czasie podróży doznał, pomimo różnych myśli nadzwyczajnych, tłoczących mu się do głowy, oczy mu się zaczęły kleić i sen go powoli ogarnął.

Byłby też zaraz usnął, ale zainteresowała go rozmowa dwóch małych chłopców, którzy tylko co przyszli i niedaleko niego usiedli, rozmowa tem ciekawsza, że, o ile Symcha mógł wyrozumieć, po trosze i jego osoby dotyczyła. Jednym okiem nieznacznie zerknął na mówiących, ale je zamknął natychmiast i udawał śpiącego.

Do ucha jego wpadał po trosze następujący dyalog:

— Mojsie, co to za mały żydek leży pod ścianą? nie wiesz?

— Owszem, wiem; pytałem o to siostry. To jest syn Dawida Kaltkugla. Dawid poszedł z naszym ojcem do dworu, a chłopak odpoczywa. Przyszedł piechotą z miasta, zapewne jest zmęczony... i usnął.

— Niech sobie śpi. Nie wiesz, jak jemu na imię?

— Podobno Symcha. Ja wiem, po co tu przyszli. Słyszałem, będąc ostatnim razem w mieście, jak się ojciec nasz z Dawidem umawiał. Dawid weźmie w dzierżawę ogród i, jak się zdaje, zostanie tu we wsi na dłużej.

— Ja myślę, że dla nas wcale to nie jest potrzebne.

— Może tak, może i nie. Żeby nam miało szkodzić, toby ojciec jego tu nie wpuścił. Oni mieli z sobą długą naradę, targowali się przez kilka godzin; ja byłem przy tem, słyszałem. Podobno w mieście teraz ciężko, niema zarobku, więc Dawid chce na wieś. Ma trochę pieniędzy. Ogród podobno bierze do spółki z ojcem, inne interesa sam będzie robił. Dobrze nie wiem, dlatego, że chwilami rozmawiali po cichu i nie mogłem rozumieć... ale tak miarkuję.

— Ciekawy jestem, czy ten Symcha ma pieniądze.

— Na co ci jego pieniądze?

— Moglibyśmy jego wziąć do spółki; możnaby zrobić większe interesa. Ja dziś przyniosłem i sprzedałem matce tylko osiem jaj. Szkoda mego chodzenia...

— Ja i tego nie miałem. Cały mój zysk dzisiejszy to pół garnca grochu; dałem za to Walkowi od sołtysa trzy papierosy...

— A ile dostałeś od matki za groch?

— Nie sprzedałem... dawała bardzo mało; wolę sprzedać w mieście .. będzie jarmark za kilka dni.

Symchę zupełnie sen odbiegł. Leżąc z przy-
mknętymi oczami, słuchał rozmowy, która coraz bar-
dziej ciekawą mu się wydawała. Wyrozumiał z niej,
że ci chłopcy prowadzą operacye na własną rękę, że
zamiast pieniędzy płacą papierosami i mają stosunki
handlowe z Walkiem, Jankiem, Maćkiem, Wojtkiem,
tudzież Marysią, Nastką, Franką, które nie przyjmu-
ją za gotowiznę papierosów, lecz cukierki groszowe,
igły, kolorowe tasiemki i tym podobne drobiazgi. Do-
wiedział się, że synowie Imć pana Mendla zaczęli
z paroma groszami, a obecnie już mają po kilka rubli
w obrocie; że na zbliżający się jarmark mają zamiar
nabyć kurecząt, na jesień zaś będą mogli puszczać się
nawet na kupno wielkich zwierząt, n. p. na barana lub
cielę. Dowiedział się też, że marzeniem owych mło-
dzieńców jest nabyć hurtownie kilka garncy wódki
i roznosić ją po wsi, czy po wsiach, we flaszkach —
i, że można mieć na tem jeszcze większe zyski, aniżeli
na handlu papierosami i cukierkami. Nie wszystko
dobrze rozumiał, ale przyszedł do przekonania, że ko-
rzystniej jest prowadzić takie interesa, aniżeli sie-
dzieć w chederze i kilka razy na dzień brać ciężki
od Imć pana Klopmana...

Teraz przypomniało mu się pewne zdanie staro-
żytnego mędrca, które bardzo często powtarzał dzie-
dek Migdał, a mianowicie: że człowiek najwięcej się
uczy w podróżach... Kiedy Symcha tę sentencyę sły-
szał, wydała mu się ona z gruntu fałszywą, bo prze-
cież nikt nie bierze z sobą w drogę ani ksiąg, ani nau-
czyciela; teraz dopiero, odbywszy pierwszą w życiu
swem podróż, przekonał się, że mędrzec miał słuszną
zupelną. Podróż z miasteczka do Trzmiela nie może
być uważana za wielką podróż ani ze względu na dłu-
gość drogi, ani ze względu na czas, na jej odbycie
potrzebny—a jednak w tej podróży nauczył się Sym-
cha więcej, aniżeli w całym swoim życiu dotychczas-
sowem. Co dopiero muszą umieć ludzie, spędzający
w podróżach całe lata!

Stary Klopman nie daje tyle wiadomości przez
rok, ile krótka wycieczka przez dzień, zwłaszcza gdy
się pomyślnie złożą okoliczności.

Chcąc jeszcze bardziej wiedzę swoją wzbogacić
i bliżej synów pachciarskich poznać, Symcha przestał
udawać śpiącego i podniósł się z ziemi.

Ceremonia powitania i zapoznania się wzajemne-
go długo nie trwała i odbyła się w kilku słowach.
Rozmawiano o interesach i o nauce. Chłopcy odby-
wali ją również w miasteczku, ale nie u Klopmana,
lecz w szkole innego mistrza. Od roku są na wsi,
a na jesień znów mają do szkoły wrócić — co im się

nie bardzo uśmiecha, gdyż w szkole nie można nic zarobić, ani interesów prowadzić; lecz wola ojca jest wyraźna—tak chce, tak być musi.

Zapytali następnie Symchy, czy zechce być ich współnikiem i czy posiada pieniądze. Pokazało się, że młodzieniec nie jest bez kapitału.

— Ile?

— Jeżeli dolożyć dwie dziesiątki, będzie cały rubel—odrzekł z dumą.

— I to jest coś warto—odrzekł Mojsie—myśmy jeszcze z mniejszem zaczęli.

Symcha opowiedział, że jeszcze nigdy handlu nie prowadził — ten zaś kapitał, jaki posiada, zbierał z drobnych datków, jakie otrzymywał od krewnych. Pierwszym fundamentem był trojak od dziadka — on to ciągnął do siebie więcej monety. Czasem ojciec dał grosz, czasem matka—i zbierało się.

— Pytacie—rzekł — czy chciałbym należeć do spółki? Z największą chęcią; tylko nie wiem, co zrobi ze mną ojciec: czy odbierze mnie od Klopmana, czy każe nadal u niego pozostać. Ojciec chce, żebym dużo umiał...

— Uczonym będziesz?

— Chyba nie...

— Dlaczego?

— Trudno nim zostać... Ja głowy takiej, jak do tego potrzeba, nie mam.

— A może i ochoty ci brak.

— Naprawdę, wolałbym zostać tu z wami i handlować; to mi się lepiej podoba. I wieś mi się podoba: na wsi jest ładniej, niż u nas w miasteczku; tylko jedna rzecz bardzo tu zła.

— Co?

— Psy.

— Jakie psy?

— Te chłopskie, które szcekają i chcą kąsać. Ja się boję psów. A wy nie boicie się?

— Nie; one nas znają.. Myśmy dawniej też się bali, ale teraz wcale nie; mamy na nich sposób.

— Kto was nauczył?

— Ojciec. On powiedział, że skoro pies szekka, trzeba mu gębę zatkać.

— Ale jak?...

— Rzucić mu kawałek chleba... Ojciec opowiadał z tego powodu dużo bardzo ciekawych rzeczy. Słuchaliśmy przez cały wieczór... My ci to kiedyś, później, wszystko powtórzymy...

— Bardzo wam dziękuję...

— Masz być naszym współnikiem, to powinieś wiedzieć wszystko, co potrzeba.

Dyskurs ten został przerwany, gdyż właśnie Imé panowie Dawid i Mendel powracali ze dworu, gdzie właśnie pakta, dzierżawy ogrodu dotyczące, ułożyli. Po lekkiej sprzeczce, która trwała z pół godziny, lecz do wielkiego rankoru nie doprowadziła, gospodarz i gość zasiedli do kolacyi, sumptem pana Mendla wyprawionej; a że Imé pan Dawid, po dokonanych tranzakcyach, w humorze dobrym był, przeto dał synowi nieco wódki i zostawił mu trochę gorącej strawy, tak, że Symcha, chlebem dołożywszy, podjadł sobie niezgorzej i na głód się nie uskarżał.

Po kolacyi długo jeszcze obadwaj mężowie ze sobą konferowali a Imé pan Dawid część swoich pieniędzy Mendlowi oddał, podług umowy, którą bardzo pod względem szczegółów drobiazgowo, ustnie pomiędzy sobą ułożyli.

Dla wielkiej ciasności w izbie, panowie Kaltkuglowie położyli się spać w sieni, na garści słomy, gdzie byłoby im bardzo wygodnie, gdyby nie koguty, zawczasu na jarmark kupione i w tejże sieni trzymane. Ptaki te o północy, przed świtem i o samym świecie srodze się darły i przyjemne sny Imé panom Kaltkuglom przerywały.

Modlitwy ranne odprawiwszy, pan Dawid wraz z synem Trzmiel opuścił i z powrotem do domu się udał.

Był on już w miasteczku niejako gościem tylko, gdyż za parę dni wszelkie ruchomości swe tudzież rodzinę na wielki wóz zabrawszy, do Trzmiela odjechał, gdzie mu w ogrodzie dworskim zawczasu piękną budę słomianą Mendel na mieszkanie przygotował. W niej to zainstalowała się cała rodzina, chociaż jeszcze owoców na drzewach nie było i oczywiście o sprzedawaniu ich nikt nie myślał. Było jednak mieszkanie, były wióry i gałęzie na ogień, były kartofle i inne warzywa, których nie żałowano we dworze.

Tam to sobie szczęśliwie Imé pan Dawid csiadł, tusząc nie bez zasady, że do świąt jesiennych na świeżem powietrzu przemieszka, a potem zimowego *locum* sobie poszuka.

I w istocie dobrze uczynił, że się z miasteczka wyniósł, słusznie bowiem powiadają ludzie, że zmiana miejsca daje zmianę szczęścia.

W Trzmielu wszystko zapowiadało się bardzo szczęśliwie. Słońce świeciło jasno, dając światło i ciepło, pobudzając do życia rośliny. Na agrestowych k-zakach wkrótce zaczęły dojrzewać owoce, porzeczeki zaczęły się czerwienić. Nadzieja dobrych zbiorów wstępowała w serce Imé pana Dawida.

Powiedział mu Mendel, że takie interesa idą bardzo szybko: agrest, czereśnie, porzeczeki, wiśnie, gruszki małgorzatkki, jakóbówki, jabłka papierowe,

sapieżanki, panny, znów jabłka i gruszki, wreszcie śliwki i jesienne gruszki oraz jabłka, potem zbiór ogólny towaru... święta Nowego Roku — i interes skończony.

Zanim owoce dojrzały, Imé pan Dawid czasu próżno nie tracił; na wieś chodził, chłopów poznawał, kupował od nich drób, masło, różne wiktuały, jakie mieli do sprzedania. Gdy sam odpoczywał w budzie, żona wychodziła na wieś, zawiązywała stosunki z kobietami, każdej miała coś przyjemnego do powiedzenia, niejednej wygodziła drobną pożyczką, doradziła, w którym sklepie w miasteczku najtaniej można chustkę czerwoną kupić.

Bardzo dobrze sobie oboje ci państwo poczynali, a Dawid co piątek rano do miasteczka przyjeżdżał i różne rzeczy na sprzedaż przywoził, tak, że zawsze grosz gotowy miał przy sobie i zupełnie inaczej niż dawniej na świat spoglądał. Doszło wkrótce do tego, że raz w tygodniu na szabas kupował mięso i ryby, bo o te w okolicy było łatwo. Koło Trzmiela płynęła mała rzeczka, a chłopcy wiejscy łowili w niej kosałkami albo na podrywki małe rybki i chętnie pani Dawidowej sprzedawali.

Do dworu Imé pan Dawid nie zaglądał, tak albowiem było umówione, że dwór i folwark znajdować się ma wyłącznie pod wpływem i protektoratem Men-

dla, i że wchodzi w jego sferę interesów. Warunek ten był ściśle przestrzegany i szanowany, a Dawid swoją faktoryę tylko dla chłopów utrzymywał.

Cierpiał dotkliwie i bolał mały Symcha, że mu wiejskich rozkoszy używać nie dano, i że, podczas gdy jego najmłodszy bracia mieli na spadłych i robaczywych owocach bardzo szeroką służebność, on musiał przesiadywać w dusznej izbie Imé pana Klopmana i ślęzcęć nad różnemi zawiłemi kwestyami.

— Ojcie kochany — upraszał przed wyjazdem — zabierz mnie z sobą.

— Nie mogę.

— Ojcie!

— Na żaden sposób nie mogę... ty musisz się uczyć i nie możesz zostać ordynarnym człowiekiem.

— Jąbym ojcu chętnie pomagał.

— I na to przyjdzie czas.

— A kiedy ten czas przyjdzie?

— Nie wiem; to od ciebie zależy. Musisz dojść do pewnego stopnia edukacyi, a potem wezmę cię do domu. Tymczasem będziesz mieszkał u ciotki Ruchli i chodził dalej do Klopmana.

— Ciotka jest skąpa, a Klopman bije.

— Ja na to nic nie poradzę. Ucz się dobrze, będziesz w szkole krócej. Ciebie wezmę na wieś,

a młodszych twoich braci oddam do szkoły lub przyjmę do nich nauczyciela.

— Oni są zawsze szczęśliwsi niż ja...

— Ty czekaj, może i do ciebie szczęście przyjdzie.

Nie tyle było młodzieniaszkowi żal wsi i świeżego powietrza, ile interesów, któreby wspólnie z synami Mendla prowadził; nie tyle go martwiły książki, zaduch izby szkolnej i szturchańce Klopmana, ile niemożność handlowania na własną rękę. Jemu tak się podobała ta samodzielność, on tak bardzo pragnął dorobić się — zostać bogatym, bogatym jak Gdali Tropfenholz, pierwszy pieniążnik i kupiec w całym miasteczku. Aby dopiąć celu jak najprędzej, postanowił Symcha przykładać się do nauk.

— Chcecie, żebym się uczył... dobrze, ja wam pokażę sztukę — i rzeczywiście pokazał.

Przychodził do szkoły pierwszy, wychodził ostatni, nie rozmawiał z nikim, tylko przez cały dzień czytał takim rozpaczliwym głosem i kiwał się nad stołem tak energicznie, że stary Klopman, niepomiernie zdumiony, zastanawiać się zaczął nad pytaniem, z kąd nagle w takim nędznym uczniu przebudził się duch.

Niestety, o mały włos usiłowania Symchy nie doprowadziły do wprost przeciwnego celu. Imé pan

Klopman powiedział panu Dawidowi o nadzwyczajnej pilności syna, czem serce ojcowskie uradował ogromnie.

Imé pan Dawid pogłaskał syna po głowie, dał mu całą garść miedziaków i rzekł:

— Chwalić Boga, jestem z ciebie kontent... masz oto trochę pieniędzy, żebyś wiedział, iż sprawiłeś mi wielką przyjemność.

Symcha nic nie odrzekł, lecz przedewszystkiem przeliczył pieniądze i poprosił o wymianę jednego czworaka, który był bardzo wytarty i zniszczony.

Ojciec dobry i to życzenie spełnił, a następnie rzekł:

— Rozradowałeś serce moje i dziękuję ci za to.

— Cóż zrobiłem?

— Przykładasz się do nauk, czytasz. Klopman twierdzi, że w krótkim czasie staniesz się drogocenną perłą, która przyozdobi jego szkołę. Mnie to sprawia wielką pochieć, mój synu.

— Staram się prędzej skończyć naukę, aby być wam pomocą w zatrudnieniach.

Imé pan Dawid pogłodził się po brodzie.

— I to, co powiedziałeś — rzekł, — świadczy o tobie dobrze; ale nie myśl o tem. Dzięki Bogu, jestem jeszcze dość młody i zdrow, aby prowadzić te nie-

wielkie interesa, jakie mam; więc nie widzę potrzeby odrywać cię od nauki, z którą od niejakiego czasu tak pięknie sobie poczynasz. Nie schodź z tej drogi i ucz się.

— Jak długo?

— Nauka nie ma końca.. a kto chce być uczonym, nie może sobie powiedzieć, że skończy swoją naukę za rok, czy za dwa lata. Ty się będziesz uczył, dopóki nie dorośniesz; a gdy dorośniesz, jako młodzieniec oddany nauce i sławny z nauki, dostaniesz żonę bogatą; a gdy dostaniesz żonę bogatą, nie będziesz nic innego robił, tylko się uczył... Kto wie, jakie na ciebie honory spadną!... kto wie, czy nie staniesz się chlubą swojej rodziny, ozdobą miasta!

Bardzo wymownie, a nawet z rozrzewnieniem, Imć pan Dawid przemawiał do syna, ten zaś stał ze spuszczoną głową, pokornie, jak przystoi dobremu, posłusznemu dziecku.

Gdy ojciec odjechał, Symcha zaczął rozmyślać i przyszedł do przekonania, że popełnił kapitalne głupstwo, — że staranność i pilność, z jaką przykładał się do nauki, zamiast wyprowadzić go co rychlej z przybytku mądrości i z pod władzy Klopmana, kępowała go jeszcze mocniejszymi węzłami ze światem starych szpargałów i wcale inną, aniżeli sobie zamierzył, torowała mu przyszłość. Zastanowiwszy się nad

tem dobrze, słusznie pomyślał Symcha, że należy wielki zapal pohamować, a poziom gorliwości tak obniżyć, iżby stary Klopman w zachwyt nie wpadał i serca ojcowskiego zanadto nie rozradował.

Jakoż nazajutrz i dni następnych Symcha był w szkole jak gdyby śpiący i miał minę tak głupią, że aż Imć pan Klopman zaniepokoił się o zdrowie swego ucznia.

Rzeczywiście, dzięki oszczędności ciotki Ruchli, Symcha Boruch, bardzo lichy żywiony, lichy też i na obliczu wyglądał; był błydy i chudy, a jeszcze gdy twarz wykrzywił i minę zrobił płacziwą, wydawał się jak ów, co dopiero po ciężkiej chorobie łoża boleści opuścił. W szkole był jakby senny, ale myśl jego pracowała usilnie. Niby ptak na skrzydłach, biegła ona do Trzmiela. Ta wioska w marzeniach Symchy przedstawiała się niby ziemia obiecana — o niej tylko myślał. Postanowiwszy nie odznaczać się wielkimi postępami w nauce i nie okazywać gorliwości nadzwyczajnej, Symcha powoli schodził z piedestału, na który był się wyniósł w opinii Imć pana Klopmana; z każdym dniem był niżej i niżej, aż zeszedł na stopień ostatni, tak, że mistrz splunął z oburzenia i przyszedł do wniosku, że nie warto wlewać oliwy mądrości w takie marne naczynie.

Przy pierwszej zdarzonej okazji zawiadomiony

był o tem Imé pan Dawid. Mąż ten ze smutkiem ujrzał, że jego nadzieje rozwiały się zupełnie, że na polu nauki Symcha zaszczytów nie zdobędzie.

Ciężka to dla serca ojcowskiego przykrość widzieć rozwiane co do dziecka nadzieje, atoli trzeba się było zgodzić z losem i z ambicyi wysokich zrezygnować, co też Dawid uczynił. Symcha w dalszym ciągu do szkoły Klopmana uczęszczał, ale już nie jako przyszły luminarz nauki, lecz jako zwykle indywiduum, które tyle wiedzy mieć musi, ile w powszednim życiu potrzeba.

Siedziało tedy dwunastoletnie pacholę nad książkami, aby się nauczyć tych wiadomości, bez których żaden żyd obejść się nie może,—a gdy wystudyował już traktat o kobietach i o prawie rozwodowym, puszczone go na wolność.

Wówczas ciotka powiedziała do niego:

— Skończyłeś swoją naukę, idź do domu.

Młodzieniec tego tylko czekał. Kupił kilkadziesiąt papierosów na spekulację. a kawałek chleba na drogę, i pobiegł co żywo za rogatki, ani obejrzawszy się na akademię Klopmana, w której kilka lat przepędził...

Nie szedł on, ale biegł—wszakże wkrótce sił mu zabrakło; usiadł przy drodze. Nagle usłyszał turkot wozu za sobą... chłop próżnym wozem z miasta powra-

cał. Symcha pomyślał sobie, coby to było za szczęście, gdyby ten chłop jechał w tę samą stronę.

— Panie gospodarzu, panie gospodarzu! — zawołał.

Pan gospodarz był to szesnastoletni wyrostek, któremu ten tytuł bardzo pochlebił, zatrzymał więc konia i zapytał:

— Cóż chcesz, żydku?

— Ja chciałem zapytać, w którą stronę pan gospodarz jedzie?

— Z Trzmiela jestem i jadę do domu.

— Aj, to dobrze, to bardzo dobrze, bo ja też jestem z Trzmiela.

— Toś tego zelgał, żydku; bo ja cię nie znam.

— Prawdę mówię; mój ojciec nazywa się Dawid, w Trzmielu mieszka.

— A juści mieszka, ale ciebie ja pierwszy raz widzę.

— Bo ja byłem w mieście w nauce, a teraz będę przy ojcu. Ja chciałem was prosić, panie gospodarzu, zabierzcie mnie do Trzmiela... mnie ciężko taki kawał drogi piechotą iść.

— A co dasz za to?

— Poczęstuję was dobrym papierosem; mam taki gatunek, jakiego pan gospodarz jeszcze nie widział.

To mówiąc, Symcha dał chłopakowi papierosa.

— No, dobrze, siadaj; ale w Cyganie półkwaterek wódki kupisz.

— Kupię.

Symcha wgramolił się na wóz — i chociaż siedział bokiem i na desce, przyznał jednak w duchu, że taki sposób podróżowania jest daleko prędszy i przyjemniejszy, aniżeli piesza wędrówka.

— Czy to wasz wóz? — zapytał Symcha.

— Nie, ojcowski.

— A koń?

— Także ojcowski. Wozilem drzewo na targ, sprzedałem i wracam do domu.

— A kto weźmie pieniądze za drzewo? wy, czy wasz ojciec?

— Ma się rozumieć, że ojciec. Ojciec to drzewo w lesie zakupili, ojcowy koń i wóz, to i pieniądze trzeba ojcu oddać.

— A co wy z tego macie?

— Co mam mieć? Nic nie mam. Każę ojciec jechać, to jadę...

— To nie jest sprawiedliwie.

— Dlaczego?

— Powinniście mieć coś za swoją fatygę.

— E, jaka tam fatyga...

— Czy wy macie żonę i dzieci? — zapytał Symcha.

Chłopak na całe gardło się roześmiał.

— Chyba ty masz żonę!

— Ja jeszcze nie mam — odrzekł z całą powagą młody Imć pan Kaltkugel.

— To i ja nie mam.

Z dalszego dyskursu dowiedział się Symcha, że chłopak jest synem zamożnego gospodarza Muchy, że mu na mię Ignac, że Dawida i całą jego rodzinę dobrze zna, że Dawid i Dawidowa często u jego ojca i matki bywają i handle rozmaite prowadzą.

— A z kim pan Ignac handluje? — zapytał Symcha.

— Nie mam ja czem handlować.

— Zawsze się coś znajdzie, a handel jest dobra rzecz: Kto handluje, ma pieniądze; a bez pieniędzy żyć trudno jest.

We wsi Cygan chłopak zatrzymał konia i przypominał młodemu Kaltkuglowi obietnicę, którą tenże spełnił, aczkolwiek nie bardzo chętnie, gdyż żał mu było naruszać kapitał... Pocieszał się jednak tą myślą, że zabrał znajomość i zawiązał stosunek, który w przyszłości może mu się na coś przydać.

Gdy przybyli do Trzmiela, dzień jeszcze był, — że zaś właśnie w całej pełni lata rzecz się działa,

przeto wioska wyglądała pięknie i ponętnie, jako i zawsze w takiej porze roku wygląda. Niby wysepka, wynurzała się z wielkiego morza zieloności, zefirek swawolny po drzewkach przebiegał, liśćmi na drzewach kołysał i takie z łąk przynosił zapachy, takie od bliskich lasów aromaty, że mogło się zdawać, iż jakąś wielką kadzielnicę niedaleko wioski zapalono.

Nie można twierdzić, jakoby przyjęcie, jakiego Symcha w domu rodzicielskim doznał, było wyjątkowo czułe i serdeczne; Imć pan Dawid uderzył kilkakrotnie pierworodka swego po karku i nazwał go bez ceremonii osłem, pani Dawidowa zaś wyrzuciła cały potok słów gwałtownych, z którego to można było tylko wyrozumieć, że każda gęba, którą trzeba żywić, sprawia przyjemności niewiele, a głupia gęba najmniej.

Po takim przywitaniu Symcha obszedł ogród, policzył w nim wszystkie drzewa i usiłował policzyć wiszące na nich owoce, co mu się jednak, zarówno dla obfitego urodzaju, jako też i dla zapadającego już zmroku, udać nie mogło; następnie pobiegł do synów Mendlowych i z nimi dość długo konferował.

Był już wieczór dość późny, kiedy powrócił do ogrodu, gdzie miał wraz z ojcem nocować, Imć państwo Kalkuglostwo bowiem prowadzili podczas lata dwa dwory—jeden w sąsiedztwie Mendla, a nawet

pod tym samym dachem, co on, w odnowionym czworaku, drugi zaś w budzie ogrodowej, celem pilnowania, izby różni łakomcy i złodzieje spustoszenia w owocach nie czynili. Oczywiście w zimowej siedzibie nocowała pani Dawidowa z małemi dziećmi, w letniej pan Dawid ze starszymi synami. Gdy Symcha Boruch przybył, i jego także na tym letnim umieszczono posterunku.

Ojciec wytłómaczył mu ważność zadania, zapowiedział, żeby spał czujnie i lekko, jak zając; żeby w razie najmniejszego szmeru, który mu się podejrzanym wyda, na równe nogi się zrywał i krzyk wielki czynił. Aczkolwiek Symcha nigdy jeszcze w swem życiu zajęcia nie widział i nie miał wyobrażenia o tem, jak zwierz rzeczony sypia—przrzekł jednak spełnić wszystko, co od niego żądano, i w razie podejrzaných szmerów alarm czynić.

Rozciągnąwszy się w budzie na słomie, której tam wielka znajdowała się obfitość, położywszy pod głowę kapotę, Symcha leżał bardzo wygodnie i z rozkoszą wciągał w siebie zapach jabłek papierówek, w kącie budy złożonych, łowił uchem delikatny szmer liści, wpatrywał się w łagodne światło księżycy, które między drzewami jaśniało...

Czuł się przeniesionym w świat inny, niepodobny zupełnie do tego, w którym żył dotychczas. Za-

miast twardej ławy, na której w ciasnym i dusznym mieszkaniu sypiał, miał pod sobą miękką słomę i czuł zapach jabłek, — zamiast łojówki lub kopcącej lampki naftowej — srebrne światło księżycy; po twarzy muskał go wietrzyk przedziwnie miły i łagodny, a z oddalenia dochodził jego uszu melancholijny chór żab i wesołe pokrzykiwanie derkaczy.

Doznając tylu nowych a różnorodnych wrażeń, Symcha zasnął snem mocnym, ale niespokojnym. Zdawało mu się, że jakaś wychudła, koścista ręka chwyta go za ramię, porywa za włosy i ciągnie daleko, daleko, — że ta ręka mocna jest jak żelazo a zimna jak lód, i że wlecze go napowrót do szkoły, przed surowe, groźne oblicze Klopmana...

Ciężkie to były sny...

Zdawało mu się, że mistrz podnosi pięść i uderza. Pod wpływem strachu zerwał się młody Kaltkugel na równe nogi i zobaczył, że ojciec stoi nad nim zagniewany.

— To tak sypia zając! — mówił Imé pan Dawid, targając chłopca za ucho — tak zając sypia ty leniuchu!

— Co ojciec chce?

— Takiś to pomocnik mój!... Śpisz jak pijany chłop, dobudzić się ciebie nie można... Tobie szewcem być i chłopskie buty łątać, ale nie porządnym sado-

wnikiem... Wstydz się, na każdym kroku tylko zmartwienie mi przynosisz...

— Ale co ja mam robić? Co ojciec każe, żebym robił? Ja się postaram.

— Chodź! ze mną.

To rzekłszy, Imé pan Dawid wyszedł z budy i powoli, starając się robić jak najmniej hałasu, udał się w tę stronę ogrodu, z której, jak mniemał, wychodziły jakieś podejrzone szmery. Symcha szedł za ojcem, trzymając się jego kapoty. Doszli do samego parkanu i nie znaleźli nikogo.

Takich peregrynacyi odbył Symcha tej nocy jeszcze dwie, co mu się bynajmniej nie podobało...

— Proszę was — rzekł do ojca, — ja tego nie rozumiem... Czego my szukamy?

— Mówiłem ci już, że szukamy złodziejów.

— Kiedy ich niema...

— Nie masz bystrego umysłu; gdyby byli, nie potrzebowalibyśmy ich szukać...

— Ale kiedy spać?

— Mało masz czasu w dzień?

Symcha nic na ten argument nie odrzekł, ale postanowił sobie, że w dzień spać nie będzie. Miał on swoje projekta i co rychlej pragnął do ich wykonania przystąpić.

Skoro tylko dzień się zrobił, nie czekając śniadania, pobiegł do synów Mendla.

Ci młodzieńcy wiedzieli już, że przybył, i oczekiwali na niego z niecierpliwością. Zaraz też, gdy im się pokazał, przystąpili do interesu; wprawdzie Symcha Boruch posiadał bardzo niewielki kapitał, ale nie rozpaczano z tego powodu, bo wiadoma jest rzecz, że wielu bogaczów i kupców zaczynało od małego.

Umówiwszy się co do warunków spółki, trzej młodzieńcy udali się na wieś. Symcha bał się bardzo psów, ale widząc odwagę swych towarzyszków, nabrał otuchy i kroczył śmiało.

Po dwóch tygodniach pobytu na wsi już wszelkie jego obawy zniknęły i chodził sobie po wiosce jak po swoim własnym mieszkaniu.

Pomimo, że cały kapitał złożył wspólnikom, jednak i na własną rękę interesu prowadził, miał bowiem kilkadziesiąt papierosów i tymi operował tak szczęśliwie, że w krótkim czasie przyszedł do posiadania kopy jaj, które następnie na targu w miasteczku korzystnie spieniężył.

Imć pan Dawid nie zabraniał synowi tego handlu, owszem rad był, że się chłopiec wprawia...

— Nie będziesz uczonym — rzekł raz do niego — bądź przynajmniej bogatym.

— Bardzobym pragnął.

— W takim razie krzątaj się i patrz, jak postępują starsi. Uważaj co robi Mendel; uważaj, co ja robię.

— Będę się starał, żeby było dobrze, tylko nie brońcie mi działać; ja mam swoje kombinacje.

— Jakie kombinacje mieć może taki głupi chłopak jak ty?

Symcha uśmiechnął się tylko, ale nic nie odrzekł; przyzwyczał się już do tego, że mu ciągle głupotę zarzucano, ale nie dbał o to, czuł bowiem, że posiada w sobie dość siły, aby handel prowadzić.

Pobyt na wsi doskonale mu służył. Symcha zaczął rosnąć i nabierać siły. Mógł bez wielkiego zmęczenia odbywać drogę pieszo do miasteczka i z powrotem, niosąc przytem w worku lub w koszu jakiś towar; łaził po drzewach jak kot, a kiedy przyszedł czas zbierania owoców, bardzo pięknie wywiązywał się z zadania, tak, że ani jednej gruszczyki, ani jednej śliwki na drzewie nie zostawił.

Nie będziemy opisywali szczegółowo wszystkich czynności, wszystkich spekulacji, jakie Symcha Boruch na swą rękę podejmował. Byłby to register zbyt drobiazgowy i długi. Dość będzie, gdy powiemy, że gruszek w popiele nie zasypiał i grosz ciągle przyrabiał.

Przytem miał szczęście; z dziećmi przeważnie

handlując, nie obawiał się, że może być oszukany; niepowodzeń też nie miał, ze stratą uic nigdy nie sprzedał i tylko raz jeden trafiło mu się nieprzyjemne zajęcie. Stary chłop dopatrzył, że mu dzieciak z chałupy różne drobiazgi wynosi, postanowił więc rzecz bliżej zbadać i zbadał. Pokazało się, że malec po kwaracie zboża wynosi, a Symcha mu za to papierosy daje.

Właśnie odbywała się taka tranzakcyja za stołką i obie strony targowały się w najlepsze, gdy chłop zaczajony nagle wypadł i obu kontrahentów w swe grube, ordynaryjne łapy pochwyił.

Była to straszna chwila!

Swego synaczka wnet puścił, obiecawszy, że się z nim później rozmówi,—do Symchy zaś, za kołnierz go trzymając, na seryo się zabierał.

Próżno przyłapany młodzieniec, usiłując się wyrwać z chłopskiej dłoni, z płaczem i krzykiem opowiadał o wolności handlu, o małej wartości nabytego towaru; próżno tłómaczył, że w tem, co się stało, nie było nic więcej nad wzajemną wymianę grzeczności. W twardą chłopską głowę te wymowne argumenta na żaden sposób wejść nie chciały. Jedna potężna łapa, niby łapa dzikiego niedźwiedzia, trzymała Symchę za kołnierz, druga zaś na poczekaniu, nie wiadomo z kąd, wzięła pasek rzemienny i zaczęła na plecach Symchy robić takie nieprzyjemne łaskotanie, że biedny młodzieniec w niebogłosy krzyczał.

Wypuszczony nareszcie, zaczął zmykać jak zając, nie przestając krzyczeć—i nie oparł się, aż w budzie ogrodowej, przy ojcu.

Wielce zaniepokojony tem nieprzyjemnem zdarzeniem, Imć pan Dawid niemało miał trudności, zanim z urywanych słów syna dowiedział się, co właściwie jest. Obmacawszy syna, że jest cały, przekonawszy się, że poważnego szwanku na zdrowiu nie doznał—rzekł Imć pan Dawid sentencyonalnie:

— Taka to jest wdzięczność rozbójników...

— Oby ten gałgan ręce i nogi połamał! oby go wielkie nieszczęście spotkało!—preklnął Symcha.—Niech ojciec do sądu tego zbrojka zaskarzy, niech on w kryminale siedzi.

— Zobaczmy, zobaczmy.

— Jakto? Niech ojciec nie zwłóczy... niech idzie teraz, zaraz; przecie nie można pozwolić, żeby taki cham mordował ludzi w biały dzień. Niech ojciec jedzie do sądu.

— Nie trzeba się śpieszyć — odrzekł poważnie Imć pan Dawid;—do sądu idzie się w ostatnim razie, w pierw trzeba próbować polubownie.

— Z takim zbrodniarzem!

— Dlaczego nie, jeżeli on ci za twoją krzywdę zapłaci.

— Ja nie chcę!

- Mówisz głośno, jak dzieciak...
- Mnie boli!
- Posłuchaj spokojnie, ja ci to wytłumaczę.
- To mi bólu nie ulży; jabym wolał, żeby on i zapłacił mi za moją krzywdę i w kozie żeby siedział choćby do samej śmierci.

Bardzo mocno obruszony był Symcha Boruch, zwyczajnie jak młodzik, który każdą rzecz goręcej do serca bierze, aniżeli człowiek dojrzały, i nie umie oburzenia swego pohamować.

Rozumiał to Imé pan Dawid i starał się syna przekonać, że nie jest rzeczą mądrą ani słuszną pochopnie sądzić i pod wpływem wrażeń postanowienia czynić — a tem bardziej sprawy przed sądy wprowadzać. Ten jest albowiem wszelakich sędziów obyczaj, że pytaniami, częstokroć zupełnie niepotrzebnymi, że pytaniami, najczęściej świadków, trapią — i jak zaczęły po nitkach dochodzić, to mogą do nieprzyjemnych klębek dojść i takiego piwa nawarzyć, które do wypicia miłe nie będzie.

Gdy tej przemowy Symcha dokładnie zrozumieć nie mógł, wytłumaczył mu ojciec szczegółowo, że ów chłop o różnych interesach dobrze jest poinformowany, i że za jedną sprawę mógłby wytoczyć kilka i ambarasu niepotrzebnego narobić.

— Lepiej przeto będzie kwestyi tej nie poruszać —

rzekł w konkluzyi Imé pan Dawid, — a porachowanie się z grubianinem do stosowniejszego czasu odłożyć.

Przez jakiś czas Symcha na wsi się nie pokazywał, co wszelako na bieg spraw handlowych jego nie wpływało, gdyż dzieciaki, już do papierosów i łakoci różnych przyzwyczajone, obejść się bez nich nie mogły i pokryjomu do ogrodu różne produkty znosiły, byle tylko dostać, co chciały.

W takich drobnych handelkach, zarabiając potrosze na tem, to na owem, rósł młodzieniec w lata i zasoby, a kiedy już siedemnastą wiosnę ukończył, zaczął ojcu mówić, że Trzmiel dla niego za mały i że pragnie na szerszy świat się wydobyć.

Ojciec zapytał:

— Dlaczego?

— Tu niema co robić — odrzekł syn: — my sobie tylko przeszkadzamy.

— Kto ci przeszkadza?

— Ojciec, matka, bracia, Mendel, Mendłowa, ich dzieci... to jest niedobrze. Ja chciałbym być w takim miejscu, gdzie nikt przeszkadzać nie będzie.

— Trudno to takie miejsce znaleźć.

— Ja już upatrzyłem,

— Gdzie?

— Na co ja mam o tem opowiadać?

— Przecież ja cię nie zdradzę, ani nie ubiegnę.

— Skoro ojciec tak mówi, to się przyznam. Jest ztąd o trzy mile wieś porządna, Bielica.

— Znam bardzo dobrze.

— Tam była dawniej karczma. Budynek jeszcze jest, wprawdzie rozwalony nawpół, ale go można naprawić. Ja mam wielką ochotę na tę karczmę. Ja dobrze się przypatrzyłem różnym interesom i widzę, że karczma najlepszy. Ojciec wspominał, że mnie czas ożenić... niech mnie ojciec ożeni, ja tę karczmę wezmę.

— Głupstwo mówisz... Choćbyś się ożenił, to będziesz siedział trzy lata u rodziców żony, trzy lata u nas, a potem dopiero...

— To jest wcale niepotrzebna rzecz; ja sobie wymiarkowałem, że można się bez tego obejść. Co macie dać w jedzeniu, dajcie w gotówce; ja sobie poradzę sam; mnie się stara karczma w Bielicy bardzo podobała i... niechno ją tylko dostanę...

— To co?

— To zobaczycie... Nieraz mówiliście mi, że muzykantowi potrzebny jest instrument, bo inaczej nie

będzie mógł grać. Mnie właśnie potrzeba instrumentu.

Imć pan Dawid nad słowami syna się zamyslił i kilka godzin w cichej medytacyi przepędził.

KSIEGI TRZECIE.

Jako z poczwarki piękny wyfrunął motyl i jako Symcha Boruch o własnych siłach na drogę życia jest puszczone.

Wśród różnych ludzkiego żywota zagadnień, nie wiem, jest-li trudniejsze nad wybór oblubienicy, która dozgonną ma zostać towarzyszką — i choćby siedmiu mędrców nad tą rozmyślało kwestyą, choćby, wszystką wiedzę swoją wysiliwszy, wybór czyniło, jeszcze jaki feler przeoczą, bo wiadoma rzecz, że niewiasta w sztuce ukrywania i symulacyi mistrzyni jest największa.

W tym świecie, do którego Symcha Boruch należał, wybór o wiele jeszcze jest trudniejszy, ze względu na różne kondycye, wynikające to z prozapii

zacznej, to z bogactwa, to z antecedensów rozmaitych. Przekonał się o tem dowodnie Imé pan Dawid, gdy oblubienicy dla syna pierworodnego po okolicznych miasteczkach szukał; przekonał się tem bardziej, że pragnął szczerze znaleźć taką, która byłaby perłą, godną świecić i jaśnieć w koronie męża. Wprawdzie, nie daleko szukając, bo w tymże samym folwarku, na tem samym podwórku, znajdował się klejnot wspa- niały, ale drożono się z nim bardzo.

Miał Imé pan Mendel córę urodziwą, imieniem Gołda; ta do karczmy się nadawała — była w odpowiednim stopniu wykształcona i potrzebne posiadała talenta. Wymowa jej mogła najbogatszą przekupkę zawstydzić, znawstwo wszelakich produktów doprowadziła do perfekcyi, a siłę przekonywania chłopskich niewiast miała nadzwyczajną i niezwykłą.

I fizyczną pięknoscią dziewczica ta jaśniała. Była ona silna, tęgą, oczy miała czarne i włosy tejże barwy, obfite nieslychanie i zawsze w artystycznym rozrzuczone nieładzie.

Zdarzyło się, że Imé pan Dawid rzucił raz sąsiadowi swemu myśl, że dobrze byłoby tak pięknych dwoje dzieci dozgonnym węzłem połączyć. Imé pan Mendel głową pokręcił i odrzekł:

— Trudno.

— Czy macie co przeciwko memu synowi?

— Nic a nic.
— Czyż nie jest chłopiec gładki, urodziwy i obrotny?

— Bardzo.

— Więc?

— Powiedziałem wam już, że trudno... a dlaczego, to zaraz wam wytłómaczę.

— Cóż mi z tłómaczenia?

— Wiedzieć będziecie, że mam rację... Ja za córką dam więcej, niż wam się zdaje; dam tyle, że wy nie jesteście w stanie odpowiedzieć na to taką samą sumą za waszego syna. Nie ubliżam honorowi waszemu, panie Dawidzie, ale sądzę, że moja córeczka jest dla was cokolwieczek za droga. Prócz tego, muszę wam powiedzieć, że jej los już jest postanowiony. Właśnie w tej sprawie kilkakrotnie pisałem listy, a niedługo udam się w podróż, aby się z rodziną oblubieńca zapoznać.

Na takie *dictum* Imé pan Dawid nie miał co odpowiedzieć; żal mu było, że nie posiada dość funduszu, aby mógł z panną Mendłówną syna ożenić, ale to mu wiadomem było, że w takiej sprawie targu niemasz—że należy poszukać tańszego klejnotu. Jakoż poszukiwania pilnie rozpoczął, a przy okazji tej przekonał się dowodnie, iż w rodzaju niewieścim dużo jest gatunków. Są oblubienice z wielkich rodów, ale

bez żadnego posagu; są oblubienice z pospolitej, całkiem marnej sfery, ale z posagami tak małemi, że wspominać nawet nie warto; są dziewczki zgola szpetne, są urodziwe — ale najmniej pieniędzy; jeżeli zaś która nieco gotowizny posiada, to rodzice drożą się z nią, jakby z czemś najosobliwszem, i wymagają nadzwyczajnych bogactw. *Exemplum*: Mendłówna. Cóż tak bardzo wielkiego? Kawał materiału na tłustą, gadatliwą pachciarkę lub szynkarę,—na piekielnicę, która zechce męża od razu w ręce wziąć i rządzić nim podług upodobania — a jednak... taka kosztowna!

Poradziwszy się ludzi rzeczy świadomych, zapisał sobie Imé pan Dawid w registryku kilka panien i pilnie dowiadywać się począł, azali nie da się której na synową wypromować. Była panna Małka, dziewczica co prawda niezbyt przyjemna na wejrzenie, ale z rodu dobrego—ojciec za nią z górą sto rubli dawał i tyleż od przyszłego zięcia dla niej wymagał; próbował Imé pan Dawid konferować w tej materji, ale ojciec panienki, wielce szanowny Pinkus Bilbas, niechętnie propozycyi słucał, wykrętnie odpowiadał, a w końcu, do muru przez Imé pana Dawida przyparty, rzekł:

— Owszem, chętniebym się z waszym domem spokrewnił, ale jest przeszkoda.

— W czym ją widzicie?

— U nas w rodzinie byli ludzie uczeni.

— A w naszej nie?

— W waszej także.

— A więc?

— Symcha Boruch nie jest uczoney; nawet, jeżeli mam prawdę powiedzieć: jest nieuczoney, prosiuch. Handlować on potrafi, ja to wiem, ale na księgach tyle się zna, co i nie. Ja chcę, żeby mój zięć był uczoney.

Nie do lepszego rezultatu doprowadziły pertraktacje z panem Uszerem Kolonialnym i Jojną Pomarancem — ci panowie bowiem także uczoneść za pierwszy warunek kładli, a Symcha pod tym względem sławy sobie nie zjednał.

Trafiła się przez faktorów i swatów wdowa jedna, mniej o uczoneść dbająca, i ta wielką do Imé pana Dawidowego kawalera okazywała inklinację, lecz i w tym wypadku małżeństwo skojarzyć się nie mogło, gdyż wdowa była nie pierwszej młodości i dzieci własne miała, z którymi nie mogła się przecieź rozłączyć.

I znalazł się w istocie Imé pan Dawid niby w wielkiej skarbnicy: klejnotów moc widział wkoło siebie: — ale jedne były za wysoko, iżby do nich

można było dosięgnąć, — drugie za małą znów miały wartość...

Wreszcie, nie mogąc znaleźć blisko, postanowił Imé pan Dawid szukać dalej — i w pewnym miasteczku, dość na wejście podłem, ale handlowem i ludnym, partyę poszukiwaną znalazł.

Była to dziewczica lat szesnastu za ledwie; istny pączek, zapowiadający w przyszłości wspaniałą różę. Czarna, ale wdzięczna, — jak mówi wielki pieśniarz; nie dość jeszcze w świecie obyta, ale uczciwa i nabożna; nie szukająca żadnych uciech i rozrywek świątowych, ale skąpa nadzwyczajnie i kochająca grosz tak szczerze, jak żadna matka rodzonego dziecka nie kocha.

Ojciec dziewczeczki, poważny pan Michel Gansfeder, trzymał szynk przy rogatce i doskonale znał się na interesach.

Gdy po przeprowadzeniu wstępnych układów, ojcowie zeszli się osobiście, porozumienie nastąpiło prędko. Imé pan Gansfeder był człowiek łatwy do zgody, a na starą karcznię w Bielicy zapatrywał się tak samo jak Symcha, uważając ją za bardzo korzystne stanowisko.

Pan Gansfeder odznaczał się dość liberalnym sposobem myślenia i szepnął Imé panu Dawidowi na ucho, obejrzawszy się wprzód, czy kto nie słyszy,

że... ostatecznie cała uczoność wielkich mędrców nie ma realnej wartości i że najlepiej czyni ten, kto wielkie księgi ominąwszy, wprost taką lub owaką drogą do praktycznych celów zdąży.

Zdanie to Imć panu Dawidowi nie przypadło do gustu; aby jednak synowi nie psuć interesu, udał, że się uśmiecha i że niby je akceptuje.

— Grosz to grunt — rzekł pan Gansfeder, — i mam nadzieję, że chłopiec wasz, o którym słyszałem, że jest sprytny i obrotny, tę wielką prawdę rozumie.

— Nie potrzebuję go chwalić — odrzekł Imć pan Kaltkugel, — ale to jest złoty chłopak; onby psu w gardło rękę włożył, żeby wiedział, że rubla tam znajdzie.

— Takiego mi właśnie potrzeba. Pod moim kierunkiem może już zająć daleko. Bielica śliczny punkt. On to zrozumiał... i doskonale się wszystko składa.

— W czym?

— Ta wieś jest ztąd bardzo blisko, ledwie milka drogi; ja będę miał na niego oko, będę mógł mu w każdej potrzebie doradzić. Śliczne to miejsce; czy wy je znacie?

— Nie byłem tam nigdy.

— Wy nawet nie wiecie, co to za złote miejsce,

i wasz syn za to, że się na niem poznał, zasługuje na wielką pochwałę. Wierzcie mi, szanowny panie Dawidzie, że to musi być bardzo dobry chłopak.

— Do nauki nie miał szczęścia, jak wam wiadomo.

— To nic; ja wam powiadam, że on bez nauki będzie mądrzejszy, niż pięciu innych z nauką.

— Daj Boże.

— Skoro on się na Bielicy poznał, to, na moje sumienie, on jest wielki znawca.

— Powiedzcie mi nareszcie, cóż jest nadzwyczajnego w tej Bielicy, którą tak wychwalacie. Podobno tam stoi tylko stara, nawpół rozwalona karczma, bez dachu, bez okien, bez drzwi. Nawet najbiedniejszy biedak nie chciałby tam mieszkać. Podobno nie jest ona nawet tuż przy wsi, tylko stoi na osobności, w pustym miejscu; droga do niej krzakami już zarosła, nie tylko trawą.

— Kto wam to opowiadał?

— Ludzie.

— Ludzie dużo niepotrzebnych słów tracą...

— Ja nie wiem, nie byłem tam, nie mogę ocenić: prawda to, czy fałsz, tak słyszałem, tak powtarzam. Mój syn chwalił; dlaczego on chwalił, ja także nie wiem. On jest młody, ma swoje kombinacje.

— Doskonale. Widzicie, że tam niema dachu, drzwi i okien, że budynek jest stara rudera, to głupstwo.

— Nie bardzo.

— Owszem, głupstwo. Niewielkim kosztem można zrobić dach, okna, drzwi, piec, komin... wszystko, co potrzeba do mieszkania.

— A kto ten koszt poniesie?

— Juścić ani wy, ani ja, ani wasz syn, ani moja córka, tylko ten, do którego grunt i karczma należy. Dziś pustka nie przynosi mu żadnego dochodu; jak ją nasze dzieci zadzierżawią, będzie miał dochód. Ten dziedzic nie ma bardzo jedwabnego życia: on zawsze potrzebuje pieniędzy; jeżeli mu damy za kilka lat z góry, to nie pożałuje drzewa ani cegły na reperację, owszem postawi nawet nowy budynek. Oto więc niema się co martwić. Prawda?

— Bardzo słusznie.

— Idźmy do drugiego punktu. Karczma rzeczywiście nie jest w samej wsi, ani tuż przy wsi, ona stoi trochę na uboczu.

— To właśnie najgorzej.

— Dlaczego? Może to właśnie najlepiej.

— Nie rozumiem.

— Kto zechce przyjść i będzie miał interes, to przyjdzie; taki zaś, co nie będzie miał interesu, nie

przyjdzie. I to jest dobrze; nie każdy lubi, żeby mu obey ludzie kąty przepatrywali i przeglądali, co robi, czem się trudni. Każdy ma takie zajęcie, jakie mu się podoba, jakie uważa sobie za przyjemne. Na co komu w to się mieszać. Bielica wcale dobra jest wieś, tam jeszcze nikt z naszych nigdy nie mieszkał.

— Nie?

— Tak jest. Ja doskonale to wiem; bo znam dobrze całą okolicę. Nie myślcie, że ja tu ciągle w karczmie przy rogatece siedzę, mam różne spekulacje oprócz tego. Zdarza mi się wyjeżdżać na kilka dni, a czasem na kilka tygodni.

— Po co?

— Za interesami; mam ich dużo. Nareszcie, powiadają, że do tej karczmy droga nie tylko trawą, ale krzakami już zarasta.

— Cóż za dziw? Skoro od siedmiu czy ośmiu lat karczmy niema, to prosta rzecz, że nikt do niej nie miał potrzeby przyjeżdżać; a skoro ludzie nie jeździli, to droga zarosła. Cóż w tem nadzwyczajnego? czemu się dziwić?

— Macie rację.

— Ja zawsze mam rację i nigdy się nie dziwię, chyba, że coś się takiego stanie, co naprawdę dziwne jest; a tu nic się takiego nie stało.

— Swoją drogą, pomimo wszystkiego, coście mi

powiedzieli, ja jeszcze nie widzę, czem bielicka karczma jest lepsza od innych karczem wiejskich; tamtędy nie przechodzi, o ile mi wiadomo, żaden większy trakt; tam niema, o ile mi wiadomo, wielkiego ruchu. Nie słyszałem też, żeby w tamtych stro-
nach szykowała się jakaś większa robota: budowanie, obróbka lasów, coś takiego, coby mogło sprowadzić robotników, zrobić ruch. Może wy macie o tem jakie wiadomości?

— Też nie mam; ale, widzicie, Bielica jest doskonały punkt, a karczma koło niej doskonały punkcik. Spokojniutkie miejsce, na uboczu; dokoła bagna takie, że kto nie zna różnych ścieżek i przejść, żywy z nich nie wyjdzie; a dalej wielkie lasy; z tymi lasami łączą się inne lasy i można przejść lasami sześć, siedem mil drogi...

— No, no!

— Czekaście, to jeszcze nie koniec. Między tymi lasami są dwa ogromne jeziora; jedno od drugiego nie daleko, może trzy wiorsty drogi całej parady. Oba dzierżawią bardzo porządni rybacy, moi znajomi. Oni też, jeżeli chcą podróżować, to mogą zrobić parę mil drogi wodą. Za drugim jeziorem jest już inna gubernia i też lasy, a za tymi lasami kolej żelazna... cały świat otwarty. Powiadam wam, kto lubi podróżować, to z Bielicy: choć niby taka

opuszczona, może sobie spokojnie jechać do różnych punktów, gdzie mu się tylko podoba.

— Na cóż mój syn ma podróżować? Skoro się ożeni z waszą córką, to będzie domu pilnował.

— Człowiek nigdy nie wie, co go czeka i na jakiej drodze może znaleźć szczęście. Nie trzeba się zarzekać niczego. Dziś jest tak, jutro inaczej, jak się trafi.

— Nie pojmuję ja dobrze waszej mowy.

— Nie każda mowa może być od razu pojęta; trzeba czasem dużo zastanawiać się i dużo myśleć, żeby wszystko zrozumieć. Bądźcie spokojni o waszego chłopca, on się przy mnie dobrze pokieruje. Bielica, a tak prawdę mówiąc, nie tak sama Bielica, jak owa karczma, to miejsce, na którym prędko można się dorobić.

— Jednak—rzekł Imć pan Dawid—ja się trochę boję.

— Czego się boicie?

— Zostawić dwoje młodych ludzi, właściwie dwoje dzieci, w pustem miejscu, wśród lasów... straszno. Może być nieszczęście, włóczą się różni złodzieje i rabusie...

— Bądźcie spokojni, Dawidzie, ja już i o tem pomyślałem. Przy karczmie postawimy maleńką kuźnię, a w niej osadzimy starego Nechemiasza i je-

Majcher Józef
Rewizent skarbowy

go trzech synów. Wierzajcie mi, że przy takich czterech silaczach można się nie bać i zasypiać spokojnie.

— Znowuż nie rozumiem.

— O cóż wam idzie?

— Jakim sposobem Nechemiasz z żoną i trzema synami, z których każdy wygląda jak nieprzysłowitaję Goliat, potrafi się utrzymać z kuźni, która ma stanąć na takim pustkowiu.

— O to niech jego głowa boli, ale nie was.

— Chyba, że puszczą się wszyscy czterej na handelki po wsi, a w takim razie Bielica dla mego syna i dla waszej córki będzie znaczyła tyle, co nic.

— Bardzo się mylicie. Naprzód, że Bielica tylko się wydaje pustką, a naprawdę nią nie jest; bo jeżeli zapuscicie się w lasy, to znajdziecie w nich dwie smolarnie, prowadzone przez bardzo porządnych żydków; dalej dwa jeziora, a przy każdym siedzi rybak z dużą rodziną i z pomocnikami; dalej w lasach jest znów smolarnia, a za lasami tuż karczma taka sama jak w Bielicy, na uboczu.

— I cóż z tego?

— To, że chociaż tamtędy niema niby traktu, ale właściwie jest: dla smoły, dla ryb, dla różnych towarów; w takim miejscu i przy takiej drodze człowiek nie jest nigdy osamotniony. Co do Nechemia-

sza i jego synów, bądźcie spokojni; to są ludzie, mający swój sposób do życia, i drobnym handlem zajmować się nie będą.

— A cóż robią?

— Mają różne swoje zatrudnienia; zresztą co nam do nich?

Wysłuchawszy tego wszystkiego, rozważywszy dokładnie słowa Gansfedera, uznał Imć pan Dawid, że można przystąpić do szczegółowych układów i punkt po punkcie wszelkie przedyskutować warunki. Nad wszelkie spodziewanie poszło to dość łatwo, bez wszelkich sporów i sprzeczek i z wzajemnym obustronem zadowoleniem. Spisano umowę przedślubną, oznaczono dzień, w którym młoda para miała się dozgonnym węzłem połączyć, a w niedługim czasie później Imć panowie Dawid Kaltkugel i Michał Gansfeder udali się do właściciela Bielicy z propozycją wzięcia w dzierżawę rozwalonej karczemki oraz wybudowania kuźni na pustkowiu.

Dziwnem się to, z początku zwłaszcza, owemu ziemianinowi wydało i zastanowił się nad pytaniem, jaki właściwie cel mogą mieć tacy kapitaliści, chcąc się na pustce osiedlić; ale Imć pan Gansfeder, który był bardzo wymowny i argumenta na poczekaniu jak z kieszeni wyjmował, dowiódł, że teraz trudno jest o mizerny chleba kawałek i że trzeba brać, co się

tylko da; że karczemka odosobniona, przy wielkiej pracy szynkarza, przy jego ruchliwości, zabiegliwości i uprzejmości, stanie się bardzo uczęszczanym miejscem; że wreszcie kuźnia przyda się ludności rolniczej, że nakoniec kuźnia przyda się ludności rolniczej, że wreszcie kuźnia przyda się ludności rolniczej, że nakoniec kuźnia przyda się ludności rolniczej część wielkich lasów, przylegających do terytorium Bielicy, zostanie sprzedana.

Ruch przeto będzie; staną tartaki, fabryka gontów, będzie dużo robotników, dużo furmanek, karczma się wyrobi — a oczywiście, wyrobiwszy się, będzie znacznieszy przynosiła dochód. Kapitaliści, jako ludzie obdarzeni bystrym i przewidującym umysłem, ryzykują — wydają pieniądze naprzód, w słusznym przekonaniu, że w przyszłości odbiorą je z sowitym zyskiem.

Słuchał tego wszystkiego ów ziemianin, fajkę paląc, i nie bardzo dowierzał; ale gdy ratę dzierżawną za rok z góry w gotowiznie ujrzał na stole, gdy drugą ratę przyobiecano mu niezawodnie za parę miesięcy dostarczyć — odstawił fajkę na bok i zaczął poważniej kapitalistów traktować.

Złote góry obiecywali mu w przyszłości, więc uszu pilnie nastawiał, tem więcej, że, jak słuszenie się wyraził Imé pan Gansfeder, finansowe życie tego człowieka nie było bynajmniej jedwabnem. Po długich pertraktacyach pan Gansfeder z uprzejmością zapytał:

— Nad czem się pan namyśla? Powiedzieć trzeba jedno słowo, tak lub nie.

Ziemianin wesa pokręciwszy, rzekł:

— Tak.

Gdy już na tym głównym punkcie porozumienie nastąpiło zasadnicze, zajęto się dyskusją nad szczegółami tak energicznie, że konferencya, koło dziesiątej rano rozpoczęta, pod wieczór miała się już ku końcowi, a następnego dnia przed południem oblokła się w papierową szatę umowy piśmiennej.

Zaraz wzięto się energicznie do rzeczy, aby w jak najprędszym czasie gniazdko dla młodej pary przygotować. Chłopi zwozili drzewo i cegłę, a murarz, cieśla i stolarz przyprowadzali starą rudę do porządku. W bliskości odbudowanej karczemki stanęła wkrótce i nowa kuźnia, a przy niej domek nieduży i stajenka.

Robót doglądał sam pan Gansfeder, w czem pomagał mu przyszły zięć, Symcha Boruch.

Ten, im bliżej przyszłego swego teścia poznawał, tem większego dla niego nabierał uszanowania, widział bowiem, że ów mąż ma taki rozum praktyczny, jakiego nie posiadał dziadek Migdał i nie posiada Imé pan Dawid. Wobec rozumu Gansfedera błąd i marnym niedouczeniem wydawał się nawet Mendel, cho-

ciaż przecie pachciarz i biegły we wszelkich wiejskich handlach specjalista.

Pomiędzy Gansfederem a przyszłym jego teściem zadzierzgnęła się nitka sympatii, która, z początku wątła i cienka jak pajęczyna, po kilku tygodniach była już mocna jak dobry szpagat, a z czasem miała nabrać grubości sznura, postronka, wielkiej liny, używanej do promów na rzece.

Jest rzeczą bardzo naturalną, że ta sympatya rosła, gdyż z jednej strony było uwielbienie i podziw, z drugiej znów uznanie sprytu i zdolności.

Pan Gansfeder był przekonany, że Symcha daleko zajdzie, — Symcha zaś nie wątpił, że go pan Gansfeder daleko zaprowadzi; jeden dla drugiego pełen był ufności, a wiadoma rzecz, że każdy interes, w którym jest wielka ufność, już przez to samo jest doskonałym interesem.

Często, pilnując budowy przyszłej siedziby pod Bielicą, rozmawiali godzinami całemi, bądź to siedząc na belce, bądź do sąsiedniego lasu odbywając długie wycieczki. Imć pan Gansfeder opowiadał o rozmaitych interesach doskonałych, a przytem rozwijał zasady, które dziwnie dobrze do usposobienia młodego Kalkugla przystawały. W Gansfederze widział siłę, która mu imponowała.

Jednego dnia przyszedł do Bielicy kowal Ne-

chemiasz z trzema swymi synami. Ojciec, okrutny drab, o barkach potężnych, z gęstą, szpakowatą brodą; synowie, kubek w kubek do ojca podobni, tylko czarnym zarostem różnili się od niego. Byli to ludzie bardzo nieprzyjemni na wejrzenie, milczący — a wszyscy patrzyli z podełba, niby wilki.

Symcha, ujrzawszy swoich przyszłych sąsiadów, doznał niemiłego wrażenia i znalazłszy sposobność, zwierzył się z tem przyszłemu teściowi.

— Dotychczas — rzekł, — dzięki Bogu, nie widziałem nigdy zbójców, chociaż nieraz zdarzyło mi się o nich słyszeć; teraz jednak, jak mniemam, zobaczyłem na własne oczy aż dwa pokolenia zbójcekie, w osobie Nechemiasza i jego kochających synków.

— To ci się tylko tak zdaje...

— I to być może, ale mieszkać w ich sąsiedztwie wcale nie mam chęci; trzeba to jakoś inaczej wykręcić.

— Nic nie potrzeba wykręcać; będzie, jak miało być. Ty, mój kochaneczku, nie grymasz i dla fanaberyi nie psuj interesu.

— Ja się ich boję.

— Próżna obawa, właśnie pod ich strażą będziesz bezpieczniejszy tu, aniżeli na środku rynku w mieście. Żadna zła przygoda cię nie spotka, żaden zły człowiek cię nie zaczepi. Że oni mało mówią

i mają trochę przykre spojrzenie, niech cię to nie nie obchodzi. Nie każdy człowiek jest wymowny, nie każde oko jest miłe. Zresztą to bagatela; niemiłe dla nas, jest jednak bardzo przyjemne dla tego, kto je posiada i niem patrzy.

— Paskudne spojrzenie!

— Nie uprzedzaj się. Zaręczam, że są to złote chłopaczki, a ojciec ich jedwabny człowiek. Mam nadzieję, że trafi się nieraz zdarzenie, które przekona cię, że jesteś w błędzie. Chociaż możesz o nich co złego usłyszeć, nie wierz... to plotki; oni są honorowi ludzie, a ich słowo to murowane słowo. Jak kto ich zaczepi, lub im dokuczy, to nie traktują go bardzo delikatnie, ale wtedy są w swoim prawie. Na co ma ich kto zaczepiać?

Nachemiasz z synami nie zabawił długo w Bielicy. Tyle tylko zatrzymali się, aby odpocząć. Na budowę nowej kuźni patrzyli bardzo obojętnie — a wypocząwszy, odeszli. Ojciec z jednym synem udał się lasem w stronę jezior, dwaj zaś bracia w przeciwną zupełnie drogę...

— Oni mają różne interesa — objaśnił pan Gansfeder.

— Handlowe?—spytał Symcha...

— Handlowe.. ma się rozumieć, że handlowe.

Pilnując budowania karczmy w Bielicy, Symcha

miał dość wolnego czasu, aby myśleć spokojnie, zastanawiać się nad tem, co już przeszedł w swem życiu, co obecnie przechodzi i co w przyszłości go czeka — zastanawiał się też, przebiegał myślą dni upłynione, oceniał ludzi, którzy na jego losy wpływ pewien wywarli; uśmiechał się, wspominając błędy dzieciństwa, a podnosił głowę do góry, gdy myślał o swem dzisiejszem doświadczeniu i dzisiejszych poglądach.

Klopman, ze swoją szkołą i ze swoją całą mądrością, wydawał mu się głupim, a w każdym razie o wiele niżej stojącym od belfera Moška, który dowodził zawsze, że kto pieniądze posiada, ten wszystko posiada. Mojsie miał słuszość, a najlepszy dowód tego jest, że Klopman wciąż uczy dzieci w chederze i cierpi wielki niedostatek, a były belfer Mojsie jest już „pisarzem“ przy bogatym kupcu od drzewa, ma stałe dochody, sto rubli za żoną wziął, puszcza się na małe spekulacye i z pewnością dojdzie do posiadania własnego domu. Dziadek Migdał, który tak wiele i tak często mówił o wielkich korzyściach z nauki, także nie doszedł do znacznego majątku, a natomiast Gansfeder, nie robiący sobie wiele z nauki, jest na bardzo dobrej drodze — i można być pewnym, że za kilka lat nie zechce nawet patrzeć na szynk, ale rzuci się na wielką gorzelnię.

Sam tak mówił, a jemu można wierzyć.

Dalej cofnął się myślą do swego dzieciństwa, w którym nie miał chwil jaśniejszych i godnych miłego wspomnienia. W domu często dokuczał mu głód, w szkole dokuczał surowy, częstokroć pijany nauczyciel. Żył Symcha wówczas jakby zamknięty w ciasnym i ciemnym pudełku, nic nie widział, nic nie rozumiał, choć go niby uczono.

Dopiero kiedy poszedł z ojcem do Trzmiela, otworzyły mu się oczy, zobaczył świat i dowiedział się ciekawych rzeczy.

Jak jemu się wtenczas wszystko podobało — i piasek, i drzewa, i zboże, i las i ptaszki w lesie! Jak mu się podobało!...

A teraz mu się to podoba, ale jakże inaczej, zupełnie inaczej — ani porównania z tamtem dawnem podobaaniem.

Jeżeli weźmiemy nową, błyszczącą sztukę złota i pokażemy ją dziecku — ono wyciągnie do niej rączki i upodoba ją sobie; jeżeli takąż sztukę złota pokażemy młodzieńcowi, który już rozumie, co jest świat i życie — on także wyciągnie do niej ręce i upodoba ją sobie, — ale to będą dwa gatunki upodobania całkiem różne — tak dalece różne, jak różnym jest bezmyślny uśmiech dziecka od przyjemnego uśmiechu obiecującego młodzieńca, który już jakąś chytrą sztuczkę obmyślić potrafi.

Dziecię wyciąga rączki nie do złota, ale do blasku, — młodzieniec rozwinięty i roztropny — do wartości, do siły, tej wielkiej siły, jaka mieści się w marnej na pozór blaszce...

Ojciec, wówczas kiedy to szli do Trzmiela, miał zupełną rację, twierdząc, że trawa jest piękna jako siano, lany zboża jako przyszłe ziarna, a las jako drzewo.

To była śliczna racja.

Imć pan Gansfeder tego samego jest zdania, i jeszcze piękniej je motywuje, aniżeli ojciec. Pięknie dlatego, że jest praktyczny i doświadczony. On dowodzi, że są wypadki, w których nawet taka klęska, jak ogień, którego każdy się lęka — jest bardzo piękną... prześliczną nawet, co zresztą zależy od wysokości ubezpieczenia budowli.

Na drodze do Trzmiela, pod zielonem sklepieniem drzew leśnych, dowiedział się Symcha od ojca, że jest dziedzicem świata. Na razie nie zdawał sobie z tego jeszcze sprawy, ale za powrotem do miasteczka wytłómaczył mu to belfer Mojsie — i jak pięknie wytłómaczył! Daleko lepiej, aniżeli stary Klopman, który także o tem dziedzictwie przebąkiwał, ale zwykle wszelkie dowody kończył przekleństwem i wynurzeniem żalu, że nie każdy dziedzic posiada kilka groszy miedzianych na kupno gorzałki, tego jedyngo lekarstwa na wewnętrzne felery...

Później w Trzmielu, już po opuszczeniu szkoły, szeroko o wspólnem dziedzictwie rozmawiał Symcha z synami Mendla i wszyscy trzej ubolewali nieraz nad swoim pokrzywdzeniem, nad koniecznością kupowania tego, co jest przecież ich własne, co im z prawa przynależy... A w owej chwili tragicznej za stołą, kiedy chłop, cham ordynaryjny, poważyl się rzemieniem delikatne plecy Symchy przemierzyć, to była bardzo brzydka chwila—oburzenie młodzieńca granic nie miało... Zamknął je w sobie jednak, niby drogi kamień w skrzyni—zapisał głęboko w pamięci, postanowiwszy sobie, że będzie to jedyny w życiu jego dług, który odda z tak hojnym procentem, jakiego ani jego dziad, ani pradziad nigdy nie pobierał.

Od tej chwili droga życia Symchy Borucha, która dotychczas szła jeszcze cokolwieczek wężykowato i nie miała stanowczo wytkniętego kierunku, zarysowała się najwyraźniej, jak na doskonałym planie — i w tym właśnie momencie ukazał się na niej Gansfeder.

Jak chwila spotkania się z ordynaryjnym chłopem była dla Symchy brzydką, tak chwila poznania Gansfedera była chwilą wielką.

Była ona tem, czem dla człowieka, pozostającego w mrocznej, ciemnej izbie—nagle otwarcie okiennicy i wpuszczenie jasných promieni południowego słońca.

Wielka dla Symchy Borucha rzecz stała się w tak niepozornem miejscu, w mizernym punkcie, w jakim znajdowała się nawpół rozwalona karczemka pod Bielicą. Tam miał on sposobność poznać Gansfedera bliżej, jego poglądy na świat, jego sposób myślenia.

Tam przedewszystkiem usłyszał on wielkie słowo:

— Ty jeszcze jesteś głupi, Symcha Boruch.

Nigdy dotychczas ani dziadek, ani ojciec, ani Klopman nie powiedzieli mu takiego komplementu,— mówili tylko wprost „jesteś głupi“, bez dodania małego „jeszcze“. Gansfeder pierwszy tego wyrazu użył, chcąc przez to wyrazić że głupota Symchy nie jest stała, lecz terminowa, że będzie miała kres. Jest to duży komplement i duża delikatność. Gansfeder opatrzył ją przytem komentarzem.

— Nie obrażaj się — mówił; — człowiek młody musi być „jeszcze“ głupi, dotąd, aż przyjdzie czas, w którym będzie można powiedzieć, że „już“ jest mądry; odległość zaś od „jeszcze“ do „już“ wypełniają jego czyny. O ile czynów tych będzie więcej, o tyle odległość zapełni się prędkiej.

Symcha rzekł, że będzie rzucał znakomite czyny, jak chłop snopki na wóz.

— Nie, kochaneczku — odpowiedział przyszedłszy teść,—ty będziesz to robił powoli i stopniowo. Ja cię tego nauczę. Odrazu nie można skakać, wprawdzie trzeba umieć chodzić; i nie dość jest umieć chodzić... trzeba mieć pewne drogi do chodzenia, trzeba jeszcze wiedzieć, dokąd się idzie. Jako młody, nie rozumiesz dobrze tej prawdy, ale ją z czasem poznasz. Chciej mi powiedzieć, czy jeździłeś kiedy na koniu.

— Bardzo rzadko.

— A mocno się potrafisz trzymać?

— Wcale nie potrafię. Raz siadłem na chłopskiego konia, on wierzgnął... i nie miałem nawet czasu krzyknąć „aj waj!“ jak leżałem na piasku.

— Widzisz, to źle; Nechemiasz, na przykład, albo który z jego synów, wcale nie pada na piasek... Gdy on siedzi na koniu, to nie on krzyczy, ale koń; gdyby przemówić umiał, wołałby wielkim głosem: aj waj! To się nazywa siedzenie na koniu. Każdy interes, jaki człowiek robi, podobny jest do konia, i człowiek musi na nim tak dobrze siedzieć, jak Nechemiasz.

— Nie każdy ma taką siłę, jak on.

— Jeżeli nie ma siły, to ma zgrabność. Są interesy tak ślizkie jak lód: nic łatwiejszego, jak się na nich przewrócić, można nogę złamać, można mieć jeszcze większy wypadek, a przecież ludzie ryzykują

i bardzo dobrze na tem wychodzą... tylko trzeba być zgrabnym. Uważaj to dobrze i pamiętaj moje słowa. Zgrabność przynosi dużo korzyści.

Im bardziej przybliżał się dzień, w którym Symcha Borach miał się połączyć dozgonnym węzłem z panną Itą Gausfederówną, tem więcej Symcha się zamyślał,—a im więcej się zamyślał, tem dumniejszy się robił. Nawet na rodzzonego ojca patrzył z góry, mając przekonanie, że jest od niego mądrzejszy i że dalej niż on zajdzie na drodze życia. Z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której będzie mógł to samodzielne życie rozpocząć. Interesa swoje w Trzmiełu likwidował pośpiesznie, te zaś, które na razie zrealizować się nie dały, ołprzedat bądź ojcu, bądź synom Mendla pachciarza.

Przygotowywał się do odlotu jak bocian, gdy na jesień ma opuścić stare gniazdo na lipie i pofrunąć w cieplejsze kraje, gdzie go czeka słońce bardziej jasne i żaby delikatniejsze, gdzie nie masz ani mrozów, ani śniegów, jak u nas.

Imć pan Dawid, widząc gorączkową działalność syna, jego nadzwyczajny pośpiech w likwidowaniu interesów, dziwił się temu; a nie mogąc odgadnąć przyczyny, zapytał:

— Powiedz mi, Symcha, dlaczego ty się tak bardzo śpieszysz? Czy ci źle w domu?

— Ani mi tu źle — odrzekł, — ani dobrze... tak sobie... Ale ponieważ mam zamiar trudnić się nowymi interesami, to chcę ze starych zupełnie się wycofać.

— Coby ci szkodziło, żebyś niektóre przynajmniej pozostawił?

— Nie chcę.

— Przecież mnie możesz zawierzyć; jabym ci ich dobrze pilnował, jak ojciec.

— To prawda, ale ja mam swoje widoki.

— Nie rozumiem..

— Ojciec lubi prowadzić zwyczajne wiejskie geszefta, bardzo proste; ja chcę próbować czegoś lepszego.

— Obyś na gorsze nie trafił.

— Niech się ojciec nie obawia. Mój przyszły teść, Gansfeder, otworzył mi oczy, on mi pokazał drogę.

— Czy nie przesadzasz? Jaką on mógłby ci drogę pokazać? Prosty szynkarz z miasteczka, cóż on nadzwyczajnego potrafi?

— Potrafi?

— Chyba dolać wody do wódki, dodać tureckiego pieprzu, tytuniu i wapna, żeby chłop czuł smak. Trzeba ci wiedzieć, mój kochany, że to rzecz dawno znana. Jeszcze Gansfedera nie było, jak żydki

take interesa praktykowali i potrosze pieniądze robili.

— To nie wiadomo.

— Co może zrobić więcej? Dawać na kredyt i pisać podwójną kredką rachunki... to także stara sztuka jak świat.

— Czy ja mówię, że nowa?

— Więc cóż?

— On jest bardzo mądry człowiek.

Imć pan Dawid w miłości własnej dotkniętym się uczuł.

— No—rzekł, — nie widział kto mądrzejszego? Każdy szynkarz potrafi to robić, co on robi.

— A ja ojcu powiadam, że nie.

— Co jeszcze? Co on może uczynić jeszcze? Kupi kradzioną rzecz za pół wartości i sprzeda ją do brze. To też znana sztuka.

— Czy ja powiadam, że nieznaną?

— No więc? Może on ma okowitę taniej, niż inni? Może ją sprowadza z takiego miejsca, gdzie nie kosztuje drogo?

— Może... albo ja wiem!

— Choćby i tak było, to nie jest wielka mądrość. Żebym ja był szynkarzem, wiedziałbym też, gdzie czego szukać.

— No, więc co ojciec chce?

— Ja nic nie chcę, tylko niemilo mi jest, że ty mój syn i taki młody, nie uważasz na ojca, tylko całą mądrość widzisz w Gansfederze.

— Ojcie, on naprawdę mądry człowiek jest.

— Gdzie to widzisz? w czym?

— We wszystkim.

— Słuchaj, żeby on był taki mądry, jak się tobie zdaje, to nie trzymałby szynku koło rogatki, ale robiłby wielkie geszefta; nie wydawałby córki za takiego... niech cię to nie obraża... kapcana, jak ty, ale poszukałby sobie zięcia bogatego albo uczonego

— Co to, to nie; on nie jest taki głupi.

— Ty sam głupi jesteś, skoro o uczoności w taki sposób mówisz! Człowiek, który się chce wybić, musi być albo uczonym, albo bogatym.

— On będzie bogatym i ja też.

— No, no, bardzo jestem ciekawy.

— Przekona się ojciec... ja muszę być bogatym, ja sobie tak postanowiłem i do tego doprowadzę.

Imię pan Dawid brodę tylko pogładził.

„Bądź bogaty — myślał w duchu, — owszem, ja przeciwko temu nic nie mam. dziwi mnie tylko ta pewność. I ja chcę być bogatym, a przecież nie mogę powiedzieć, że nim będę. On młody, on śmiały, przed nim życie. On mówi, że na swoim szynku daleko za-

jedzie... niech jedzie. Pewny jestem, że Gansfeder wynalazł źródło bardzo taniej okowity. Co mi do tego? On jest ryzykant, niech sobie będzie ryzykant“.

Matka także zawiązała z synem rozmowę.

— Ty zapewne cieszysz się?—rzekła.

— Z czego mam się cieszyć?

— Dostaniesz młodą i ładną żonę.

— Co mi z tego?

— Będiesz miał żonę.

Symcha ręką machnął.

— Jaktó, więc cię to nic nie obchodzi?

— Dlaczego mnie ma to bardzo obchodzić? Żona... wielka rzecz. Każdy musi mieć żonę i ja będę miał żonę; gdzie kto widział żyda bez żony? Żebym to ja tylko miał żonę, a nikt więcej na świecie, to mo-żebym się z tego smucił, albo możebym się cieszył... nie wiem; ale ponieważ wszyscy żony mają, to co za szczególny powód do radości?

— Ależ ona jest bardzo ładna dziewczyna.

— Niech sobie będzie ładna.

— Ona jest młodziutka.

— Ja temu nic nie winien.

— Wiesz co, Symcha, że ty jesteś wielki paskudnik.

— I to może być.

— Albo też udajesz, a w głowie masz zupełnie inne myśli. Mnie się tak zdaje przynajmniej.

— To trochę prawda; ja mam w głowie interesa, różne interesa mam.

— A dlaczego dałeś narzeczonej parę złotych kolczyków? Żebyś jej nie lubił, tobyś jej nie robił prezentów.

— Trzeba wam wiedzieć, matko, że ja tylko wypełniłem umowę. Ojciec tak się ugodził z Gansfederem, że mam dać kolczyki. Dałem je; a jeżeliby małżeństwo nie przyszło do skutku z przyczyny Gansfедера, to onby musiał oddać kolczyki i zapłacić za zawód. To jest umowa.

— Po weselu będziesz mówił inaczej.

— Tymczasem jeszcze nie jest po weselu...

W przeddzień terminu ślubu Imé pan Dawid z małżonką, dziećmi i oblubieńcem udali się do miasteczka, w którym pan Gansfeder karcznię przy rogatece utrzymywał. Wszyscy byli wystrojeni w szaty uroczyste, jak na święto, boć przecie świętem jest dla rodziców wesele pierworodnego syna. Imé pan Dawid miał na sobie buty jałowicze całkiem nowe, żupan atlasowy po dziadku, nieco przenoszony, ale tem bardziej jeszcze błyszczący. pas wełniany czarny, a na głowie czapkę futrzaną lisią z kołpakiem aksamitnym. Małżonka jego, w staroświeckiej mantyli

jedwabnej, miała w uszach kolczyki z perłami, dla bezpieczeństwa przywiązane do szyi mocnym szpagatem,—na głowie zaś okazały toczek ze wstęg żółtych i zielonych, bardzo gustowny i modny.

Pan młody, w nową kapotę sukienną odziany, i, również jak ojciec, wełnianym w biodrach ujęty pasem, wyglądał bardzo statecznie.

Gdy fura z gośćmi zatoczyła się przed dom Imé państwa Gansfederostwa, już cała gromada zaproszonych gości oraz postronnych a ciekawych tłoczyła się przede drzwiami.

— Patrzcie, patrzcie! — mówili — oto pan młody.

— Nie bardzo ładny—rzekła jakaś dziewczica;—wygląda tak, jak gdyby tylko co się obudził.

— A zkąd ty wiesz — szepnęła druga, — że on tylko co się obudził? Przecież jechał...

— Właśnie w drodze żydzi najlepiej lubią spać.

— Nie rozumiem, jak można spać, jadąc na własne wesele; jabym nie potrafiła.

— Bo myślałabyś o swojej sukni; czy chcesz, żeby mężczyzna myślał o kapocie? W takim razie radzę ci wyjść za krawca.

— Idź ty za szewca! Ja mam swojego kawalera, nabożnego i uczonego... on kiedyś wielkim człowiekiem będzie.

— Symcha nie jest uczony— wtrącił jakiś blady, wychudły młodzieniec.

— On jest prosty, gruby, nieokrzesany kolek— dodał drugi;— ja się dziwię, że Gansfeder daje takiemu córkę.

— Co się dziwisz!— rzekł pierwszy. — Gansfeder tyle się rozumie na nauce co Symcha, Symcha tyle co Gansfeder, a obadwa razem rozumieją tyle co gęś.

— Dobrali się!

Opinia publiczna doraźnie ferowała swoje wyroki.

Dostawało się Kaltkuglom, Gansfederom i obojgu młodym. Poważni mężowie żartowali sobie z posagu, który wcale nie był imponująco wysokim, matrony krytykowały stroje zaproszonych gości, biedniejsi gwałtem cisnęli się do wnętrza izby, w nadziei, że przy ogólnej uczcie i im także dostaną się jakieś okruchy.

Pan Gansfeder wystrojony był świątecznie, zupełnie tak samo jak ociec pana młodego. — tylko że zamiast czapki lisiej miał na głowie kosztowny kołpak z tchórzów. Mama panny młodej wystąpiła w całej paradyż; miała bowiem perły na szyi, koleczki i osiem pierścionków na palcach. Opinia publiczna, która wszystko lubi krytykować, wyszydzała i przeinaczać, przebąkiwała na ulicy, że Imć pani

Gansfederowa trzyma rzeczony precyzoza tytułem zastawu. Może i rzeczywiście tak było, a może też to kalumnia, wymyślona przez te kobiety, które ani z prawa zastawu, ani z prawa własności żadnych nie posiadają precyozów.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:
kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

<i>St. Kozłowski</i> „ Taboryci ”, dramat w pięciu aktach	tom	1
<i>T. T. Jez</i> „ W Zaraniu “, powieść	tomów	3
<i>E. Goncourt</i> „ Bracia Zemganno “	tom	1
<i>T. Padalica</i> „ Powieści Ukraińskie “	„	1
<i>Edm. Rostand</i> „ Cyranu de Bergerac “, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów	2
<i>Irena Mrozowicka</i> „ W płytkim prądzie “	tom	1
<i>Jonas Lie</i> „ O Zachodzie “, powieść norweska „	„	1
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i> „ Krystyna “	tomów	2
<i>H. Andersen</i> „ Bajki i Opowiadania “	tom	1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

<i>Józef Blaziński</i> „ Obrazki “	tom	1
<i>Artur Gruszecki</i> „ Szarańcza “ powieść na tle stosunków szląskich	tomów	3
<i>Juliusz Breton</i> „ Artysta “ (Savarette)	tom	1
<i>Jan Lam</i> „ Wielki Świat Capowic “	tomów	2
„ Głowy do pozłoty “	tomów	4
<i>J. W. Goethe</i> „ Relneke-Lis “	tom	1
<i>Stanisław Pilecki</i> „ Dwa głosy “	tom	1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów).

<i>Marya Konopnicka</i> „ Pod prawem “ powieść	tom	1
<i>Teofil Lenartowicz</i> „ Poezye “	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „ Nowele “	tom	1

<i>Adolf Dygasiński</i> „W Kielcach“ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . . .	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „Nowele“	tom	1
<i>Józefat Nowiński</i> „Biała gołąbka“ poemat dramatyczny w 5 aktach	tom	2
<i>Marek Twain</i> „Bajeczki dla starych dzieci“ przełożone z oryginału przez <i>Ali- nę Świdorską</i>	tom	1
<i>Michał Synoradzki</i> „Muszkietierowie króla jegomości“ romans historyczny.	tomów	4
<i>Eliza Orzeszkowa</i> „Jędza“	tom	1

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale III-gim roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

Klemens Junosza „Żywota i Spraw Imć pana
Symchy Borucha Kaltkugla“ tomów 2

WYRÓB PISM
KLEMENSA JUNOSZY.

WYBÓR PISM

Klemensa Junoszy.



ŻYWOTA I SPRAW

IMÓ PANA

SYMCHY BORUCHA KALTKUGLA.

KSIĄG PIĘCIORO.

Część 2.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899

Доводено Цензурою Варшава 21 Мая 1899 г.

KSIĘGI TRZECIE.

(Ciąg dalszy.)

Ślub odbył się we wzorowym porządku, poczem państwo młodzi, zaproszeni goście, tudzież publiczność, z ciekawości zgromadzona—słowem prawie całe miasteczko, przy dźwiękach muzyki, z wielkimi okrzykami radości biegło do położonej przy rogatce nieruchomości, gdzie już wszystkie okna oświetlone były znaczną ilością świeczek łojowych—i uczta zgotowana. Przede drzwiami zrobił się tłum taki, że najpoważniejsi uroczystości tej aktorowie przecisnąć się nie mogli—i byliby się nie przecisnęli, gdyby nie Nechemiasz, który w samą porę wraz z trzema swoimi synkami się zjawił. Ci potężnemi ramiony i pięściami wnet rum uczynili i w tłumie otwarli drogę tak

szeroką, że poszóstna karoca najswobodniej mogłaby przejechać. Nie obyło się przytem bez krzyku i przekleństw, ale groźne spojrzenia czterech Goliatów uspokoiły wnet wszelkie szmery.

Do samego prawie rana trwały uroczystości weselne, poczem państwo młodzi, w towarzystwie panów Gansfedera i Kaltkugla ojca, udali się do Bielicy na nowe mieszkanie.

Nechemiasz z żoną swoją, niemłodą już i bardzo mrukliwą niewiastą, poprzednio zajął lokal przy kuźni.

Siedziba młodej pary nie była oczywiście pałacem, ale składała się z kilku izb. Pierwsza z nich, wielka, o dwóch oknach, była właściwie karczmą i, jeżeli kto chce tak nazwać, pokojem gościnnym dla przyjezdnych, a kuchnię dla gospodarzy, gdyż komin duży w niej był; druga, wąska, za sypialnię służyła; trzecia zaś i czwarta, po drugiej stronie sieni, przeznaczone były na skład zboża i różnych towarów, jakieby się młodym do nabycia trafić mogły.

Było więc dość obszernie—i miejsca na robienie majątku, ani na składanie bogactw nie brakło.

Z chwilą osiedlenia się państwa młodych w karczmie miejsce to straciło wnet charakter pustkowia. Naprzód zaczęli się schodzić chłopci z Bielicy, z ciekawieni, jak też nowa karczma wygląda i czy Sym-

cha sprzedaje lepszą, czy gorszą wódkę, niż gdzieindziej. Symcha na początek zaczął sprzedawać wódkę bardzo dobrą, mocną, sława jego karczmy rozchodziła się coraz szerzej — ludzie przyjeżdżali i przychodzili, żeby zobaczyć i spróbować. Po trosze za mężczyznami zaczęły zaglądać i kobiety, co młodziutkiej meżatce dało sposobność do rozwinięcia swoich zdolności handlowych, Symcha bowiem zostawił dla niej wyłącznie to pole działania, gdyż sam postanowił już więcej z kobietami i dziećmi handlu nie prowadzić. On miał ważniejsze interesa na głowie: pilnował karczmy, a niekiedy wyjeżdżał w okolice z Gansfederem. Nieobecność jego w domu trwała czasem dwa, czasem trzy dni, — żeby zaś przez ten czas młodej kobiecie nie przykrzyło się i żeby jej miał kto, na wypadek liczniejszego napływu gości, być pomocnym, przyjęto na mieszkanie ubogą ciotkę, Gitlę, która, jako wdowa, niemłoda i niemająca ani obowiązków, ani sposobu do życia, zgodziła się bardzo chętnie za dach nad głowę i kawałek chleba w Bielicy zamieszkać. Mógł tedy Imć pan Symcha odjeżdżać spokojnie, z przekonaniem, że w domu wszystko będzie dobrze, — mógł tem śmieiej, że żona jego, aczkolwiek kobieta młodziutka i niedoświadczona, od razu wykazała wielkie zdolności szynkarskie.

Córka Gansfedera!

Była to kobieta śmiała i odważna. Gdy jednej

nocy, podczas nieobecności Symchy, zerwał się straszny wichur, tak, że drzewa łamał i oknami wstrząsał, ciotka Gitla o mało nie umarła ze strachu—pani Symchowa zaś śmiała się i z wichru i z ciotki.

Innym znów razem, w nocy również, dało się słyszeć przeciągłe gwizdanie i szybki tętent koni. Było już bardzo późno, światło zgaszone, obie kobiety spały.

Pierwsza przebudziła się ciotka, i, dzwoniąc zębami ze strachu, zaczęła budzić panią Kaltkuglową.

— Wstawaj!—wołała—wstawaj co żywo! schowajmy się, uciekajmy!...

Pani Ita z największym spokojem zapytała:

— Po co?

— Ależ tu, koło domu, jacyś obcy ludzie chodzą, gwizdzą...

— Co to ciotce szkodzi, że oni gwizdzą?... widać im wesoło. Czy ja mogę bronić im gwizdać?

— Ależ to może złodzieje, rozbójnicy... napazną nas, zrabują!—krzyczała przerażona niewiasta.

— Niech ciotka idzie spać i mnie nie przeszkadza.

— Więc ty się nie lękasz?!

— Czego się mam lękać?

Rzekłszy to, usnęła najspokojniej, lub też udała, że śpi, aby nie odpowiadać na trwożliwe pytania starej kobiety.

Rzeczywiście nie było czego się bać, a strach, jaki przejmował szanowną ciotkę, mógł wyniknąć po prostu z przywidzenia. Złodzieje nic nie ukradli, zbójcy nikogo nie zabili,—a że ktoś gwizdał po nocy, to bagatela. Mógł to być chłop pijany, powracający do domu—a może jaki ptak obudził się w lesie i zaśpiewał. Ktoby zważał na wszelkie szmery, ten chybaby całą noc oka nie mógł zmrużyć i z bezsenności umrzeć. Bardzo się uśmieł z obaw ciotki i Symcha i Gansfeder, który razem z nim do Bielicy przyjechał,—żeby zaś uchronić staruszkę od podobnie przykrych wzruszeń na przyszłość, zaręczyli obadwaj wielkim słowem, że jej nic nie zagraża i zagrażać na przyszłość nie będzie,—że Bielica jest to takie miejsce szczególne, że żaden zbójca, żaden gromicznik nie pomyśli nawet o napadzie. Jeżeliby nawet, wypadkiem, kiedykolwiek przyszedł, to tylko jako gość, żeby się ogrzać i wódki napić za gotówkę—i jeżeliby przyszedł, to też ciotka nie miałaby powodu do strachu, zbójcy albowiem wyglądają z pozoru jak zwyczajni ludzie i żaden nie ma na czole napisane, jaki jest jego proceder.

Te argumenta, do pewnego stopnia przynaj-

mniej, uspokoiły trwożliwą niewiastę — i więcej już o napastnikach nie wspominała.

Odwiedzili Symchę obadwaj smolarze i obadwaj rybacy,—rzeczą słuszną jest bowiem, aby sąsiedzi się zapoznali.

Smolarze byli to rodzeni bracia: Icek i Josek Weinsteinowie, bardzo porządni procederzyści, mieszkali w lesie i uważali się, że smoła bardzo mały ma odbyć.

— Nieraz—mówił Icek—dwa tygodnie trzeba się wlec od wsi do wsi, żeby jedną beczkę rozprzedać.

— To prawda — potwierdził Josek;—lepiej zajęczemi skórkami handlować, aniżeli takim szkaradnym towarem.

— Czekajcie i bądźcie cierpliwi—rzekł Imć pan Gansfeder,—przyjdzie czas, że jeszcze i u was będzie święto.

— Słyszymy to od was od pół roku, ale, jak dotąd, mamy bardzo dużo strachu, a bardzo mało pieniędzy. Ja onegdaj, w miasteczku, myślałem, że będzie bardzo źle.

— Dlaczego?

— Był ktoś, co mię pytał, co ja robiłem w poniedziałek. Głupie pytanie! Odpowiedziałem mu, że jestem smolarz i że robię smołę, a jeżeli jej nie ro-

bię, to sprzedaję. Chwała Bogu, poszedł sobie, ale ja bardzo się zląkłem i zaraz odjechałem. Ja naturę mam taką, że nie cierpię, gdy mnie kto pyta... Co mu do tego? Na co kto ma wiedzieć, co ja robiłem w poniedziałek?... Może wcale nie robiłem, może odpoczywał?

Rybacy nie byli tak płaczkliwi jak smolarze, może dlatego, że mieli lepszy handel, lepsze pożywienie,—wogóle nie uskarżali się na losy: Czy zimą, czy latem, zawsze to jest wesoły proceder, zwłaszcza gdy dzierzawa kosztuje mało, a jezioro jest rybne. Jeden dowoził swój towar do jednego miasteczka, drugi do drugiego. Nie przeszkadzali sobie bynajmniej, owszem podczas połowów zimowych łączyli się w jedną kompanię.

Złoci ludzie i bardzo uczynni; nie tylko jeden dla drugiego, ale dla obcych robili niekiedy duże dogodności i Gansfeder miał im niejedno do zawdzięczenia, szczególniej Nucie, który dzierzawił większe jezioro.

Z jednego brzegu było ono zarośnięte wysoką trzcina, jakby lasem; ta trzcina rosła na kilkunastu morgach przestrzeni, a wśród jej gąszcza były jakby ścieżki, może przypadkiem, może naumyślnie zrobione, były kępy suche, były obalone kłody drzewa, napół zgniłe, wypróchniałe w części; takie miejsca, po

których można było przejść suchą nogą, i takie, gdzie nieświadomy człowiek utopiłby się odrazu.

Śliczna trzcina, a Nuta znał ją doskonale—i jeżeli trzeba było co ukryć, albo nawet kogo ukryć, to go ukrył i schował przewybornie.

Ktoby puszczał się na poszukiwanie po takich zaroślach, gdzie ani przejść, ani czółnem przepłynąć niema sposobu, a choć jest—to nie każdy o tem wie!

W tę zwartą ścianę trzciny wrzynał się jakby klinem półwysep, o twardym gruncie, i drzewa nawet na nim rosły, ale z biegiem czasu poobalały się, czy je może kto pościnał; od strony lądu woda zrobiła przerwę, czy też może ją kto zrobił,—i tak przypadkiem, czy z umysłu, półwysep zrobił się małą wysepką, która zupełnie zniknęła w trzcinie, że jej wcale znać nie było.

Nuta wiedział o niej, gdyż od lat dwudziestu jezioro dzierzawił, wiedzieli i rybacy—ale to byli ludzie pewni i małowówni; na co zresztą mieli opowiadać komu, że wśród trzciny jest wysepka, że są suche miejsca, że dostać się do nich można od środka jeziora?

Drugi rybak, Wulf, także o owych kryjówkach mógł coś wiedzieć, ale on się niemi nie zajmował. Jego specjalnością były wielkie bagna, przepaściste, groźne dla każdego, ktoby chciał się przez nie prze-

dostać. Miejscami krzaki wysokie na tych bagnach kępami porastały, olszyna czerniła się z daleka; były więc kawałki gruntu suche na tych bajorach, tylko niedostępne. Wulf jednak bywał i w krzakach i w olszynie,—znał on przejścia wszelkie tak dobrze, że mógł wygodnie spacerować tam, gdzie, jak się zdawało, noga ludzka stąpić nie może bezkarnie.

U Wulfa, pomiędzy rybakami, był na służbie od lat kilkunastu chłop dziwaczny, mały, krępy, na jedną nogę utykał—„Kuternogą“ go przeto zwano. On także znał wszystkie przejścia i lasy okoliczne, a zwierzynę tropił lepiej, niż najlepszy ogar albo wyżeł.

Pracował ten chłop i na jeziorze w razie potrzeby, ale tylko w razie potrzeby koniecznej, gdy sami żydzi rady dać sobie nie mogli, lecz głównem jego zajęciem było polowanie. Strzelał on jak mało kto z broni, z którejby nie każdy wystrzelić się odważył—taka była stara, łatana, lutowana, powiązana sznurkami, jednym słowem gruchot, jak się zdawało, bardzo niebezpieczny, bo przy pierwszym wystrzale mógł się na kawałki rozlecieć—ale to się tylko zdawało. Gruchot w ręku Kuternogi wyborną był bronią. Ubił on z niej niemało wilków, lisów, jastrzębi i innych zwierząt i ptaków drapieżnych. Na inną zwierzynę strzelby nie używał, bo mu straż leśna róż-

ne czyniła wstręty, musiał więc polować tak, aby huk nie czynić—a miał na to tysiące sposobów: samotraski różne misterne, siatki, żelaza, wnyki i zatrzaśki własnego pomysłu.

Gdy Wulf potrzebował zwierzyny lub skórek, Kuternoga szedł do lasu, niby do swojej śpiźarni, i co było potrzeba dostawał.

Nie miał ten chłop żony, ani dzieci, w biednej chacie nad jeziorem mieszkał i jeść gotowała mu stara babina, krewna jego, owdowiała, bezdzietna, nie mająca gdzie głowy przytulić. Wulf bardzo był dla Kuternogi uprzejmy i cenił jego wysokie zalety. Płacił mu za usługi niewiele, a że chłop potrzeb nadzwyczajnych nie miał i upijał się bardzo rzadko, więc skąpa zapłata od Wulfa na potrzeby mu wystarczała. Na świat Kuternoga wychodził nie często, w miasteczku zaledwie go kilka razy do roku widziano, stosunków z ludźmi żadnych prawie nie utrzymywał.

Takich to sąsiadów najbliższych miał Symcha Boruch na swojej nowej siedzibie. Gansfeder odwiedzał go często—i znać było, że jest z zięcia zadowolony; natomiast pan Dawid Kaltkugel, ojciec, niepokoić się zaczął.

Już Symcha w Bielicy cały rok przemieszkiał, już się i syna doczekał, gdy jednego razu w porze wieczornej ojciec go odwiedził.

Przyjechał naumyślnie z Trzmiela wynajętą furmanką—i ledwie zsiadł z woza, zaraz syna na osobną rozmowę wyprowadził.

Twarz Imé pana Dawida wyrażała niepokój.

— Słuchaj-no, Symcha—rzekł,—u nas w Trzmielu był bardzo brzydki wypadek.

— Cóż takiego?

— Pożar, wielki ogień, o mało cała wieś nie poszła z dymem.

— Cóż się tam spaliło?

— Cała siedziba chłopca Muchy.

Symcha uśmiechnął się złośliwie.

— Tego gałgana, co to, jeżeli pamiętacie, wybił mnie paskiem? Bardzo dobrze, bardzo dobrze, że ogień na niego przyszedł. Niech taki łajdak zginie!

— Symcha, to nie jest dobrze.

— Dla Muchy niedobrze, dla mnie doskonale... ja się bardzo cieszę.

— A ja ci mówię, że niedobrze i dla ciebie.

— Z jakiej przyczyny?

— Komisyja była, śledztwo było... ludzie widzieli, że jeden z synów Nechemiasza kręcił się wieczorem koło wsi, a w nocy, ledwie się dobrze ściemniło, ogień wybuchnął. Na Nechemiaszowego syna podejrzenie jest, jego złapią...

— To co?

— Wsadza do więzienia, będą dopytywali. Aj, Symcha, ty masz niepięknych sąsiadów.

— Mam takich, jakich mam, a bać się nie potrzebuję. Czego? Chałupa się spaliła w Trzmielu, ja tutaj siedzę, w Bielicy, o niczem nie wiem... Kiedy się spaliła?

— Wczoraj w nocy.

— Dziś już mamy także prawie noc, a ja dowiaduję się dopiero o tym wypadku. Nechemiaszowego syna widzieli we wsi. Cóż nadzwyczajnego? Nie pierwszy raz go widzieli, był tam w swoim życiu ze sto razy i nigdy się pożar nie zrobił.

— On się kręcił.

— My wszyscy kręcimy się po wsiach za interesami, za handlem. . Czy to znaczy, że podpalamy domy? Posądzają Nechemiaszowego syna! Niech posądzają. Gdzie dowód? Jego posądzają... dlaczego ojciec o mnie się lęka?

— Ja się lękam, bo on twój sąsiad, a może nawet twój współnik... albo ja wiem, co między wami jest?... dość, że się lękam i przyjechałem ci to powiedzieć, i jeszcze kilka słów prócz tego.

— Słucham, niech ojciec mówi.

— Ty za prędko idziesz, Symcha, ty za prędko zbierasz...

— Czy to źle? Kiedy mam się dorabiać, jak nie teraz, póki młody jestem?

— Twój teść Gansfeder zaczyna mi się niepodo-
bać.

— A mnie on się podoba coraz lepiej. To bardzo mądry jest i bardzo obrotny człowiek. Niech ojciec o nim źle nie trzyma. Wreszcie, czy ojciec bardzo się zmartwi, jeżeli ja dojdę do majątku?

— Daj ci Boże... owszem... tylko...

— Cóż tylko?... tylko, ciągle tylko... co ojciec chce powiedzieć?

— Boję się.

— Ale czego?

— Ciebie mogą złapać, Gansfedera mogą złapać, Nechemiasza z synami, smolarzy, rybaków...

— Cha, cha! takim sposobem cały świat może być złapany! Nie, ojczcie, tak nie będzie, bo i za co ma nas kto łapać?

— Mówią, opowiadają, że koni dużo w okolicy ginie...

— Ginie?... niech pilnują. Co mnie do tego?

— Mówią... słuchaj Symcha, takie rzeczy mówią, że ja zaczynam się bać naprawdę. Mnie to nie szkodzi, że ty majątek prędko robisz, owszem, ja się cie-

szę, ale wolałbym, żebyś sobie był wybrał bezpieczniejsze zatrudnienie.

Symcha Boruch roześmiał się ironicznie.

— Aj, znać, że ojciec zawsze prowadził zwyczajne interesa wiejskie, to lada czego ojciec się lęka... Mnie nie będzie nic...

Z powodu, że noc była bardzo ciemna, Imé pan Dawid został u syna na noc i, zjadłszy kolację, położył się spać bardzo wygodnie, na pościeli — jednak, pomimo tej wygody, zasnąć nie mógł na żaden sposób. Wśród nocy zdawało mu się, że koło domu ktoś chodzi, że słyhać rozmowę, stąpanie koni. Zauważył także, że Symcha kilkakrotnie wstawał i wychodził — dopiero nad ranem wszystko się uspokoiło i ucichło.

Imé pan Dawid rozmyślał i doznawał bardzo przykrych wrażeń; on sam także chciał mieć majątek i duże dochody, ale choćby mu złoto płynęło do ręki jak woda, nie podjąłby się niespokojnego zatrudnienia. Taką już miał naturę, takie delikatne zdrowie, że strach przyprawiłby go o ciężką słabość, a może nawet i o śmierć.

Nad ranem, zaledwie trochę rozwidniło się na świecie, zaczął się ktoś gwałtownie dobijać do karczmy. Kołatał pięścią w okna tak, że o mało szybki z ram nie wypadły, i krzyczał na cały głos, żeby otworzono mu prędeż.

— Słyszysz, Symcha?—zapytał Dawid syna.

— Słyszę.

— No, to idźże, wstań i otwórz.

— Niech trochę poczeka, taki cham może poczekać.

— Zkąd wiesz, że to cham?

— Bardzo dobrze wiem; wiem, że on z Wólki jest, fernal albo parobek, a może ekonom... i to wiem z pewnością, że sam nie przyjechał, ale z kilkoma ludźmi. Niech ojciec leży i nic się nie odzywa, ja im pójdę otworzyć.

Wstał Symcha z łóżka, ubrał się i wpuścił do izby karczemnej ogromnego mężczyznę z wąsami jak miotły.

— A, pan Onufry! — zawołał, udając zdziwienie—pan Onufry z Wólki. Co pan ekonom tak rano w podróż się wybrał?...

— Niech ją taką podróż! Od północy z dwoma fernalami pędzę bez wytchnienia, w koniach już duchu mało... musiałem tu przystanąć i dać im wytchnąć.

— Przepraszam, co panu ekonomowi tak pilno? Po co pan śpieszy?

— Gonię wiatr w polu, złodziei szukam... Konie nam ukradli...

— Konie dworskie?

— A dworskie...

— Ile tych koni było?

— Para, ale co najlepsze. Wiedział lajdak, co brać.

— Oni zawsze wiedzą.

— Ukradli je zapewne wieczorem, jak ludzie byli na kolacy; ja spostrzegłem kradzież dopiero koło północy. Powsiadaliśmy na konie; ja z dwoma parobkami puściliśmy się w tę stronę, karbowy znowuż z dwoma w drugą.

— Koło północy, koło północy—rzekł Symcha, kiwając głową, —to musiał pan tego gnać, skoro już o tej porze tu jesteście.

— Konie też ledwie tchną. Pytaliśmy po wsiach... ale co to! jedni mówią, że widzieli, drudzy, że nie widzieli. Goni się wiatr po polu, i tylko... Gdzie to dziś kto złodzieja dopędził!

— Prawdę pan powiada, bardzo wielką prawdę. Złodzieje teraz takie mądre, że niech Pan Bóg zabroni; dopiero są, już ich niema; dopiero ich niema, już są. Nie pamiętam takich paskudnych czasów. Po dług sprawiedliwości, pan ekonom powinien troszkę odpocząć, wódki się napić i ludziom też dać.

— Gonił jabym bez ustanku, żeby nie konie; ale zmordowane na szeszęt, ledwie tchną.

— Może parę wiązeczek siana?

— A jest?

— U mnie wszystko jest, co tylko może być potrzebne w podróży; ja zaraz każę dać. Niech konie spoczną i ludzie niech spoczną. Aj, takie czasy, takie czasy!.. Niema tygodnia, żeby nie było słyhać o kradzieży. Pewnie pan ekonom lubi mocną gorzałkę?

— Po takiej gwałtownej jeździe... spodziewam się. Pięć mil blisko, i jakiej jazdy! Bez pardonu, co koń wyskoczy... Żeby ich marności ogarnęły!

Symcha nalał ekonomowi wódki i kilka czerstwych bułek na stół rzucił, kilka wiązek siana ze stajenki przyniósł, a potem powrócił do izby i zaczął z ekonomem gawędzić.

— Dlaczego pan tędy za nimi goni?

— Tak niby ze śladów wypada.

— Czy pan wierzy w złodziejskie ślady? Oni naumyślnie tak kręcą, żeby drogę zmylić. Pan goni ich tędy, tymczasem to ślad fałszywy... oni inną drogą uciekli.

— Może być.

— Prawie zawsze tak jest. Pan się zapędził aż tu, do Bielicy, pięć mil drogi, karbowy pognał w inną stronę, także pięć mil drogi, albo i więcej... a oni może siedzą gdzie blisko. Może ukryli konie w chłop-

skiej stodole między zbożem, może w jakim budynku w miasteczku, i czekają. Poczekają dwa, trzy dni, a potem pojedą sobie nocą, pomaleńku, spokojni, że już ich nikt gonić nie będzie.

— Zepewne, że tak jest, jak Symcha mówi— rzekł ekonom. — Tak samo było rok temu, kiedy w Biedrzeńcu konie skradli. Ludzie ganiłi a ganiłi po całej okolicy przez trzy dni, a później okazało się, że konie były ukryte w lesie, o pół mili za wsią.

— Znalezli?

— Koni nie znaleźli, ale się wykryło wszystko. Ot, niema co mówić— rzekł i machnął ręką niechętnie.

— Trzeba dobrze zamykać, psy trzymać, pilnować.

— At, na złodzieja zamka niema; psów otrują, a pilnowanie... chyba, żeby człowiek nie innego nie robił, tylko dzień i noc w stajni siedział, to możeby upilnował. Z pastwiska, przy ludziach, też ukraść potrafią...

— Prawda, prawda— potakiwał Symcha,— to są nadzwyczajne łajdaki. Co pan ekonom myśli dalej robić?

— Albo ja wiem; poczekam, aż konie wypoczną, i będę gonił dalej, bo dziedzie mówił, żeby gonić choćby dwadzieścia mil, byle złapać. Konie łatwo po-

znać: oba szpakowate, dobrane do maści i do wzrostu jak jeden. Piękne konie, kosztowały czterysta rubli.

— Czterysta?

— A no tak. Czy warto trzymać takie konie!?

— Ja sam powiadam, że nie warto; teraz najlepiej trzymać same gałgany, kulawe, chude, z felera-mi; na takie złodziej się nie ułakomi; a jeżeli się ułakomi, to przynajmniej niewielka strata... Pan ekonom chce gonić złodziei... ale którędy? drogi różne tu są.

— Właśnie chciałem się was poradzić, Symcha. Według tego, jak mi ludzie po drodze mówili, wypadła, że albo przez samą Bielicę, albo bardzo blisko Bielicy musieli uciekać. Chłop jeden, co wracał późno już do domu wozem, mówił, że go minęli dwaj jacyś na tęgich koniach i że popędzili ku Bielicy. Nocą maści dobrze nie mógł rozróżnić, ale zdaje mu się, że konie szpakowate były... Pewnie nasze. Nie rozmawiałem z chłopem długo, bom nie chciał czasu tracić, pędziliśmy dalej co koń wyskoczy, ale tu nam konie ustały. Ztąd mogli oni dwiema drogami pojechać: albo lasem do dużego gościńca, albo manowcami ku jeziorom. Podług mego pomiarkowania, do gościńca chyba nie pojechali, bo już się na dzień miało; więc prędej ku jeziorom. Czy Symcha w nocy jakiego hałasu nie słyszał?

— Owszem, słyszałem; właśnie tak, jakby kto bardzo prędko jechał na koniu. Słyszałem, nawet byłem w strachu, czy nie jacy źli ludzie. Wyszedłem na podwórko, żeby zobaczyć, kto.

— I widzieliście?!

— Człowiek nie jest kot, nie ma takich oczu, któreby widziały w ciemności; ale to wiem, że byli ludzie na koniach.

— Dwóch?

— Zdaje mi się, że więcej. Może czterech, może pięciu. Nie rachowałem, ciemno było...

— Pięciu—powtarzał w zamyśleniu ekonom,— zkadże, u dyabła! Ukradli przecież tylko dwa konie.

Symcha, jak gdyby nie rozumiejąc słów ekonomu, ciągnął dalej:

— Choć było ciemno, to jednak mogłem zmiarkować, że pojechali oni dróżką ku jeziorom.

— Jakżeście to poznali?

— Po słuchu. Cztery albo pięć koni, to nie bagatela, poznać można. Później położyłem się spać. Ledwie co zdrzemuiałem się cokolwiek, znów zrobił się hałas; znów byłem w strachu, znów wyszedłem. Także byli na koniach, ale nie pięciu, tylko dwóch.

— Dwóch!

— Wyraźnie widziałem. Co więcej jeszcze powiem panu ekonomowi, ja rozmawiałem z nimi.

— Więc mogliście się im przypatrzeć?

— Nie, myśmy rozmawiali z daleka. Nie taki ja głupi, żebym miał się zbliżać do ludzi, którzy nocną porą jeżdżą. Pytali, którądy dostać się można do gościńca, powiedziałem im, że na prawo, i zdaje mi się, że pojechali na prawo.

— To pewnie nasze konie były...

— Nie wiem, może wasze, może nie wasze, ale tego zmęczone, aż chrapały...

Ekonom podziękował za informacje i za dobrą radę, a gdy konie odpoczęły, popędził z fornalami w kierunku przez Symchę wskazanym.

Imć pan Dawid Kaltkugel, leżąc w drugiej stancyi na łóżku, uważnie przysłuchiwał się rozmowie; a gdy ekonom odjechał już, wstał i wyszedł do syna.

— Widzi ojciec — rzekł Symcha, — jaki to mój los: wciąż ludzie przyjeżdżają i wciąż dopytują. Żebym milczał, mogłoby mieć na mnie brzydkie jakie posądzenie; wolę więc mówić.

— Prawdę?

— Przecież ojciec słyszał. Kto może poznać prawdziwą prawdę podczas ciemnej nocy? Mówiłem, co mi się zdawało. Mogło mi się zdawać dobrze, mogło źle; to nie moja wina... Tu, w Bielicy jest ka-

wałek chleba, nawet spory, ale niespokojny. Spać nie dadzą. Taki już mój los.

Pan Dawid długo chodził po stancyi i rozmyślał. Nie podobało mu się u syna. Ten nocny niepokój, wstawanie, to dobijanie się do drzwi nad ranem. Zapewne; interes to jest, spekulacya, jak każda inna — ale nieprzyjemna spekulacya. Ciągła trwoga; chociaż może to się tak tylko nieprzyzwyczajonemu wydaje. Symcha nie zdradza żadnej obawy, a o przygotowaniach nocnych mówi tak spokojnie, jak piekarz o bułkach. Gdyby się obawiał, nie miałby tej pewności siebie.

— Słuchaj-no, Symcha — rzekł po długim rozmyśleniu do syna, — ja muszę wracać do domu.

— Owszem, niech ojciec jedzie zdrów.

-- Jednak moje serce nie jest spokojne. Ten pożar w Trzmielu, ten syn Nechemiasza, to mieszkanie Nechemiasza tu, przy tobie, te ludzkie gadania... wszystko budzi we mnie obawę. Ja się bardzo boję. szczerze ci powiadam... boję się o ciebie.

— Mogę was zapewnić, że mi ani jeden włos z głowy nie spadnie; że nie jestem tak głupi, żebym się dał złapać.

— Złapać? Symcha, więc naprawdę?...

— Aj, proszę ojca, o czem tu rozprawiać? Naprawdę, czy nie naprawdę, skoro ja jestem spokojny,

to dlaczego ojciec się lęka? Ja widzę, że ludzie starsi mają bardzo niewiele śmiałości. Niech ojciec jedzie do domu w dobrem zdrowiu, niech ojciec handluje sobie dalej w Trzmielu z dobrem szczęściem, a o mnie niech ojciec się nie martwi, ja będę swój handelek prowadził.

— Najbardziej niepokoi mnie ten chłop Mucha. On coś miarkuje; nic nie mówi, ale miarkuje, a to zawzięty człowiek.

— Niech sobie będzie jaki chce; co mnie do niego? Dla ojca bardzo dobrze, że on zawzięty. Ze chce prędko odbudować swoją chałupę i stodołę, będzie potrzebował pieniędzy i niezawodnie przyjdzie do was. Można będzie pociągnąć z niego porządnie w takim wypadku.

Imć pan Dawid, nie bardzo przekonany, ale uspokoiony trochę tem, że synek jest tak pewny siebie, odjechał do domu i zajął się swemi interesami, Symcha zaś pozostał przy swoich. Czasem wyjeżdżał do teścia, czasem z teściem razem puszczał się w dłuższą drogę, ale najczęściej przesiadywał w domu, w Bielicy. Często mówił do ludzi, którzy się w jego karczmie zgromadzali, że nie cierpi interesów, za którymi trzeba jeździć; że mocno wierzy w przysłowia: iż dwóch srok od razu łapać nie warto, że lepszy wróbel w ręku, niż sokół na dachu, oraz że i kamień na miejscu porasta.

Stali goście karczmy bieleckiej, a także częściej przejeżdżający podróżni, umieli to na pamięć, tak często im Symcha te słowa powtarzał. Wiedzieli również o tem, że ma on zamiar opuścić tę karczmę, skoro mu się tylko coś odpowiedniego trafi, w Bielicy albowiem ma nieustanne przykrości. Miejsce samo ma złą opinię, a przytem mieszkanie na uloczu, wobec ciągle powtarzających się kradzieży, jest nieprzyjemne w wysokim stopniu.

Wylewając te uczucia żalu i niezadowolenia, Symcha tak strasznie przeklinał wszystkich rzezimieszków, łotrzyków i złodziei, że, gdyby spełniła się choćby tylko setna częśćka tych życzeń, możnaby zniszczyć wszystkie zamki i klucze i wyrzucić jako przedmioty zgoła zbyteczne i niepotrzebne. Nienawidził on wrogów cudzej własności straszliwie, a mówiąc o nich, miotał się i pienił z wielkiego gniewu. Zdarzało się nawet kilkakrotnie, że czynnie pomagał wójtowi w tropieniu rzezimieszków i doskonale prowadził pogoń śladami. Że się nie udało złapać łotrów—to inna rzecz, niemniej jednak gorliwość Symchy Borucha godna była uznania.

Ludzie źle mówili o starym Nechemiaszu kowalu; ma się rozumieć były to plotki niecne. Symcha potrafił dowieść swoim gościom niezasadności owych gawęd, pokazał im bowiem podkowę ze znakiem, po

którym kradzionego konia łatwo można poznać i własność swoją udowodnić, choćby nawet koń był już ufarbowany.

Te ulepszone podkowy wymyślił właśnie Nechemiasz. Skoro Symcha ludziom o tem powiedział, zaczęto zaraz sprowadzać do Bielicy konie, celem zaopatrzenia ich w podkowy znaczone. Stary kowal z synami ogromną miał robotę i ledwie mógł nastarczyć zamówieniom. Kto chciał mieć podkowę ze znakiem—miał ze znakiem, z literą—to z literą; Nechemiasz z synami kuł, aż się echo rozlegało; z pod młotów złociste padały iskierki, a ludzie, czekający na podkucie koni, zakrapiali się gorzalką, bawiąc się przytem dyskurssem z Imé panem Symchą Boruchem i jego małżonką. Ta w obcowaniu z ludźmi uprzejmość dobre miała wpływy: ogłoszono Symchę za człowieka bardzo zacnego i uczciwego; który i wódkę ma dobrą i w żadne brzydkie interesa nie wchodzi.

Bywają niekiedy w karczmie ludzie podejrzani, ale z tego szynkarzowi nie można robić zarzutu. Karczma jest domem otwartym dla wszystkich, wejść do niej może kto chce, a nie jest rzeczą Symchy żądać od przejezdnych i przechodniów, aby się przed nim z rodowodem stawiali i zeznawali, co zacz są i jakie jest ich zatrudnienie.

Kto Symchę znał bliżej, ten wiedział, że jest czysty jak bursztyn; kto nie znał, bajdy różne plół, z posłuchów chwywane. Ludzie mają złe języki i brzydkie usta, a przecież ani pierwszych im pouczyć, ani drugich pozalepić nie można. Mówią niestworzone rzeczy; niech mówią, ale prędyj czy później prawda wypłynie na wierzch, jak oliwa, a cnota ukaże się w całej jasności i blasku.

Swoją drogą plotkarstwo sprowadza złe skutki. Symcha Boruch dwa razy wzywany był do sędziego śledczego. Za pierwszym razem bawił krótko i tegoż samego dnia powrócił do domu, druga wizyta trwała blisko tydzień. Nie lubił o tem Symcha wspominać, to nie było o czem Przepędzić cały tydzień w obcym miejscu, w takim domu, gdzie są okna zakratowane, brak porządnych mebli, nie należy do przyjemności — a właśnie Symcha w takim brzydkim miejscu przez siedem dni siedział i ciągle był trapiiony niepotrzebnymi pytaniami.

W rezultacie pokazało się, że niema dostatecznych racyi do dłuższego zatrzymywania go w tym przybytku—i pozwolono mu odjechać do domu. Symcha jednak, zamiast do domu, udał się do Imé pana Gansfedera, i obaj odbyli bardzo długą i poważną konferencyę.

Po tej konferencyi w Bielicy ruch zmniejszył

się bardzo. Jeździli ludzie drogą, ale sami chłopci, przeważnie z Bielicy, lub sąsiednich wiosek, obcy człowiek rzadko się pokazywał, czasem wlekli się smolarze z mazią, rybacy z rybami — i na tem koniec.

Nechemiasz z synami wywędrował — podobno robota jakaś mu się trafiła o kilkanaście mil drogi.

Jeżeli ukradziono komu konie, to już złodzieje drogi na Bielice nie obierali, lecz uprowadzali zdobyć innemi szlakami. Symcha nie był więcej zaczepiany, ani badany — szynkował sobie spokojnie, narzekając na złe czasy i na mały obrót w interesach. Gansfeder przyjeżdżał do niego dość często, ale to nikogo nie dziwiło. Jako dobry ojciec i teść, odwiedzał córkę, zięcia i wnuczki.

Jednego dnia, jesienią, przybył do Bielicy rybak Wulf, gawędził z Gansfederem i z Symchą bardzo długo, poczem wszyscy trzej udali się w stronę jezior. Przybywszy na miejsce, udali się pod przewodnictwem Wulfa na bagna, prowadził ich przez suche kępki i wzgórki, zalecając nadzwyczajną ostrożność, aż nareszcie stanęli na twardym lądzie. Był to mały wzgóreczek, suchy zupełnie, ukryty w krzakach i gęstej łozie.

— Cóż? jak wam się podoba?— zapytał Wulf.

— Bardzo dobre miejsce—rzekł Symcha.

— Nie śpiesz z pochwałą, aż dobrze się przyjrysz. Według mego zdania, miejsce to nie jest dość ukryte...

— To już ja nie wiem—rzekł rybak, — czego wam potrzeba! Mogę was zapewnić, że żywa dusza tu nie zajrzy. Chciałbym mieć wartość tego towaru, któryśmy tu przechowywali. Czy znalazł go kto kiedy?

— Zapewne...

— A przecież chodzili, okrażali, szukali tyle razy.

— Musieliście być w dobrym strachu — rzekł Symcha.

— Wcale nie—odpowiedział rybak. — Palilem najspokojniej fajkę, oprowadzałem ich po krzakach; wójtowi rzekłem, że podobno jest dróżka tędy na lewo, można przejść, poszedł i zapadł się w gęste błoto, po sam pas, ledwie go wyciągnęli. Odechciało mu się szukać...

— Swoją drogą—rzekł Gansfeder, — ja myślę, że na ten interes, co nam potrzeba, to nie jest doskonały plac.

— Albo ja wiem... Mnie się zdaje, że dobry.

— A gdzie podziemy dym?

Wulf zastanowił się...

— Prawda—rzekł, — gdzie mamy podziąć dym?

— Zróbmy próbę—rzekł Gansfeder:—naznośmy gałęzi i zapalmy...

We trzech wzięli się z wawo do noszenia gałęzi, ułożyli spory stos i zapalili go.

— A teraz—rzekł Gansfeder — prowadźcie nas nad jezioro, do waszej izby i na dróżkę. Obaczmy, jak to wygląda...

Źle wyglądało—dym, przy ciężkim powietrzu, włókł się nad wzgórkami białymi chmurami; widać go było z każdej strony.

Wulf zamyślił się i rzekł:

— Jest sposób!

— Jaki?

— Na dym jest drugi dym.

— Jak to mamy rozumieć?

— Zamiast dymu małego, który będzie się pokazywał przypadkiem, zrobimy wielki dym, który nikogo nie zadziwi...

— Jak?

— Założmy nowy geszef: smolarnię, albo piec do wypalania węgla. Co myślicie o tem?

— Bardzo dobry sposób, doskonały.

— Niema co mówić—wtrącił Symcha, — to jest dobrze pomyślany interes, bardzo dobrze...

— Mogą być nawet dwa piece, zupełnie jawne... Nie trzeba tracić czasu, tylko brać się co rychlej do rzeczy...

— Mój młodszy brat—rzekł Gansfeder—bardzo jest w takich rzeczach wypraktykowany, on to najlepiej urządzi.

— A w jaki sposób zwieziemy naczynia i wszystko, co potrzeba?...

— O to niech cię głowa nie boli! Zwiezie się częściowo, po kawałeczku, a złoży się na miejscu...

Symcha, z teściem do wspólki, nabył partyę drzewa i wziął się do wypalania węgla.

— Widzicie—mówił do ludzi w karczmie,—jak ja się dorobiłem na tej kochanej Bielicy: jeść nie mam co... Muszę się ratować innemi sposobami: węgle kowalskie wypalać! Taka to nagroda rzetelnych ludzi...

— Prawda, prawda! — przytakiwali pijani chłopci.

— Gdzie karczmę trzyma lajdak, to robi majątek; porządny człowiek nie ma nic. I ani fałszują, szachrują... ja idę prostą drogą. Czy daję wam złą wódkę?

— Juści, że nie.

— Czy biorę drożej, niż inni?

— Owszem, taniej.

— Widzicie, przekonajcie się sami... Co warta dziś na świecie rzetelność? Ja muszę dobrze głową kręcić, żeby na kawałek chleba zarobić; muszę się brać do takich interesów, jakich ani mój ojciec, ani mój dziadek nie robił: węgle wypalać!

KSIĘGI CZWARTE.

Jako Symcha Boruch dość podłym towarem handlując do mienia znacznego doszedł i jako przez czas pewien medytacyom się oddawał.

Dziesięć lat z okładem w Bielicy Symcha przesiedział, siedmiorga dzieci się doczekał, a tak w cyrkumferencyi zgrubiał i na obliczu potłuścił, że niktby w nim nie poznał owego mizernego i głodnego zawsze dzieciaka, co do akademii Klopmanowej uczęszczał i, płacząc ciągle prawie, stare księgi odczytywał. Z dzieciaka wyrosła persona poważna co się zowie — okazała, z brodą ryżą, szeroko na piersi spadającą. Się w tym człowieku znać było i pewność siebie niezmierną. Gdy do miasteczka przyjechał,

z góry na dawnych znajomych patrzył, jakby chcąc im powiedzieć: „Mówiliście, że młodzi i do niczego nie dojdę; tymczasem, patrzcie! W co się obróciły wasze przepowiednie?”

Bardzo pyszny był Symcha i miał z czego: w rodzinem mieście obywatelem został, dom kupił w samym rynku, wprowadził nie na swoje imię, ale każdy wiedział, że to jest dom jego, za jego własne pieniądze. I o tem również wiedzieli, że Symcha pełną kieszeń rewersów ma, że nie jest u niego nadzwyczajnością dać zaliczenie na zboże, albo i na prosty weksel komu wygodzić.

Dziwili się, z kąd tak prędko doszedł do kapitału, opowiadali sobie różne historie, ale tylko pod sekretem, na ucho; zazwyczaj bowiem tak się działo, że zbyt duża gadatliwość sprowadzała na plotkarza pożar, albo inne nieszczęście. Czas taki w tej okolicy zapadłej nastąpił, że należało ostrożność w mówieniu zachowywać, gdyż niewiadomo z kąd i z której strony na gadatliwych spadały nieszczęścia.

Symcha Boruch, zazwyczaj jak każdy szynkarz, z konieczności rozmowny, spoważniał i zamknął się w sobie; mało mówił, w razie chyba koniecznej potrzeby. Do gawędzenia z gośćmi sprowadził swego młodszego brata i jemu miał podobno karcznię w Bielicy odstąpić. Byłoby to od razu przyszło do skutku, ale zachodziła poważna przeszkoda.

Wypalaniem węgla trudnił się głównie Imć pan Icek Gansfeder, brat Symchowego teścia, człowiek dziwnie ponury i nieprzyjemny. Miał on brzydki zwyczaj, że nigdy nikomu nie spojrział wprost w oczy, lecz wzrok do ziemi spuszczał, jakby czegoś szukając. Węglarz to dobry był i na swojej sztuce znał się doskonale, ale niekiedy miewał dziwne kaprysy.

Jednego razu, na przykład, bez żadnej ceremonii przyszedł do Symchy, w ordynaryjny sposób położył mu rękę na ramieniu i rzekł bez żadnych wstępów:

— Potrzebuję trzystu rubli, pilno!...

— Cóż mnie to obchodzi?—zapytał Symcha.

— Owszem, obchodzi cię, bo te trzysta rubli masz mi dać dziś jeszcze przed wieczorem.

— Czy kochany wujaśzek, broń Boże, zwaryował?!

— Jestem przy zdrowych zmysłach. Masz dać i dasz; nawet proszę cię nie bałamucić, daj zaraz, bo ja nie mam czasu na długie konferencye. Wiadomo ci, że powinienem być teraz przy węglach...

— Dajcież pokój, co chcecie ode mnie?

— Wyraźnie ci powiadam, że chcę trzystu rubli. Wolno ci dać, wolno nie dać, ale ja cię uprzedzam, że już dość na was pracuję, że nie mam zamiaru dalej robić darmo.

— Czy nie macie zysków?!

— Nie, wy wszyscy macie zyski. Mój brat, ty, jeden rybak, drugi rybak, smolarze... chcecie majątki robić, a ja, główna w tym interesie osoba, nie mam nic.

— Mój teść daje wam piętnaście rubli tygodniowo:

— Niech jego piętnaście razy tygodniowo wielka słabość ściśnie!

— Pfe, Icku, tak nie godzi się mówić... przecież to brat.

— Żeby u obcego robił, tobym więcej miał i nie znajdowałbym się ciągle pod strachem. Zresztą nie mam co dużo gadać. Daj trzysta rubli, wracam zaraz do węgla; nie dasz, jadę dalej. Wóz i przewóz... wybieraj. Mnie się już to wszystko sprzykrzyło!

— Zastanówcie się, Icku.

— Ja się zastanowiłem.

— Ja teraz nie mam tyle gotówki, to jest suma, to jest znaczna suma!

— Nie tłómacz się, gotówkę masz w domu... ja wiem. Wczoraj sprzedałeś pięćdziesiąt korcy żyta.

— Zkąd wy możecie o tem wiedzieć?

— Wiem; zresztą, jak wasza wola; jak wam się podoba; chcecie, dobrze; nie chcecie, drugie dobrze.

— Ja muszę się rozmówić z moim teściem

— Ja nie bronię; rozmówcie się; ale wpierrw ja muszę dostać to, co mi się należy.

Próbował jeszcze Symcha Boruch łagodną perswazyą uspokoić wzburzonego Icka; ten się jednak tak zawzięł, że słuchać nie chciał o zwłoce. Trzeba mu było dać odczepne. Jakoż dostał je i, nie podziękowawszy nawet, odszedł. Ten postępek rzucił na dno serca Symchy nasiona niepokoju i na dość długi czas odebrał mu sen. Słusznie można było przewidywać, że na jednym się nie skończy i że będą coraz to nowe żądania, bo chciwość ludzka nie zna granic.

Słusznie to bardzo ktoś kiedyś powiedział, czy napisał, że „grosz grosz rodzi i w dobrych rękach przyrasta“; słusznie też mówią, że nie tak zazdrości i nienawiści w ludziach nie wzbudza, jak ten grosz mizerny, który sam przez się marnością i świedelkiem jest brzęczącym, ale, jako środek, do różnych celów prowadzi, różne pragnienia i aspiracye spełnia, marzenia nie raz w szaty rzeczywistości przyoblóczy. I Symcha Boruch i teść jego Gansfeder, którzy tak szybko, dzięki zabiegliwości swej, zręczności i sprytowi do powiększenia fortuny przychodzili, mieli nie długo poznać tę szpetną hydrę zazdrości.

Ludziom przeszkadzało to i nie podobało im się,

że ci dwaj zabiegliwi ludzie grosze robią; więc też zaczęli debatować i poszukiwać, z kąd, jak i jakim sposobem fortuna ich rośnie. Naprzód zwrócili baczne oczy na Gansfedera, bo dość im się dziwnem wydało, aby ze zwyczajnego szynku przy rostkach można się tak prędko mienia i to nie byle jakiego dorobić. Kombinowali rozmaicie, zbierali wiadomości luźne na pozór i nie mające z główną kwestyą związku, ale po złożeniu tego wszystkiego, wybudowali ogromny gmach plotek i gawęd, które rosły im wciąż i byłyby doszły tam, gdzie nie potrzeba, gdyby nie przytomność i bystrość umysłu Gansfedera.

Miał rację Symcha, wychwalając wielkie tego człowieka zdolności. Gansfeder nad wszystkim czuwał, wszystko przewidywał, miał w każdym wypadku przyjaciół wiernych, świadków do przysięgi gotowych, na wypadek pośpiechu doskonale konie na zawołanie, niew dzielne ręce do pomocy.

W okolicy wiedziano, że nad wszystkimi wisi „ciężka reka“ i że poruszeniami jej kieruje Gansfeder; wiedziano też, że jeżeli kto chciał żyć spokojnie i bez kłopotu, trzymać dobre konie i nie obawiać się, że mu je ze stajni wyprowadzą pierwszej lepszej nocy — to mógł się udać do Gansfedera, pomówić z nim na cztery oczy, złożyć jakąś opłatę za czas umówiony i nie obawiać się niczego. W takich tranzakcyach

Imć pan Gansfeder nie zawodził nigdy i mówił, że główną każdego układu podstawą jest dobra wiara i uczciwość, i że tą tylko drogą wyrobić sobie można solidną firmę.

Swoją drogą ludzie zazdrośni i nieprzychylni mruzczeni niechętnie, ale głośno nie śmieli się odzywać, w obawie ciężkiej ręki, która nie lubiła żartować.

Do mruzczeń i szmerów przyłączyły się jeszcze grymasy rodzonego brata, Imć pana Icka Gansfedera. Właśnie po owej z nim przeprawie tak kosztownej, Symcha Boruch niezwłocznie udał się do teścia i obszerną mu złożył relację.

Gansfeder pogładził brodę, zamyslił się — a po chwili rzekł:

— Niech ci się nie zdaje, że to pierwszy raz; on już ode mnie sporo pieniędzy w ten sposób wycygał...

— A teraz zabrał się do mnie. Ja nie wiem, co mam robić; przyjechałem do was naumyślnie, abyście mnie nauczyli, jak postąpić, gdy się znowu coś podobnego zdarzy.

— A jakbyś ty myślał?

— Jabym jemu dał kilka razy w kark i wyrzucił go za drzwi...

— To bardzo źlebyś zrobił.

— Więc jakże? Więc niema sposobu na takiego

rozbójnika! więc on może mi zabrać wszystko, co mi się podoba?

— On nas może zadenuncyować i zgubić każdej chwili.

— Przecież jest waszym bratem, więc chyba by nie chciał przyczynić wam nieszczęścia.

— On bardzo chciwy jest, ja nie mogę za niego ręczyć.

— To po co przyjmowaliście go za węglarza?

— Nie miałem kogo innego, coby się na tem znał, a on wypraktykowany i rozumie swoją sztukę bardzo dobrze.

— I cóż ztąd, kiedy ma taką brzydką naturę.

— Ja myślałem, że on się zadowolni lada czem, że będzie poprzestawał na małym; i tak z początku było; tymczasem, jak zobaczył, że dobrze idzie, chciał coraz więcej i więcej...

— Temu końca nie będzie. Wy zróbcie z nim jaki porządek; a jeżeli nie, to wypuście mnie ze spółki; ja się wyniosę do dużego miasta, będę handlował spokojniejszym towarem.

— Na to jeszcze jest czas. Przecież my obadwaj wiekować tu nie będziemy, w takim kącie; nam się należy już trochę lepsze miejsce na świecie, na nas patrzy duże miasto, duże geszefta. O tem pomówimy w swoim czasie, Symcha Boruch; na teraz trzeba

myśleć nie o tem, żebyś ty ze spółki wyszedł, a o tem, żeby Ieka delikatnie usunąć.

— Jak?

— Tak, żeby nam było dobrze, i jemu było dobrze, i żeby to nas niedrogo kosztowało.

— Czy macie już jaką kombinację?

— Mam, i nie jedną.

— Więc na co czas tracić, na co czekać? Zrobić, nie z włóczęg, i niech on sobie jedzie, aby jak najdalej od nas, niech handluje czem chce, niech się dorabia, byle nam nie przeszkadzał i byle nas nie straszyl. Strasznie to jest brzydka rzecz; my jesteśmy ludzie delikatni, my nie mamy takiego zdrowia, żeby w strachu żyć. I żeby to tylko o sam strach chodziło, to jeszcze możnaby wytrzymać, ale dopłacać do brymi pieniędzmi to strachu. . ja nie potrafię, nie można na to siła. Dlatego stanowczo proszę, żebyśmy się nareszcie od tego człowieka odczepili, albo żeby on odczepił się od nas. Co ojciec myśli?

— Ja myślę, że trzeba mu powiedzieć, że my już dalej tego interesu prowadzić nie będziemy, że wszystko będzie zwinięte, schowane, sprzątnięte i ani śladu nie pozostanie z tego, co było.

— Czy on temu uwierzy?!

— Może uwierzy. Prócz tego, powiem mu, że my, oceniając zasługi, jakie on dla nas położył, chcemy go wynagrodzić i damy mu...

— Ile?

— Jeszcze tysiąc rubli.

— Co?!

— Nie odrazu, zaczniemy od dwóchset; on jest twardy, będzie się targował, w końcu może przystanie. O siedem mil ztąd znajduje się do wydzierżawienia młyn, bardzo dobry młyn. Icek mówił mi już nieraz, że chciałby siedzieć spokojnie. Będę go namawiał. Dzierżawa tam bardzo niedroga, a dorobić się można. Jeżeli on się na tamten młyn nie złapie, to wątpię, żeby się na cokolwiek złapał.

— Ale co z tego?

— Jakto co?

— Dajmy na to, że się złapie, weźmie tysiąc rubli, weźmie młyn. Czy wam się zdaje, że będzie już cicho siedział?

— Ja tak myślę...

— A ja nie. Dlaczego ma cicho siedzieć, kiedy każdej chwili może przyjechać do was albo do mnie i straszyć tem samem, czem nas dziś straszy. Kto mu zabroni? Będzie potrzebował pieniędzy, przyjdzie do was i wy mu dacie; przyjdzie do mnie i ja będę musiał mu dać. A choćby nawet i nie potrzebował, to także zechce brać. Pieniądzy nikt nie ma za dużo; a kto ma dobrą krowę, nie będzie taki

głupi, żeby się wyrzekł jej dojenia. Nie, tym sposobem my nie damy sobie z nim rady.

— Więc cóżbyś ty myślał, Symcha?

— Albo ja wiem; mam także różne kombinacye. Cały kłopot w tem, że to wasz rodzony brat: żeby nie to, ja nie pytałbym was, co z nim zrobić... już byłoby zrobione dotychczas...

— Nie, tak nie można.

— Ja wiem, ale i płacić ciągle też nie można. Ja myślę tak: powiedzmy, że za granicą wymyślili bardzo dobry i nowy sposób fabrykacyi naszego towaru; niech on pojedzie ten sekret zbadać.

— To pojedzie.

— Pojechać łatwo, ale powrót możemy mu utrudnić. Ja mam na to bardzo dobre sposoby.

— Ja wiem; ale na co spieszyć. Poczekajmy jeszcze trochę, może się co wyklaruje...

— Chcecie czekać, dopóki on znowu straszyć nie zacznie? Lepiej uprzedzić. Dlaczego on ma być pierwszy?... My będziemy pierwsi...

Ułożono, żeby jeszcze kilka tygodni czekać i zostawić wszystko tak, jak jest — czas bowiem jest to dobry wspólnik, on przynosi radę.

Czekali więc—ale w tym razie czas nie był taki dobry, jak zwykle—i zamiast uspokojenia i rady, przeciwnie, coraz większe niepokoje przynosił.

Znalazło się kilku ludzi tak zawziętych, że nie zważając na pogrożki, nie obawiając się „ciężkiej ręki“, zaczęli śledzić, badać, pytać, dowiadywać się, a tak się jakoś zręcznie brali do rzeczy, że na dobre ślady trafiali. Jakoż kilku młodych żydków, bardzo obiecujących chłopczyków, do kozy niespodziewanie wzięto.

Zaledwie ta wieść do Gansfedera i do Bielicy doszła, tegoż samego dnia nadbiegł goniec bardzo przerażony, spienionego konia osadził tuż przy małym szynku przy rogatce i wpadł domieszkania Gansfedera jak kula.

Gansfeder bystrem okiem poznał, że jest rzecz poważna, schwycił chłopaka za rękę i wciągnął go do drugiej stancyi.

— Cóż się stało?—zapytał.

— Nechemiasz...

— Złapany?

— Tak, przy samej granicy wzięli go i dwóch synów... trzeci uciekł.

— Kiedy to się stało?

— Wczorajszej nocy... Cztery konie mieli z Osin, te hrabiowskie.

— I dali się? Nie mógł każdy w inną stronę uciekać?

— Była zdrada. Widać ktoś powiedział, kiedy

będą jechali, którzy... i wzięli ich jak swoich. Chcieli się bronić, ale widzieli, że nie poradzą, że duża siła na nich szła.

Imć pan Gansfeder, zwykle cichy dość człowiek, i spokojny, zaklął bardzo ciężkiem przekleństwem

— Gdzież oni teraz są?—zapytał.

— Gdzież być mogą?—odparł zdziwiony zapytaniem tem żydek—są w więzieniu.

— Czemu nie próbowali uciekać? głupcy!

— Oni Bogu dziękują, że jeszcze przy życiu są. Zbili ich na kwaśne jabłko. Chłopi nie żartują... a właśnie chłopci ich złapali; cała gromada ich była zaczajona w lesie.

— Ktoś zdradził.

— Wiadoma rzecz, że zdradził, na pewno zdradził... Teraz co my mamy robić?

— Jakto my?

— No, Berek, Abram, Mendel, Szmul, Jojna, Abuś, a! Co my mamy robić? Uciekać, chować się?...

— Dlaczego się macie chować? Nechemiasz nie zdradzi i żaden z jego synów nie zdradzi. Za nich można ręczyć, jak za siebie samego; to są ludzie wypraktykowani, nie pierwszy raz mają taki ambaras.

— O nich też niema obawy; ale ten, kto zdradził Nechemiasza, kto pokazał drogę, którą mieli ko-

nie prowadzić, zdradzi z pewnością i nas wszystkich; dlatego pytam was, co robić.

— Co ja wam poradzę?! Róbcie, co chcecie!

— Tak?! To wy z naszej pracy umieliście zyski ciągnąć, umieliście się bogacić... a jak bieda i kiedy trzeba nam pomódz, to „róbcie sobie, co chcecie!“ Dobrze, my zrobimy, co chcemy, ale wam też będzie ciepło. My jesteśmy ludzie uczciwi, pracowaliśmy dla was rzetelnie, za marne pieniądze, a wy...

— Czekać, czekać, waryacie! Co ci radzić mogę, sam dobrze nie wiedząc co jest? Złapali Nechemiasza... cóż z tego? Trudna rada! posiedzi; ale to jeszcze nie racya, żeby ciebie złapali, żeby wszystkich złapali! Trzeba się wywiedzieć, kto zdradził, co wygadał... wtenczas dopiero może jaka rada być.

— Dużo musiał wygadać, a wiedział więcej, niż trzeba. Między chłopami na wsiach wielka radość; oni głowy podnoszą, oni się teraz nie boją nic. Każdy będzie gadał przed sądem co wie i czego nie wie. Całkiem się popsuło, całkiem. Wasz zięć też pewny nie jest.

— Symcha?!

— A tak.

— Dlaczego nie ma być pewny?

— Parę dni temu jacyś Niemcy jeździli lasy oglądać.

— Ja wiem o tem. Przejężdżali koło Bielicy. Cóż za dziwo, że las chcą kupić? Od tego są Niemcy. Nie wiem, po co zawracasz mi głowę podobnemi głupstwami i to w takiej chwili, gdy o poważnych rzeczach myśleć należy.

— Ja wiem, co mówię, to nie byli Niemcy.

— Więc któż?

— Albo ja wiem. Niemcy nie chodziliby nad jeziora oglądać krzaki, bo oni krzaków nie kupują, tylko budulcowe drzewo; nie przypatrywaliby się czółnom, nie objężdżaliby jezior dokoła, nie oglądali by smolarni.

— Słuchaj! — zawołał Gansfeder — czy nie byli przy węglach?!

— Tego nie wiem; może byli, może nie byli...

— Czy twój koń bardzo zmęczony? — zapytał żydka.

— Zmęczony; ale jak wypocznie, to pójdzie.

— Jedź zaraz do Bielicy, do Symbcy, dasz mu karteczkę; konia zostawisz w Bielicy, a sam pojedziesz do smolarzy.

— Co mam u nich robić?

— Powiesz, że ja cię przysyłałam. Będziesz niby u nich pracował przy rąbaniu szczap i paleniu smoły...

w gruncie rzeczy masz pilnować lasu; a gdybyś zobaczył co podejrzanego, dasz mi znać zaraz. W lesie możesz siedzieć spokojnie, nikt cię nie zaczepi, a w razie wypadku łatwo się ukryć.

Tegoż jeszcze dnia w różne strony rozesłał Imć pan Gansfeder sześciu czy siedmiu gońców. Kilku pojechało na biedkach, kilku pieszo, a liczni agenci i współpracownicy zostali ostrzeżeni, żeby się mieli na baczności.

Sam Gansfeder wyjechał dopiero w nocy, gdy całe miasteczko pogrążone już było w śnie głębokim. Ani w jednym oknie nie płonęło światło, ani jeden człowiek nie znajdował się na ulicy. Biedka Gansfedera toczyła się cicho po niebrukowanej ulicy i zniknęła w ciemnościach. Za miastem uderzył on konia kilkakrotnie biczem i przynaglił do biegu.

Myśli Gansfedera nie były wesołe; doznawał on uczucia przygnębienia i strachu; zarazem ogarniała go wściekłość na myśl, że znalazł się ktoś, co chciał zburzyć gmach tak pracowicie i tak porządnie zbudowany, podkopać organizację urządzoną jak zegarek, w której każde kółeczko funkcyonowało prawidłowo, każde miało swoje przeznaczenie i rolę ściśle określoną. I naraz znajduje się ktoś, co psuje cały mechanizm, wrywa najpotrzebniejszą kółka, tamuje regularny bieg maszyny i szuka ukrytych głę-

boko sprężyn. Najspokojniejszego człowieka wściekłość może ogarnąć na widok podobnej nikczemności. Interes ryzykowny, do którego urządzenia i uorganizowania potrzeba było sprytu, przebiegłości, odwagi — pada za jednym zamachem, jak wątył domek z kart, wówczas kiedy się najwspanialej rozwinął i zaczął przynosić najpiękniejsze zyski.

Kto się przyczynił do tego? Gdzie on jest i gdzie go szukać, aby z nim uczynić obrachunek?

Strach Gansfedera był podwójny: z jednej strony trwożyło go ujęcie Nechemiasza i pogłoski, jakie się po okolicy rozeszły — z drugiej przerażała go wiadomość o owych Niemcach, szukających czegoś po lesie. Czyżby i drugi interes, taki niezawodny, taki pewny, taki czysty jak złoto, miał być również zagrożony? Tego już było za wiele.

W najsmutniejszych myślach dojechał Imé pan Gansfeder do Trzmiela. Była już druga po północy. Koń zmęczył się — należało mu dać wytchnienie. Zajeżdżał przed domostwo Dawida Kaltkugła. Długo musiał stukać, zanim mu otworzono; gdy wszedł do izby, Imé pan Dawid przywitał go nie bardzo uprzejmie i wprost zadał mu pytanie: czego żąda?

— Czego żądam? Jestem w podróży, noc, chcę konia popaść i spocząć pod dachem do rana.

— Czy nie macie karczmy? My w nocy lubimy spać, a nie zabawiać się z gośćmi.

Zrozumiał Imé pan Gansfeder, że i tu już coś wiedzą, skoro taki Dawid, taki marny handlarz wiejski, nie przyjmuje go grzecznie, chociaż powinienby to uczynić z wielu względów. Gansfeder udał, że nie bierze przymówki do serca i odrzekł:

— Przypuszczam, że mieliście bardzo przyjemny sen, Dawidzie, i że ja go przerwałem; nie miejcie do mnie za to złości; ja udaję się w dalszą drogę, a jeżeli lim was prosił o gościnność, to zdawało mi się, że jako ojciec waszej synowej i dziadek waszych wnuczków, mam do tego prawo. Trafiłem na wasz zły humor... bardzo żałuję. Na drugi raz będę się starał, żeby moja droga nie wypadła koło waszego domu.

Na to Imé pan Dawid, który już był się nieco z zaspania rozemychał, odrzekł:

— Nie chciałem wam ubliżyć... ale ja lubię spokój; w każdym innym czasie chętnie widziałbym was w swoim domu, ale teraz...

— Cóż teraz? co się tak nagle zmieniło?

— Wiecie dobrze i nie mam potrzeby opowiadać wam, na czym zmiana polega. Ja mówiłem, że wy jesteście wielki ryzykant, ja was ostrzegałem, że może być źle. Nie chcieliście słuchać... wasza rzecz; i jeżeli ja teraz się boję, to nie o was, ale o mego sy-

na... Co teraz będzie? powiedzcie mi, co teraz będzie?...

— Będzie dobrze.

— Daj Boże? Ale ja myślę, że będzie źle. Gdy jego wezmą, kto będzie się opiekował dziećmi, kto da jeść jego żonie?... chyba wasza żona, bo na was też niema co rachować. Was lada chwila złapią i całe wasze towarzystwo złapią. Chcieliście wielkiego majątku... macie teraz majątek!

— Wy się o mnie nie bójcie. Mnie złapać nie łatwo, a synowi waszemu także nic nie będzie. On jest mądrzejszy od was i potrafi sobie radzić, jego żona i dzieci nie przyjdą do was po kawałek chleba, bo wiedzą, że wy jesteście kapcan, który ledwie tyle od bab wiejskich wycygani, żeby mieć dla siebie co w garnek wsypać.

Od słowa do słowa — przyszło do grubszego przemówienia i do kłótni. Imé pan Kaltkugel dowodził, że, chociaż majątku nie zrobił, jednak zachował honor i uczciwość. Gansfeder zaś śmiał się z tej uczciwości.

— My obadwaj—mówił — jesteśmy jednakowo uczciwi, różnica tylko w ilości; wy wymanicie podstępem jeden grosz, ja innym podstępem wydobę łę rubla. Każdy człowiek żyć pragnie i pracuje, jak mo-

że; jeden ryzykuje więcej, drugi mniej, stosownie do usposobienia.

Kłótnia wzmagala się coraz bardziej; wreszcie zniecierpliwiony Gansfeder, nie rzekłszy na pożegnanie dobrego słowa, wyszedł—a że koń już trochę wypoczął, więc usiadł na biedkę i pojechał dalej. Droga wypadala mu ciągle przez lasy; zatrzymywał się przed ustronnemi karczemkami, z szynkarzami rozmawiał, ale krótko, wiele czasu na to nie tracąc. Tam rzucił słówko, dwa—i wnet gońcy rozbiegali się po okolicy, niosąc polecenia różne i rozkazy. W jednej z takich karczemek pan Gansfeder zmienił konia, gdyż ten, którym jechał, ustał już zupełnie i posłuszeństwo wymówił.

Dziwna dosyć była droga, którą teś Symchy przebywał: nie miała ona prostego kierunku, lecz ciągnęła się wężykowato, zbaczala w prawo i w lewo, a ogólnie zdawała się zakreślać koło o bardzo długim promieniu. Taką samą zupełnie podróż odbywał wspólnie Symcha Boruch. Spotkali się w małym miasteczku, daleko od swych domostw, w odległości mil dziesięciu.

Znaleźli się w zajeździe bardzo porządnym, gdzie konie mogły mieć wszelką wygodę, a ludzie dach nad głową i najrozmaitsze trunki. Gospodarz powitał ich bardzo uprzejmie i zapytał, czy nie życzą

sobie mieć numer oddzielny? Tacy dwaj kupcy powinni mieć do dyspozycji pokój do przyjmowania interesantów, do konferencji i narad. Zwrócił też uwagę, że obadwaj wyglądają na bardzo znużonych i że bez wątpienia potrzebują odpoczynku.

Przyznali, że istotnie tak jest, i że mają chęć pochrzepić się na siłach i kilka godzin przespać, a Gansfeder dodał, że niema potrzeby mówić komukolwiek o ich bytności, gdyż zaraz zaczną się schodzić ludzie z rozmaitemi interesami i propozycjami. Po wypoczynku i owszem, niech kto chce przychodzi. Właściciel zajazdu, człowiek nie w ciemę bity i domyślny, zapewnił swych gości, że mogą spać spokojnie i że nikt im spoczynku nie zakłóci. Następnie zaprowadził ich do numeru i zapytał, czem chcieliby się pośilić. Ponieważ dali do zrozumienia, że są bardzo zgłodzeni i że w drodze nie należy żałować sobie na dobre pożywienie, przyniósł im dwa kawałki pieczonej gęsi i kilka bułek, nie zapomniawszy o butelce mocnej szabasówki. Postawiwszy pożywienie na stole, oddalił się dyskretnie, nie chcąc przeszkadzać szanownym swoim gościom. Teś z zięciem gwałtownie zabrali się do jedzenia; dopiero nasyciwszy się dowoli, zaczęli o interesach rozmawiać.

Rozmowa ta trwała z pół godziny, poczem teś położył się na starej, połamanej kanapie, zięć na so-

fie, i zaraz snem mocnym usnęli. Po przebytej drodze, dość uciążliwej i męczącej, spali długo i przebudzili się dopiero po zachodzie słońca, kiedy już mroki wieczorne świat zaczęły obejmować. Nie wyszli jednak z izby po przebudzeniu się, ale do rozmowy poprzedniej powrócili. A mieli do mówienia dużo, zwłaszcza Gansfeder, a Symcha więcej słuchał i niektóre szczegóły na karteczce notował, snadź aby mu nie wyszły z pamięci.

Gospodarz zajazdu ucieszył się bardzo, gdy mu tak szanowni goście oświadczyli, że przynajmniej dwa dni u niego zabawią. Zapytał też, czy nie mógłby służyć informacjami co do okolicy, ludzi, co do stopnia zamożności obywateli.

— Mam — rzekł — do następczenia bardzo korzystne kupno, dierzawę...

— Nie — odrzekł Gansfeder, — my tak daleko od domu nie robimy interesów...

— W takim razie mogę wam dać tanio towar zagraniczny, łokciowy, aksamit, jedwabie, koronki. Na zamówienie mogą być złote zegarki, biżuterya, co tylko potrzeba. U nas — rzekł — miasteczko biedne, ale wszystko w niem jest... i niema chyba takiej rzeczy, którejby tu nie dostał. Jeżeli chwilowo braknie, to za parę dni można sprowadzić. Dość jest powiedzieć jedno słowo mnie; można też dać zadatek z ca-

lem zaufaniem. Nie było jeszcze zdarzenia, żeby się kto oszukał na tutejszej rzetelności; chociażbyśmy stracili, na słowie stawiamy się najpункtualniej.

— Ja słyszałem nieraz — rzekł Gansfeder, — że to jest bardzo pocziwe miasteczko, ale, jak w tej chwili, nie są mi potrzebne ani łokciowe towary, ani kosztowne rzeczy...

— W takim razie... przepraszam za pytanie... po co tu przyjechaliście, bo chyba nie dlatego umyślnie, żeby oglądać mój zajazd?

— Bardzo słusznie mówicie, tak jest. Ja mam chęć pojechać trochę dalej i dlatego przybyłem tu, abyście mi tę podróż ułatwili. Zdaje mi się, że nie będę dalekim od prawdy, jeżeli powiem, że to jest wasza specjalność.

Właściciel zajazdu uśmiechnął się i pogładził brodę.

— Prawda...—rzekł.

— Czy możecie mi zrobić tę przysługę?

— Z największą chęcią, choćby dzisiejszej nocy; dzień to nie jest dobry do takich podróży. Czy chcecie jechać obadwaj, czy tylko jeden z was ma ten zamiar?

— Ja pojedę—rzekł Gansfeder,—zięć mój powróci do domu.

— To wasz zięć?...

— Dziękować Bogu, tak jest.

— Śliczny zięć, na moje sumienie, osoba, znaczny kupiec... bardzo śliczny zięć. Wam zapewne pilno jest udać się w tę podróż?

— Dość pilno.

— Przepraszam, jeszcze jedno słowo. Czy macie zamiar powracać, czy też chcecie pozostać na czas dłuższy?

— Nie rozumiem dobrze waszego zapytania i nie wiem, co wam zależy na tem, żeby znać moje zamiary.

— Oj, moi kochani, u nas tu jest tak jakby trakt. Przyjeżdżają różne gatunki pasażerów... na krócej, na dłużej, na zawsze. Są tacy, których tam coś ciągnie; są inni, których ztąd coś wypycha. My to musimy wiedzieć dlatego, żeby brać sprawiedliwe ceny. Komu bardzo pilno, płaci drożej.

— Mnie nie pilno.

— W takim razie jedźcie jutro.

— Wolę dziś... i powiem wam szczerze, że nie lubię słów na próżno tracić i długo się targować. Dziś jadę, a za tydzień lub dwa powrócę i znów zechcę pojechać. Nie na raz sztuka, możecie ode mnie kilkakrotnie zarobić, a jeżeliby, na wypadek jaki, mój zięć chciał mnie odwiedzić, to też nie pójdzie do kogo innego, tylko do was. My mamy taki

zwyczaj, że lubimy tylko ze znajomymi handlować i mieć stosunki, a wy, jako nie dzisiejszy człowiek, rozumiecie to zapewne, że lepszy jest jeden interesant stały i pewny, niż trzech przypadkowych. Róbcie zgodę w dwóch słowach i po wszystkim.

Jakoż nie we dwóch słowach wprawdzie, ale w ciągu godziny zgoda stanęła i postanowiono, że o godzinie jedenastej w nocy pan Gansfeder pojedzie.

Symcha miał jeszcze pozostać do rana, aby sprzedać konia i biedkę swego teścia, ale uprzejmy gospodarz i to ułatwił, gdyż sam oświadczył chęć kupna i w krótkich abeugach targu dobił.

O jedenastej przyszli do zajazdu dwaj ludzie, nie bardzo przyjemni na wejrzenie: jeden—żyd, w kapturze z zawiniętymi połami, z kijem sękatym w rękę; drugi—nie wiadomo co za jeden, chłop czy mieszczanin, w krótkim spencerku, w czapce nasuniętej na oczy. Tych ludzi przedstawił gospodarz Gansfederowi jako przewodników i towarzyszy podróży, i zarazem dodał, że są obadwaj bardzo pewni, honorowi, rzetelni i, że, kto w ich ręce się odda, może być pewny, że mu włos z głowy nie spadnie.

Pożegnawszy się z zięciem i wymieniwszy z nim jeszcze kilka słów na boku, Imć pan Gansfeder, w towarzystwie owych drabów, puścił się w drogę pieszo. Noc była strasznie ciemna, na dwa kroki człowiek

przed sobą nic nie widział. Zaraz za miasteczkiem zaczynał się las. Gansfeder nic nie widział; chociaż do nocnych podróży przyzwyczajony, potykał się na każdym kroku i kilkakrotnie o mało nie upadł. Przewodnicy szli krokiem równym, sporym, tak, że nadażyć im było trudno...

— Czekaście—szepnął zadyszany Gansfeder,—zwolnijcie trochę

— Cicho!—mruknął drab—nie gadać, tylko iść. Gansfeder miał wielką ochotę zawrócić i drapnąć do miasteczka, ale było już nie rychło, szedł więc dalej i dalej, prędzej i prędzej, ledwie mogąc oddychać ze zmęczenia, pot zalewał mu czoło, nogi się pod nim trzęsły—czuł, że jeszcze kilka wiorst takiego forsownego marszu, a padnie.

Naraz przewodnicy zatrzymali się i zaczęli coś szeptać między sobą.

Ten szept wydał się teściowi Symchy bardzo niemiłym i podejrzanym.

— Co wy mówicie?—ośmielił się zapytać.

— Radzimy, jak cię przeprowadzić, żebyś nie spotkał kogo znajomego—odrzekł drab, a takie spotkanie nie zawsze bywa przyjemne.

— To też ja się bardzo boję, ja się okropnie boję. Widzicie, moi kochani, ja jestem biedny człowiek, taki interes trafia mi się po raz pierwszy. Bardzo

żałuję, żem poszedł z wami; lepiej było siedzieć w domu spokojnie. Powiedźcie, moi kochani, czy jeszcze daleko?

— O, daleko—odrzekł ów chłop czy mieszczanin, — kawał drogi. Teraz spoczniemy chwilę, bo później trzeba będzie dobrze nogi zbierać, żeby zdążyć do bezpiecznego miejsca przed świtem.

Wszyscy trzej usiedli na ziemi; Gansfeder chciał fajkę zapalić, lecz zaledwie błysnął zapalką, chłop pochwylił go gwałtownie za rękę.

— Zwaryowałeś, głupcze!—szepnął.—Fajki mu się zachciewa! Widzisz go, jaki pan!

— Mój człowieku — rzekł Gansfeder, — ja nie wiedziałem... ale moglibyście mówić trochę grzeczniej i nie chwytać mnie tak mocno za rękę, bo to boli.

— Delikatny!

— Jakbyście wiedzieli; nie jestem przyzwyczajony do takich konfidencyi...

Chłop nie zwracał uwagi na te słowa; wydobył z torby kawał chleba i zaczął jeść. Trzeci towarzysz uparcie milczał i wcale na pytania nie odpowiadał, tak, że Gansfeder nie wiedział, co ma o nim myśleć.

— Słuchajcie-no — rzekł do chłopca, — czy ten żydek, który z wami idzie, jest głuchy?

— Nie.

— No, to dlaczego nic nie mówi i nie chce odpowiadać, gdy ja do niego mówię?

— Albo ja wiem, może go zęby bolą...

— Oj, nieprzyjemna jest taka podróż w nocy.

— Niby to wam pierwszy raz...

— Tak, na piechotę pierwszy raz. Ja jestem przyzwyczajony do nocnych podróży; ja nawet wolę jeździć nocną porą, aniżeli w dzień... ale jeździć drogą, na bryce, czy na saniach. Można trochę myśleć, trochę drzemać i człowiek przynajmniej się nie męczy; ale takie włóczenie po nocy piechotą, w ciemnościach, to jest bardzo niedobra rzecz.

— Jak komu — odrzekł chłop; — jeden do tego zwyczajny, drugi do czego innego... każdy podług swego sposobu ..

Gansfeder znowu próbował z milczącym żydem zagadać; pociągnął go za rękaw.

— Dajcie pokój, panie Gansfeder — odrzekł tamten niechętnie.

Usłyszawszy swoje nazwisko, teść Symchy zerwał się na równe nogi.

— Skąd wy znacie to nazwisko? kto wam powiedział, że ja się tak nazywam?! Wam się chyba przyśniło! Moje nazwisko Weinstein; o żadnym Gansfederze nie słyszałem, jak żyję!

Chłop się wdał w rozmowę.

— Nie macie się z czem ukrywać — rzekł: — znamy was dobrze i wiemy, coście za ptaszek. Mało to ja waszych koni tędy nocami przeprowadziłem, a i ten żydek także. Teraz was przeprowadzam.

— Jakie konie? co wy mówicie, człowieku? Ja nigdy końmi nie handlowałem, mam inne zatrudnienie.

— Tak? no, no, niema się czego bać, swoi jesteśmy, nie zdradzimy; a ten żydek, co nic nie mówi, jest Nechemiasza krewny. Starego nieboraka złapali i jego dwóch synalków także; z trzecim, jeżeli przejdziemy pomyślnie, będziecie się mogli jutro zobaczyć... to wam opowie, jak to było.

— Jeżeli przejdziemy pomyślnie? Dlaczego mówicie: jeżeli przejdziemy pomyślnie?

— Bo czasem można przejść niepomyślnie.

Na te słowa Gansfedera zdjął wielki strach, — zaczął tedy prosić chłopą, żeby dołożył wszelkich starań i przeprowadził bez wypadku. Przynrzekł, że będzie umiał poznać się na rzeczy, i że go wynagrodzi bardzo hojnie, po pańsku...

Chłop mruknął coś niewyraźnie i dał znak, że czas już w drogę; wstali więc wszyscy trzej i poszli. Ciężka była droga, Gansfeder potykał się ciągle na nierównym gruncie, kilkakrotnie upadł, ale wnet zrywał się i biegł dalej, chłop bowiem naglił i ostrze-

gał, że pomyślność przeprawy tylko i jedynie już teraz od pośpiechu zależy. Przedzierali się przez gęste krzaki, przechodzili przez parowy i wzgórki, a ciągle lasem; w jednym miejscu trzeba się było przepawić w bród przez strumień; nareszcie po dwóch godzinach forsownego marszu zaczęło się trochę rozjaśniać. Ciemności ustępowały powoli; już można było widzieć między drzewami cokolwiek; chłop ciągle szedł, za nim żyd milczący, Gansfeder kroczył na końcu.

Kiedy się jeszcze widniej zrobiło, zdawało się Gansfederowi, że milczący żyd obcy mu nie jest, — przypomniał sobie, że widział on już gdzieś takiego barczystego zucha, o ramionach szerokich i łapie niedźwiedziej.

Syn Nechemiasza!

— Mosiek! — zawołał Gansfeder.

Żyd obejrzał się.

— Co chcecie? — zapytał.

— Ja ciebie nie poznałem.

— Naumyślnie chowałem twarz i podwiązałem się chustką, żeby mnie trudno było poznać.

— Dlaczegoż mi nie powiedziałeś od razu, że to ty jesteś.

— Po co?

— Byłoby mi weselej i nie najadłbym się tyle strachu przez tę przeklętą noc; bylibyśmy pogadali o interesach.

— Na gadanie będzie dość czasu po tamtej stronie.

— Słuchaj, ty byleś razem z ojcem i braćmi... jak się to stało, że ich wzięli?

— Stało się...

— A jak? przez co?

— Wiecie sami dobrze, że była zdrada; a skoro była zdrada, to co dziwnego, że ich wzięli?

— Jakim sposobem ty uciekłeś?

— Jechałem na samym końcu. Gdy się zrobił hałas i zmiarkowałem, że jest źle, zatrzymałem konia, zeskoczyłem z niego i puściłem wolno... Woląłem uciekać pieszo i uciekłem. Dowiadywałem się o swoich... siedzą; a jeżeli nie umkną z pod klucza, to chyba nie prędko powrócą do Bielicy, do tej porządnej kuźni, którą wybudowaliście dla nas. Cały interes nasz przepadł; niema po co wracać... i wy też nie macie zapewne chęci pokazywać się w domu.

— Ja nic nie wiem, jeszcze nie wiem; trzeba im trochę zejść z oczu i czekać, co będzie dalej.

— Będzie źle...

— Tak nie można mówić; może być źle, a może być dobrze; czekanie jest w tym interesie najlepsze.

Za jakiś czas będę miał wiadomość od Symchy, on mi doniesie, co się dzieje.

W godzinę później Gansfeder znajdował się już w bezpiecznym miejscu, w małym żydowskim miasteczku, dokąd go zaprowadził syn Nechemiasza. On tam był jakby w domu u siebie — znał każde domostwo, każdy kąt, każdego człowieka. Teść Symchy skorzystał z tego stosunku i prosił swego towarzysza, aby przedewszystkiem znalazł mu jakiś kąt spokojny i zaciszny oraz jaką stancję odosobnioną, z wygodnym łóżkiem, gdzieby można było po forsownej przeprawie wypocząć i kości zmęczone rozprostować.

Symcha Boruch, rozstawszy się z teściem, pośpieszał co prędzej do Bielicy; mógł on śmielej pokazywać się, aniżeli Gansfeder, gdyż zawsze tak się urządzał, że podejrzeń na niego nie było. Był on cichym współnikiem, pomagał teściowi swemu gorliwie, wszystko co należało do niego, wykonywał pilnie, ale sam na uboczu się trzymał i nie lubił się narażać.

Jechał więc Symcha do Bielicy śmiało i z podniesioną głową, jak człowiek, który ma czyste sumienie i nie obawia się zarzutów; zatrzymywał się w miasteczkach, rozmawiał z ludźmi, wyrażał nawet zdziwienie, że banda mogła tak długo operować i że ją dopiero teraz wykryto.

Przybywszy do domu, przywitał się czule z żoną i dziećmi — i wziął się do zwykłych zatrudnień swego fachu, rozmawiał z chłopami, dowcipkował, śmiał się. Zaraz po przyjeździe posłał konno chłopca nad jezioro do Wulfa, z żądaniem, żeby natychmiast przyjechał.

Już się ludzie porozchodzili i noc zapadła, gdy rybak stawił się w Bielicy. Symcha wziął go do osobnej stancyi i tam mieli między sobą krótką rozmowę.

— Zabierzcie się ostro do rzeczy, żeby do jutra rana nasze piece do węgla były prawdziwemi piecami, żeby je można było rozrzucić zupełnie i nie znaleźć w nich nic prócz węgla.

— Czy to koniecznie?—zapytał Wulf.

— Tak kazał Gansfeder, tak trzeba. Żli ludzie chcą nam szkodzić.

— Może to tylko próżny strach? może lepiej poczekać?

— Nawet jednej godziny czekać nie można, bo lađa chwila spaść może na nas zmartwienie, wielkie zmartwienie.

— Taki dobry interes, taki złoty interes!

— I trzeba go rzucić w wodę. Cóż robić, kiedy nie można inaczej?

— W wodę? Alboż ja głupi? Ani myślę.

— Gansfeder wyraźnie tak zapowiedział, żeby najmniejszego śladu nie było. Weźcie się oba z Nutą do roboty. Icek z Kuternogą pomogą wam...

— Ja nic nie utopię, ja wszystko schowam; to jest kosztowna rzecz, to miedź jest.

— Będą szukali.

— Niech szukają; kto znajdzie?... my mamy takie dobre schowania. . Dlaczego się zarzekać? Taka rzecz może się jeszcze przydać.

— Róbcie, co chcecie; ja wam powtarzam to, co mówił Gansfeder; on jest głowa..

— Złoty interes, doskonały interes, taki dobry interes... trzeba go zepsuć, właśnie kiedy najlepiej idzie.

— Co pomoże wasz lament i narzekanie? Nie bałamućcie, lepiej zajmijcie się robotą... na jutro rano żeby śladu nie było...

— Bądźcie spokojni... nie bądźcie.

Jęcząc i wdychając ciężko na złe losy, udał się Wulf nad jezioro — i zwoławszy Nutę. Icka i Kuternogę, wziął się do rozbierania kopca. Icek także był bardzo zmartwiony, milczał jednak wobec siły wyższej.

Wulf lamentował najbardziej i przeklinał niewidzialnych i nieznanych wrogów, którzy się przyczynili lub może chcieli przyczynić do zepsucia takiej pięknej afery.

— Te łajdaki — mówił — na pewno rozpuścili plotkę, że my mamy sekretną gorzelnię. No, moi kochani — rzekł, zwracając się do kulawego chłopca, — powiedzcie wy sami, czy to jest nawet podobne do gorzelnii?

— Ale ot...

— Gorzelnia to jest gmach, fabryka... a to co? Kilka kadek, głupi kociołek, kawałek alembiku!... Powiedzieć, że to gorzelnia, to trzeba być wielkim łajdakiem!

Icek westchnął.

— Prawda, prawda — rzekł. — Żebyśmy choć wielkie ilości wódki robili.

— Teraz taki czas — odezwał się Kuternoga: — ja onegdaj zabiłem koziołka, nadleśny się dowiedział i kryminałem mi wygraża.

— Nie można żyć, niema sposobu żyć... — rzekł Wulf, z czego się utrzymać? Ryb w jeziorze coraz mniej.

Utyskując i żaląc się, czterej ci ludzie rozebrali całą fabryczkę i częściami poroznosili przyrządy po różnych skrytkach. Część wywieźli łodzią na jezioro i ukryli w trzcinnie, część na bagna przenieśli.

Nad ranem Kuternoga, wielki do wszystkiego mechanik i znawca, naściągał gałęzi, których obfity zapas był przygotowany, obsypał je ziemią i sporzą-

dził piec węglarski według wszelkich zasad i reguł, w tym procederze przyjętych; podłożył ogień, a sam, umorusany sadzami, zasiadł na pieńku i palił fajkę z obojętnością starego węglarza, który już na piecach, czy przy piecach takich, zęby zjadł i nie po za węglami nie widzi.

Przez szczeliny, umyślnie w kopcu zrobione, wydobywał się dym gryzący, biały i na wilgotnem powietrzu pochmurnego poranku włókł się tuż ponad ziemią leniwie. Icek Gansfeder, ledwie dzień zaczął się robić, odjechał do miasteczka, — zaś Wulf i Nuta rybacy, zabrali się do połowu na większem jeziorze. Były w robocie łodzie i sieci, smolarze pomagali — i ktoby zajrzał do tego cichego ustronia leśnego, byłby zbudowany praowitością jego mieszkańców. Tak się tam ludzie dorabiali, jak za dawnych, minionych czasów: jedni łowili ryby, drudzy węgle pälili dla kowali, dalej trochę piec smołowy dogasał.

Na drugi dzień przyjechali jacyś panowie z młodym żydkiem, który rolę przewodnika odgrywał. Przyjechali i, ciekawi, jak też wewnątrz piec do wypalania węgla wygląda, kazali go rozrzucić, pomimo oporu Kuternogi, który na to zgodzić się nie chciał i dowodził, że taki piec stanowi cały jego majątek. Nie pomogły protesty — musiał dziad własne swoje dzieło zburzyć; jako też zburzył je ze szczętem, aż do

podstawy — odrzucił ziemię, porozrzucił w pół przepalone gałęzie, a dymu i swędu takiego narobił, że wytrzymać było trudno. Wulf i Nuta tymczasem przybili do lądu, sieć z niezbyt obfitym połowem wyciągnęli i wysiedli z łodzi, a widząc gromadkę obcych ludzi, przybliżyli się, aby zobaczyć, co się dzieje.

Ciekawość bardzo usprawiedliwiona i naturalna — w takim zakątku obcy człowiek jest bardzo rzadkim zjawiskiem. Gdy zmiarkowali, o co chodzi, i gdy zobaczyli owego młodego żydka, który poszukiwaniami zdawał się kierować, Nuta i Wulf półgłosem rzucili jakieś przekleństwo i spojrzeli na owego młodzieńca wzrokiem, który zdawał się mówić:

— Poczekaj, policzymy się później!

Panowie, którzy kazali rozrzucić piec, zadali Wulfowi i Nucie kilka pytań.

— Jak dawno wypalają tu węgle?

— Wielmożny panie — odrzekł Wulf, — moja pamięć tego nie sięga, a ja dzierżawię jezioro już więcej niż dwadzieścia lat. Mój sąsiad, Nuta, trzyma drugie jezioro jeszcze dawniej, a on też nie pamięta, kiedy tu zaczęli węgle wypalać.

— Oj, oj — rzekł Nuta, — głowa moja posiwiała, broda posiwiała, synów pożeniłem, córki powydawałem za mąż, a zawsze tu węgle wypalali i smolarnie tu były najślawniejsze na całą okolicę. Ha, ha! ja-

kie tu znaczne smolarnie, jakie znaczne węglarnie były, ale teraz cena tego towaru spadła. Nastąpiły różne smarowidła, smołę mało kto chce kupować. Tak samo i ryby: dawniej tu, w tych jeziorach, bywały takie szczupaki, jak, nie przymierzając, lewiatany; teraz ryby zdrobniały i są maleńkie, że niema na co patrzeć.

Nuta tyle nagadał tym panom o smole, rybach, węglach, cenie drzewa, o drożyznie życia — że aż musieli go prosić, żeby przestał i przerwał ten zajmujący wykład; natomiast zapytali go, czy nie zauważył czego szczególnego przy wypalaniu węgla.

— Aj, aj, ciągle widziałem takie rzeczy, które mnie rzeczywiście dziwiły.

— Cóż takiego?

— Kowale bardzo się targowali; chcieli płacić takie marne ceny, że nawet koszt się nie zwracał.

— A co tu robił niejaki Icek Gansfeder? czyście go znali?

— Jak zły grosz. . . to był wielki łajdak, chociaż starozakonny.

— Czem on się tu zajmował?

— Węgla palił, ale robił to bardzo źle, więc został oddalony; na jego miejscu jest ten oto człowiek.

— I nie zauważyliście nigdy nic szczególnego przy tych węglach?

— Nic... węgle wcale nie osobliwość, gdzie są takie lasy, jak tu; węgle, smoła... to cała fabrykacya tutejsza.

— A gdzież jest teraz Icek Gansfeder?

— Kto może wiedzieć, gdzie ten łajdak jest? Nie mówił wcale, dokąd wyjeżdża.

— Ale jak wam się zdaje?

— On jest w karczmie w Bielicy — szepnął młody żydek, którego Wulf świdrował ciągle bardzo nieprzyjemnem wejrzeniem.

— Dalekoż to?

— Nie bardzo — odpowiedział Nuta, — mila drogi lasem. Tak, on zapewne musi być w Bielicy; wspominał, że tam właśnie dąży.

Wulf nagle przypomniał sobie, że rzeczywiście tak jest, i zeznanie Nuty potwierdził — wiedział bowiem doskonale, że Icek Gansfeder odjechał w kierunku wprost przeciwnym, aby podążyć za swoim bratem i, dopóki cała historia nie ucichnie, ukryć się w bezpiecznem miejscu.

Młody żydek za wygraną nie dawał jeszcze; oprowadzał owych panów po lecie, do pieców węglowych, do smolnych dolów ich wiódł, nawet na niemiły wypadek się naraził, gdyż jeden smolarz potrafił go przypadkiem i młodzieniec wpadł po pas w smołę. W rezultacie poszukiwania nie doprowadziły do niczego

go i panowie odjechali, polecivszy stangretowi, aby przez Bielice powracał.

Symcha bardzo uniesienie przyjął takich nadzwyczajnych gości i mówił, że karczma jego, od czasu jak pobudowana, nie miała jeszcze honoru przyjmowania w swych ścianach takich osób.

Własnoręcznie ścierał Symcha kurz ze stołków, prosząc godne osoby, aby raczyły usiąść i odpocząć pod ubogą strzechą, gdzie gospodarz cały jest oddany na usługi swych gości.

Wprawdzie rzadko bardzo się trafia mieć do czynienia z osobami szlachetnymi i delikatnymi, gdyż prawie sami tylko chłopi odwiedzają ten zakład, ale jednak niekiedy, przypadkiem, zdarza się, że zabłądzą tu ludzie lepszego towarzystwa. Dla takich gospodarz co ma najlepszego wystawia, ażeby podtrzymać honor firmy.

Goście, nie bardzo tą przemową wzruszeni, przystąpili wprost do rzeczy: zażądali odpowiedzi na pytanie, skąd Symcha sprowadza wódkę do swojej obozry. Zapytanie to dotknęło go w sposób przykry — tak dalece, że się obraził.

— Jakto skąd?... pewnie, że nie ze składu towarów łociovych lub galanteryjnych, lecz ze składu wódki.

— Czy mógłbyś pan poprzeć to jakimi dowodami.

Symcha nie nie odrzekł,—otworzył szufladę stolika, i wyjąwszy ztamtąd paczkę szarych kwitków, złożył je pytającemu. Przejrzeli je uważnie i zrobili przytem uwagę, że bardzo mała sprzedaż jest w tym zakładzie.

— Jaka sprzedaż — odrzekł, — takie zyski; oby moje wrogi to wychorowali... Karczemka na uboczu, na wydmie pustej, do wsi daleko. Kto przyjdzie pić?

Panowie przejrzeni bacznie kartki i oddali je właścicielowi.

— Dokąd prowadzi ta dróżka?—zapytał jeden.

— Jaka dróżka?

— Ta na prawo.

— Do lasu prowadzi, do jezior.

— Czy ruch na niej duży bywa?

— Jak czasem... Chłopi jeżdżą tędy po drzewo, smolarze smołę wożą, czasem rybacy przejeżdżają z towarem...

— A więcej nikt?

— Nikt, rzadko kiedy, ot, jak na przykład dziś, panowie...

— W takim razie chcecie mi powiedzieć, po co właściwie jest tu karczma?

Symcha zrobił bardzo kwaśną minę.

— Ja sam nie wiem; po to chyba, żeby biedni szyćkarze tu ginęli, żeby tracili ostatni grosz...

— Czy nie przechodził tędy lub nie przejeżdżał niejaki Icek Gansfeder?... znacie go zapewne?

— Owszem, cokolwiek go znam.. on węglarz jest. Nie widziałem go już bardzo dawno.

— Mówiono nam, że tu, do Bielicy się udał.

— To panom ktoś powiedział wielką nieprawdę; on wcale nie pokazywał się w tych stronach. Ale, za przeproszeniem, zkad panowie jadą?

— Z lasu, od jezior.

— No, to właśnie on tam siedzi, tam jego pomieszkanie jest.

— Już nie jest; podobno go ztamtąd oddalono..

— Nie wiedziałem... Ja zawsze jemu mówiłem: „Icku, ty szanuj się, pilnuj swoich węgli, nie bałamuć, nie próżnuj, bo cię wypędzą i będzie na ciebie wielki wstyd i wielka bieda...” Nie chciał słuchać, teraz ma... Gołym zawsze będzie; gałgan, choćby jego ozłocić, pozostanie jednakowy.

Jeszcze kilka pytań zadali panowie, a na wszystkie Symcha odpowiadał prostodusznie i szczerze, nie dziwiąc się bynajmniej, że go badają.

— Tu, proszę panów, takie szczególne miejsce jest, że jak się w okolicy jaka zła rzecz stanie, to zawsze ja jestem pytany: czy kto nie przejeżdżał, czy czego nie wziął, czy nie byli jacy obcy ludzie? Bar-

dzo często mam takie zapytanie... i nie potrzebuję się chwalić, ale powiem, że nieraz zdarzyło mi się przyczynić do złapania jakiego łajdaka. Szczególniej dawniej, bo teraz złodzieje ten las omijają i wcale nie słyhać, żeby tędy chodzili. Jaby m wiedział, prawie zawsze siedzę w domu i prawie zawsze przy oknie, a sen mam bardzo lekki. W nocy, aby się tylko kto ruszył, ja się zaraz budzę. Dawniej bardzo często byłem budzony, teraz, chwała Bogu, spokój jest... złodzieje się przepłoszyli...

Narzekając wciąż na swoje losy i złe czasy, Symcha odprowadził gości swych do bryczki i kłaniał im się ciągle, dopóki nie znikli mu z oczów.

W dwie godziny po ich odjeździe nadszedł rybak Wulf i opowiedział, co się działo w lesie.

— Na szczęście, nic nie znaleźli... wszystko było schowane, uprzątnięte a my zajęci swoją robotą.

— Jak wam się zdaje, czy na tem już będzie koniec?

— Ja myślę, że nie: będą robili śledztwo, będą pytali ludzi.

— Nikt przeciw nam świadczyć nie będzie, a naprawdę to nas tylko kilku wie, co rzeczywiście było. Swój nie zdradzi, a obcy może powiedzieć, że coś słyszał. To przecież nie jest dowód, słyszeć można plotki.

— W każdym razie to jest nieprzyjemna rzecz, a najbardziej szkoda interesu. My bardzo jesteśmy skrzywdzeni.

— Niech nasze wrogi wychorują..

— Myśmy powinni wymyślić jaki nowy geszeft, żeby powetować to, co nam brakuje. Pamiętajcie o tem, Symcha, że ja zawsze gotów jestem być waszym współnikiem i w razie potrzeby będę ryzykował... dużo gotów jestem zaryzykować. Obmyślcie no tylko co dobrego.

— Nie teraz, nie teraz.

— Dlaczego?

— Czas niedobry; myślmy lepiej nad tem, żeby nas nie wplątali w co brzydkiego, żeby mój teść mógł spokojnie powrócić. Duża robota nas czeka. Wy musicie ruszyć się trochę, pojechać w okolice, przepytąć się, dowiedzieć, co się dzieje z naszymi, kto siedzi w domu, kto gdzieindziej. Ja pozostanę na miejscu, muszę tu siedzieć; tak mi doradził Gansfeder, a ja zawsze jego rady słucham, bo on radzi dobrze. Wszystko trzeba wybadać, bo i jemu też się należą wiadomości. On tam siedzi sam, bez interesów, jemu się przykrzy.

— Trudno mi w to uwierzyć, żeby on bez geszeftu wytrzymał; jeżeli wziął ze sobą choćby odrobinę pieniędzy, to je niezawodnie puścił w ruch.

— Ma się rozumieć, że bez grosza nie wyjechał; wziął z sobą nawet sporo pieniędzy.

— No — rzekł Wulf, — to już jestem spokojny: przykrzyć mu się nie będzie. Albo on sobie nie znajdzie dobrego zatrudnienia? Świat jest świat, ludzie znowu potrzebują kredytować, handlować; a gdzie tylko są żydki, tam zaraz znajdzie się spółka, kombinacya, geszeft. Bądźcie spokojni, Symcha; ja trzymam zakład, że wasz teść już zawiązał tam nie jeden interes.

— Między obcymi ludźmi, tak odrazu, to cokolwiek za trudno; przecie musi się najpierw rozejrzeć dobrze, wybadać.

— On ma dobre oko; na co inny potrzebowałby tygodni i miesięcy, on odrazu zmiarkuje i od razu dobrze, na pewno. Nie bójcie się o niego, on nie zgienie. To taki kot, którego można z dachu zrzucić i upadnie na łapy, krzywda mu się nie stanie.

— Ja się jednak o niego boję.

— Czego?

— Ludzie teraz shardzieli, czują, że ciężka ręka nie wisi nad nimi, że się w naszych interesach zrobiło duże zepsucie.

— Więc co?

— Nie boją się; będą mówili co wiedzą i czego nie wiedzą, co prawda i co nieprawda. Z cała zrobią

szażeń, z kwaterki całą beczkę! Do niego niejeden ma złość, będzie plótł naumyślnie, co mu ślina do ust przyniesie.

— Pleść wszystko można, ale trzeba dać dowód.

— Macie rację; jeżeli jeden człowiek plecie, trzeba dać dowód; ale jak cała gromada jednakowo pleść będzie, to może być uważane za dowód. Jemu się wiodło, on miał nieprzyjaciół, on miał dużo takich, coby go chętnie w łyżce wody utopili.

— Przez zazdrość.

— To wszystko jedno; przez to, czy przez tamto, skutek taki sam. Nieraz odgrazali się na niego.

— Nie zważać!

— Dobrze wam mówić; ja nie będę zważał, wy nie będziecie zważali, ale to z sądem interes, a sąd na wszystko zważa.

— Dajmy na to; w najgorszym razie co mu może być?

— Nie wiem; dwa, trzy lata więzienia...

— Dla takiego głupstwa on sobie drogi powrotu nie zamknie. Jak będzie wiedział, że nie można inaczej, to odsiedzi swoje, a potem będzie takim samym kupcem, takim samym Gansfederem, jak był. Czy on pierwszy? czy ostatni? Niech mu się zdaje, że miał brzydki przypadek, że dwa lata w łóżku przeleżał, albo niech mu się zdaje, że był w wojsku. Skoro ma

pieniądze, kto go będzie śmiał zapytać, gdzie był? Co komu do tego? Był w podróży, jeździł za intere sami handlowemi, do wód; reparaował swoje zdrowie. Skończyło się, powrócił, zdrowie odzyskał, teraz znów handluje, prowadzi interesa... Daję wam słowo, że dla głupich dwóch lat on tam nie zostanie.

— I ja tak myślę; ale jeżeli tych lat będzie więcej?

— To zostanie. Co mu będzie złego? Człowiek z głową i z pieniędzmi nie zginie.

— No, zobaczymy, tymczasem trzeba wiadomości zbierać i jemu dać znać; obiecałem, że mu przyślę opis o wszystkim, więc jedźcie, Wulfie; a jeżeli w drodze będziecie mieli jakie nadzwyczajne koszta, nie oglądajcie się na to, ja wam wszystko powrócę, co do jednego grosza. Kiedy wyjedziecie?

— Myślę, że niema co bałamucić i odkładać; pojedę zaraz dziś.

— Bardzo dobrze zrobicie; im prędzej, tem lepiej... byle raz prawdę wiedzieć i móż miarkować, czego się spodziewać i czego trzymać.

Wulf obiecał, że jak najdokładniejszą przywiezie relację, i zarazem oświadczył, że ponieważ cały tydzień w drodze przepędzi, tak, że nawet szabas w obcym domu odprawi, przeto potrzeba mu na to to co najmniej dwanaście rubli.

Symcha bez żadnego targu żadaną sumę wyli-

czył, — Wulf zaś, nie czekając, puścił się w drogę. Nie śpieszył, prawie do każdej wioski wstępował — i zanim do pierwszego dojechał miasteczka, miał już na wozie troje cieląt, które też zaraz korzystnie spieniężył. W podróży taki handelek sprawia pewne urozmaicenie i zabija czas, który inaczej dłużylby się w sposób przykrv.

Wiadomości, jakie Wulf w podróży swej zbierał, nie były ani pomyślne, ani przyjemne; przeciwnie, wszędzie prawie panował smutek i zmartwienie. Najporządniejszych szynkarzy, solidnych kupców, pełnych energii faktorów, pobrano do kozy; niektórym z nich pozwolono być na wolności za kaucyą. Co to za życie za kaucyą? Wcale nie życie... lada chwila, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa, mogą zawołać porządnego obywatela, kazać mu opuścić żonę, dzieci, najpilniejsze interesa i iść — po co? Na rozmyślanie, na dopytywanie, na nieprzyjemności. W miasteczkach, pomimo tego, a raczej dlatego, panowało ożywienie. Każdy bowiem człowiek, któremu wypadnie mieć do czynienia z sądem, potrzebuje świadków, należy więc ich zawczasu zjednać i przygotować, aby umieli mówić — aby, jak jeden mąż, krzyczeli wielkim głosem, że przyjaciel ich jest niewinny i posądzany niesłusznie, aby powagą swoją stwierdzili, że w danej chwili on wcale nie znajdował się tam, gdzie się stało coś złego, ale o dziesięć mil od tego miejsca, i że za-

bawiał się w gronie krewnych i przyjaciół na uroczystości rodzinnej, jadł, pił, śpiewał i tańczył—za co żaden kodeks kryminalny nie karze... Nie dość, żeby świadek, a raczej świadkowie byli—trzeba, aby byli dobrze przygotowani do świadczenia, aby umieli odpowiadać na zapytania niespodziane, na pozór nie mające żadnego związku ze sprawą, aby nie dali się zląpać. Chcąc w człowieku taki cenny przymiot wyrobić, należy go uczyć, ciągle uczyć, wbijać mu mocno w głowę wszystkie najdrobniejsze szczegóły i okoliczności. Na skutek tego każda prawie mała miejscina w okolicy stała się jakby akademią prawniczą. Do świadczeni, wypraktykowani mężowie uczyli młodych, jak mają mówić, tłumacząc im zarazem motywy, dla czego mianowicie trzeba tak a nie inaczej zeznawać.

Dla młodych ludzi była to prawdziwa biesiada duchowa, to też chciwie przysłuchiwali się konferencyom, chciwie słuchali, jak doświadczeni mężowie cytowali z pamięci artykuły kodeksu karnego, a o procedurze mówili z taką znajomością rzeczy, jak gdyby ich tego tylko za młodu uczono. Konferencyom tym przysłuchiwał się bacznie i Wulf, bo chociaż mógł, i słusznie, uważać się za człowieka doświadczonego w różnych okolicznościach życia, jednak, słysząc rzeczy nowe, rad był, że zapas jego eksperyencyi wzbogaca się i powiększa.

Jest to dla umysłów wyższych rzecz niezmiernie

nie przyjemna i słodka nowe wiadomości do skarboni swej wiedzy, zwłaszcza wiedzy praktycznej, dokładać — a że konferencye, o których mowa, odbywały się we wszystkich okolicznych miasteczkach, więc mógł Wulf, od jednego do drugiego wędrując, różne poglądy poznawać i co najcenniejsze wydobywać z nich perły. Tak też czynił; a kiedy powracał już do domu nad jezioro i wstąpił do Bielicy, to miał dla Symchy niezmiernie dużo ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

Zszedłszy z biedki, Wulf do karczmy wszedł z miłą człowieka, który coś bardzo ciekawego przynosi.

Symchy nie było w izbie; krzątała się tylko jego żona, widocznie cierpiąca, z podwiązaną twarzą i mocno zaczerwienionemi oczami.

Wulf pozdrowił ją bardzo grzecznie, właśnie jak należy pozdrawiać kobietę stateczną i żonę przyjaciela a zarazem współnika. — ta jednak nie odpowiedziała na pozdrowienie jak trzeba, tylko mruknęła coś niezrozumiale, jakby złe słowo lub przekleństwo.

— Co wy mówicie, Symchowa?

Niewiasta ruszyła gniewnie ramionami i rzekła, ale tym razem już bardzo dobitnie:

— Mówię, żeby was wszyscy dyabli porwali, żebyście zmarnowali się co do jednego, łajdakil...

— Za co ja jestem przywitany tak niedelikatnie i co wam złego zrobiłem?

— Wszycyście warci złego słowa... Żeby nie wasze lajdaackie sztuki, ja miałabym męża... wyście go do zguby doprowadzili, wy! Przez was on przepadł, tak, że go już moje oko nie zobaczy...

Niewiasta wybuchnęła przytem wielkim płaczem; przekleństwa i jęki mieszały się ze łzami; tak, że nie można było zrozumieć, czego chce. Wulf, który był żonaty dwa razy, a obie jego kobiety były wielkie sekutnice i niezmiernie krzykliwe, postąpił jak człowiek doświadczony—wyszedł z izby i postanowił czekać, aż wezbrane potoki łez wyschną i gardło od krzyku się zmęczy.

Usiadł przed karczmą na kamieniu, zapalił fajkę i rozmyślał. Niedaleko bawił się w piasku pięcioletni Szmulek, jeden z młodszych synków Imé pana Symchy Borucha. Wulf do niego zwrócił się z pytaniem:

- Szmulik—rzekł,—gdzie jest twój tate?
- Niema tate.
- Gdzie się podział?
- On pojechał...
- Dokąd pojechał?
- Ja nie wiem.
- Słuchaj-no! powiedz, czy on pojechał sam, czy z kim?
- Pojechał z... koniem.
- Jesteś jeszcze bardzo głupi; ja się pytam,

czy tate siedział na furze sam, czy i kto drug siedział?

— Siedziało parę gęsi.

— Gęsi?

— Alboż to raz ojciec wozi gęsi? Jak miał wyjeżdżać, to mama wołała na niego, żeby wziął gęsi, to tate wziął gęsi.

— A kiedy to było? wczoraj?

— Nie, to było takiego dnia, co się nazywa wczoraj od wczoraj.

— Czy tate pojechał swoim koniem, czy miał wynajętą furmankę?

— Pojechał swoim koniem.

— Ty, kochaneczku, trochę nieprawdę mówisz. Powiedziałeś, że tate pojechał swoim koniem, a ja tego konia widzę: chodzi po trawie.

— Bo koń już powrócił, to chodzi sobie po trawie.

— Sam?

— Nie; przyjechał jeden młody żydek.

— Znasz go?

— Nie, pierwszy raz tu był; przedtem nigdy go nie widziałem.

— I cóż on tu robił?

— Nie wiem; mówił coś do mamy, mama płakała; potem mama mu dała trochę pieniędzy, a on zaraz poszedł. Koń się został, a on poszedł.

— Piechotę?

— Piechotę poszedł... Młody żydek, bardzo prędko poszedł.

Wulf zamyslił się; jeszcze chwilę posiedział na kamieniu, dopalił fajkę, a następnie obciągnął na sobie kapotę i wszedł do stancyi.

Pani Symchowa już nie płakała, ale gniew jej jeszcze nie przeszedł.

Wulf usiadł na ławce przy dużym stole i przez kwadrans siedział w milczeniu, czem zmusił uprzejmą gospodynię do odezwania się.

— Czegóż wy tu siedzicie?—zapytała.

— Czekam, aż złość z was wyjdzie, ponieważ mam interes do was i chciałbym się porządnie i spokojnie rozmówić.

— Mówcie. Czy ja wam bronię?

— Ja mówić mogę i potrzebuję... tylko, czy wy umiecie słuchać i porządnie odpowiadać, bez przekleństwa i kobiecego krzyku? Ja mówić potrzebuję, bo to o waszego męża chodzi.

— Już go niema! już niema,—zaczęła lamentować Symchowa.

— Widzicie, już płaczecie! Chyba wasz mąż nie umarł?

— Jeszcze gorzej; żeby umarł, to wiedziałabym, że jestem wdowa, a tak... ani ja wdowa, ani mężatka, ani panna. Ja sama teraz nie wiem, co jestem i jaki

los mnie czeka. Gdzie wyście jego podzieli? coście z nim zrobili? gałgany! Oby wam ślepotą padła na oczy.

— Powoli, bardzo was proszę; w wielkim gniewie i żalu mówicie dużo słów niepotrzebnych, a nie mówicie tego, co właśnie jest konieczne. Niech się do wiem, co się stało z waszym mężem!

— Niema go?

— Więc go zabrali?

— Czy ja wiem? Sam pojechał... Dostał karteczkę, żeby się stawiał do sądu. Stawił się. Cóż nadzwyczajnego? Ileż razy trafiają się takie karteczki! Symcha też nie przypuszczał nic złego. Pojechał. Na odjeźdźnym mówił, że wróci w nocy; tymczasem minęła noc, nastał dzień, jego niema. Koło południa przyjechał jakiś młody żydek naszą biedką i naszym koniem, i przywiózł wiadomość, że Symchę prosto z sądu za prowadzili do więzienia i że nie można się dowiedzieć, czy go wypuszczą i kiedy go wypuszczą. To macie całą prawdę; ja zawsze mówiłam, że te spekulacje źle się skończą.

— Wcale nie; wyście się cieszyli, że wam pieniądze płyną do rąk jak woda,..

— Co mi z pieniędzy... ja teraz nie mam męża, moje dzieci nie mają ojca!

— Powoli, powoli, jeszcze nie macie czego płą-

kać. Że go wzięli, to jeszcze nie nadzwyczajnego; wzięli, potrzymają i wypuszczą.

— A jeżeli nie wypuszczą?

— Nie lękajcie się; dyabeł nie jest tak czarny, jak go malują ludzie. Wasz mąż umiał wychodzić gładko z interesów; on tak prowadził rzecz, że nie pokazywał się tam, gdzie nie trzeba; swoich pleców nadstawiać nie chciał, zawsze wołał za cudzemi się schować; jemu naprawdę nie grozi nic wielkiego. Co najwyżej, posiedzi on, w najgorszym razie rok, albo dwa lata.

Pani Symchowa zalała się znowu łzami.

— Łatwo wam powiedzieć: dwa lata! A co ja będę robiła? Co ja dam jeść moim dzieciom?

Wulf na to ramionami wzruszył.

— Obyście tylko większego kłopotu nie mieli — i obym ja nigdy większego zmartwienia nie znał! Czy wam brakuje pieniędzy?... Wam? Dajcie pokój takiemu gadaniu.

Długo zmartwiona małżonka w wyrazach pełnych goryczy, we łzach i łkaniach wylewała swój smutek. Wulf ją pocieszał, doradzał i obiecywał, że starań szęścić nie będzie — i słowa nie dotrzymał. Nie dotrzymał zaś bynajmniej nie dlatego, żeby miał być niesłownym z natury, lecz miał niejaką przeszkodę.

Pewnego dnia doręczono mu, jego bratu Nacie

i obydwom smolarzom, szare karteczki, zapraszające do sędzięgo. Ma się rozumieć pojechali, ale ich nie puszczono z powrotem. Nastal jakiś nowy sędzia, który miał szczególniejsze zwyczaje. Był niezmiernie grzeczny dla każdego, nawet wcale nieznacznego i nieosobliwego handlarza, prosił siedzieć, rozmawiał z nim łagodnie i przyjemnie — nie jak sędzia, ale jak ktoś, co pragnie na pogawędce chwilę czasu przepędzić; pytał o różne rzeczy — o pogodę, ceny zboża, stan dróg, czasem o znajomości i stosunki, nigdy się nie gniewał, nie krzyczał — owszem, był nadzwyczaj w rozmowie uprzejmy.

Kiedy przed kilkoma dniami Symcha Boruch stawil się w jego kancelaryi, od pierwszego wejżenia pewien był, że nic złego nie grozi.

Sędzia przyjął go niezmiernie uprzejmie, wskazał mu krzesło i przeprosił, że facygował dla bagatelki. Szło o pewne zeznania, o wyjaśnienie niektórych drobnych okoliczności, które trzeba było wyświecić.

Symcha bardzo się z takiego obrotu rzeczy ucieszył i był jak najpewniejszy, że za godzinkę będzie spacerował sobie po miasteczku, załatwi niektóre interesy, sprawunki i przed wieczorem pojedzie z powrotem do Bielicy. Nie przypuszczał ani na chwilę, żeby mogło stać się inaczej i żeby sędzia, człowiek

tak bardzo miły w obejściu, chciał mu zrobić przykrość.

Gawędzili sobie z początku o tem, gdzie się pan Symcha urodził, ile ma lat, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czem się trudni, gdzie mieszka. Zwyczajnie sędzia chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia — i dowiedział się, że nie z żadnym łapserdakiem ale z człowiekiem familijnym, solidnym, kupcem, handlującym różnemi towarami. Pytał też, czy pan Symcha posiada jaki majątek nieruchomy, naprzykład dobra ziemskie, kamienice; czy nie posiada kapitałów w bankach, albo sum lokowanych na hypotekach. Bardzo się Symcha śmiał, odpowiadając na te pytania.

— Dobra, kamienice, sumy hypoteczne?! Co też wielmożny pan sędzia mówi! Panu już wiadomo, że nazywam się Symcha Boruch Kaltkugel, że jestem starozakonny i że mieszkam w karczmie bielickiej... więc oczywiście nie mogę posiadać dóbr, ani kamienic, jak panowie hrabiowie lub bankierzy. Wiadomo panu także, że bank daje od kapitału zaledwie pięć procent rocznie, a dobra hipoteka z wielkim targiem: osiem. Ktoby się mógł z takiego interesu utrzymać?

— Słyszałem jednak, że pan masz swój własny dom w miasteczku.

— Oby moje wrogi mieli tak własne zmartwie-

nie i zgryzotę. Moja ciotka, Ruchla, ma dom, a ja mam tylko ciotkę.

— Jednak dlaczego mówią, że pan jest właścicielem?

— Przez zazdrość. Oni wiedzą, że ciotka, jeżeli zechce, może mi ten dom zapisać.

— Może to symulacya?

— Nie, wielmożny panie sędzio, to jest prawdziwa ciotka, Ruchla Fajn, w całym mieście ją znają; ona dom ten kupiła, porządkie, za gotowiznę; jest o tem napisany u rejenta cały akt...

— Jest akt?

— Żebym ja tak zdrowie miał, jak jest. Ciotka nie lubi robić interesów inaczej, tylko przed rejentem; taką już naturę ma...

Sędzia już o domu więcej nie mówił, tylko rozpytywał Symchę o krewnych, znajomych i przyjaciół. Jak się miewa pan Michał Gansfeder, jak mu się powodzi, co porabia, gdzie jest? Czy to prawda, że udał się za granicę w celu poratowania zdrowia? Gdzie bawi obecnie pan Icek Gansfeder? Jak się powodzi rybakom nad jeziorem? Czy pan Nechemiasz i jego dwaj synowie pozostawali z Symchą w bliższych stosunkach? Czy Symcha nie wie, jakim sposobem spaliły się zabudowania chłopca Muchy z Trzymiela? Czy wypalanie węgla jest taki interes, co się dobrze opłaca? Czy przez Bielicę nocną porą

często przejeżdżali ludzie konno? Czy smolarze naprawdę wozili w beczkach smołę, czy też co innego? Czy pan Symcha nie ma jakich podejrzeń względem rybaków?

Pytania zadawane były jedno po drugim tak jakoś niespodziewanie i szybko, że Symcha, prowadzący z początku dyskurs z całą łatwością, zaczął się mieszać, robiło mu się gorąco, coraz goręcej, aż narreszcie doznał takiego wrażeń., jak gdyby siedział w łaźni, na najwyższej ławce, i bardzo mocno się pocił.

Wydobył z kieszeni bardzo porządną chustkę, czerwoną w kraty, i zaczął nią pot z czoła ocierać. Sędzia zauważył to i z całą uprzejmością zapytał:

— Może pan Symcha czuje się zmęczonym?

— Oj, cokolwiek mi gorąco!

— Może pan zechce odpocząć?

— Owszem, bardzo chętnie; tu, w kancelaryi, jest cokolwiek duszno.

Sędzia zadzwonił i powiedział parę słów do sekretarza; tu dopiero Symcha Beruch przekonał się, że niema na świecie gorszych, jak tacy grzeczni ludzie. Dali mu odpocząć (oby sami nigdy nie zaznali odpoczynku!) — w areszcie.

Zamknęli go, samego jednego tylko, bez żadnego towarzystwa, w stancyi dość ciasnej, o małym, mocno okratowanym żelazem okienku; zamknęli na

taki zamek, którego by nawet sam Nechemiasz z trzema synami swymi nie złamał; zamknęli i poszli sobie.

Ładny odpoczynek! ładna delikatność! ładna uprzejmość!

Jeszcze całe szczęście, że pozwolili, aby mu kupiono w mieście trochę koszernego jedzenia.

Na drugi dzień znów sędzia Symchę zaprosił, znów z nim rozmawiał i znów zapytał, czy nie zechce wypocząć.

— Wielmożny panie sędzio — rzekł Symcha z płaczem prawie, — ja wolę być zmęczonym, nawet bardzo zmęczonym, aby już raz skończyć i iść do domu. Ja mam żonę, mam małe dzieci, ja potrzebuję być w domu. Niech mnie pan puści.

Sędzia powiedział, że bardzo mu to boleśnie i przykro, że rozumie położenie pana Symchy, ale to nie od niego zależy.

— Tylko od kogo?

— Od sprawy...

Wówczas Symcha, jak tonący brzytwy, ucze-pił się kaucyi. Obiecywał, że da kilkaset rubli, ty-siąc, półtora...

— Dopiero mówiłeś pan, że jesteś biedak i nie posiadasz kapitałów.

— Ale moja familia złoży za mnie.

I to się na nic nie zdało. Sędzią znów prze-

praszał, lecz powiedział, że na żaden sposób nie może...

Na drugi dzień, na trzeci i czwarty jeszcze były pytania, a potem nikt już Symchy nie wołał, nikt nie przeszkadzał mu siedzieć i rozmyślać, rozmyślać choćby po całych dniach i nocach.

Taki sam los spotkał rybaków, wielce szanowanego Wulfa i jego brata Nutę, taki sam los dotknął węglarzy i wielu innych bardzo godnych ludzi...

Po kilku miesiącach przyszedł taki dzień, że zaczęła się sprawa w sądzie; wówczas wszyscy dobrzy przyjaciele, krewni i znajomi zobaczyli się razem, w jednym miejscu; oczywiście chcieli z sobą rozmawiać, ale im nie pozwolono.

Symcha Boruch siedział z samego brzegu, przygnębiony, milczący, i przypatrywał się stojącemu obok niego żołnierzowi, który trzymał w ręku karabin. Bardzo to jest brzydka i nieprzyjemna maszyna, wymyślona na to, żeby nią ucziwych ludzi straszyc. Kawał rury żelaznej, w końcu szpikulec tak ostry, że nim można kogo skaleczyć.

Zaczął czytać całą historję. Najdziwniejsze rzeczy: że była cała banda złodziejów, jedni konie kradli, drudzy je przechowywali, inni jeszcze uprowadzali za granicę, że do tej bandy należeli bardzo porządni ludzie: kupcy, szynkarze, pachciarze; że

głównym mechanikiem tego towarzystwa był Michel Gansfeder; że banda rzuciła na całą okolicę postrach; że kto chciał się poskarzyć i szukać sprawiedliwości, prawie zawsze doznawał jakiejś nadzwyczajnej klęski: kradziono mu konie, zabudowania jego nawiedzał pożar; że banda przyjmowała od tych, którzy płacić chcieli, opłatę roczną — i że po złożeniu takiej opłaty, interesant mógł być spokojny o to, że mu koni nie ukradną. Czytali dalej, że pewna część członków bandy, z tymże Michele Gansfederem na czele, w lesie nad jeziorami utrzymywała potajemną gorzelnię, że handlowała wódką w sposób zakazany i że popełniała wiele innych czynów, za które grozi kryminał.

Po odczytaniu tej długiej historii, zapytywano każdego po kolei, czy przyznaje się do winy. Każdy tylko ramionami wzruszył; Symcha zaś powiedział wyraźnie, że wszystko, co czytano, jest plotką oraz wymysłem złośliwych ludzi.

Wówczas po kolei zaczęto wprowadzać świadków. Było ich dwa gatunki: jedni ludzie przeważnie prości i nieokrzescani, — drudzy delikatni, wywiczni w dysputach. Pierwsi pletli różne głupstwa, co im tylko na myśl przyszło, co wiedzieli i czego nie wiedzieli; drudzy mówili mało, ale dobrze. Symcha przysłuchiwał się temu bardzo uważnie i pilnie; śledził

bacznie, jak jedni świadkowie sprawę psuli, a drudzy ją naprawiali; liczył, których jest więcej, na czyją stronę waga się przychyła. Trwało to, z małą przerwą, do późnego wieczora.

W sali było pełno ludzi, najwięcej starozakonnych; niektórzy przyszli z ciekawości, więcej jednak było takich, którzy przybiegli, aby dowiedzieć się o losie swoich krewnych, znajomych i przyjaciół. Przed domem sądowym, na ulicy, tłoczyła się taka masa ludzi, że nie można było się przecisnąć. Każdy człowiek jest ciekawy—lubi wiedzieć, co trzeba i czego nie trzeba.

Późno w nocy odprowadzono Symchę napowrót do więzienia, aby sobie odpoczął i wyspał się; ale sen uciekał od jego powiek, ciągle trapiły go przykre widziadła...

Na drugi, trzeci i czwarty dzień było to samo—ciągle świadkowie, to źli, to dobrzy, to tacy, których zeznanie nic nie znaczyło.

Przed domem sądowym, na ulicy, toczyły się ożywione dysputy—na temat: jak się sprawa skończy, co kogo czeka, który świadek wywiązał się dobrze ze swej roli, który zaś fuszerował i nieumiejętnością swoją psuł cały interes.

Wśród tej gromady ludzi uwijała się pani Symchowa i Imé pan Dawid Kaltkugel. Jej chodziło o męża, jemu znów o syna. Tylko z rodziny Gansfe-

derów nie było nikogo, gdyż teściowa Symchy wraz z dziećmi opuściła domek przy rogatkach i przeniosła się na stałe mieszkanie do Brodów.

Jest to bardzo porządne miasto, pełne ludzi uczonych, nabożnych i bardzo zdatnych do interesów.

Chodziły pogłoski, że tam Gansfeder prowadzi jakiś handelek—już nie jako Gansfeder, lecz jako Weinstein, czy Weinfeld. Pisał do kogoś ze znajomych, że mu się bardzo dobrze powodzi.

— Co myślicie o moim synu? — pytał Imé pan Dawid pewnego, bardzo biegłego w sprawach prawnych izraelity.

— Nie wiem—odpowiedział zagadniony;—może być z nim źle, może być gorzej...

— Nie puszczą go?

— Wątpię; dużo świadków przeciw niemu.

— Ja jemu zawsze mówiłem, że on w złe interesy wdaje. Ja go ostrzegałem. Nie słuchał.

— A wiecie, Dawidzie, że wasz syn jest mądry i ostrożny człowiek. Inny na jego miejscu byłby zupełnie zgubiony.

— Sami mówicie, że z nim może być źle.

— Źle... prawda, ale nie tak bardzo źle, jakby mogło być; nie bójcie się o niego.

— Jakto ja się nie mam bac?... jego wsadzą.

— Niewielka rzecz... Czas prędko idzie, parę lat przeleci... ani się człowiek nie obejrzy, kiedy.

Gdy już są załatwił się ze świadkami, zaczął mówić prokurator. Symcha zieleniał ze złości, słysząc tę mowę. Co tam było!.. Co w niej było!.. Najporządniejszych ludzi nazywał wprost złodziejami, łotrami; prosił, żeby ich wsadzono na całe życie do kryminału. Szczęście, że adwokaci opowiadali zupełnie co innego. Dowodzili oni, że sprawa jest czysta jak szkło, a ludzie, przedstawieni w niej w tak niefortunnym świetle, są to obywatele godni, zacni, pracowici i ze wszech miar zasługujący na szacunek; że tylko złość ludzka i przewrotność wymyśliła potworną plotkę, która, rozdmuchana przez złe języki, przybrała rozmiary potworne. Stanęła przeciw tym ludziom warownia, uzbrojona całym arsenałem dowodów; z pozoru zdawało się, że niemasz na świecie większych łotrów, aniżeli ci, przeciwko którym arsenał ten się zwraca; ale, przy bliższym rozpatrzeniu się, owa warownia to papierowy zamek, domek z kart — dość dmuchnąć, żeby się przewrócił i obalił z kretesem. Gdzie są fundamenta, gdzie ściany, gdzie dach? Nic niema — złudny pozór tylko... Powiedziano, że mamy do czynienia z uorganizowaną bandą złodziei? Gdzie jest banda, gdzie jest organizacja, nareszcie gdzie są złodzieje? Czy nasi klienci? Ależ przypatrzmy się im bliżej. Dość spojrzeć na ich

fizyonomie, aby się przekonać, że to nieprawda. Słyszymy o rabusiach, niemal opryszkach — a kogóż widzimy przed sobą? Ludzi spokojnych, oddanych pracy, cierpliwych, wytrwałych, walczących z przeciwnościami, — mężów nieposzlakowanej wierności, ojców wypróbowanej cnoty, szanownych naczelników rodzin, którzy gotowi są do wszelkich poświęceń, aby dobrze wychować swe dzieci, dać im stosowne do swych pojęć wykształcenie, uczynić z nich obywateli godnych. Mówią, że to złodzieje, — ale przypatrzmy się im szczegółowo. Czy Symcha Boruch Kaltkugel podobny jest do złodzieja? Dość jest spojrzeć na tę twarz poważną i myślącą, na tę głowę o czole dużem, wypukłym, na spokój prawdziwego filozofa, malujący się na jego obliczu! Spójrzmy bezstronnie i beznamiętnie, bez uprzedzeń, na przeszłość tego człowieka. Od najmłodszych lat, zaledwie nauczył się mówić, oddany był do szkoły, gdzie odbywał studia poważne; zaledwie podrosł i młodzieniaszkiem został, nie zaznawszy swobody, właściwej wiekowi młodzieńczemu, ożenił się — i, już jako ojciec rodziny, oddał się całkowicie trosce o wyżywienie; dziś jest już mężem dojrzałym, ale jeszcze młodość i świeżość bije z jego oblicza. Inni ludzie w jego wieku dopiero się żenią, on już niezadługo dziadkiem zostanie. I kiedyż ten człowiek miał czas trudnić się złodziejstwem, podpalaniem, robieniem rozmaitych szachrajstw? Żył

uczciwie, pracował ciężko, trudnił się przeważnie handlem drobnym. A cóż to jest drobny handel? Aby kupić jedno jajko, trzeba odbyć kilka wiorst drogi, stracić godzinę czasu na konferencję z wieśniaczką, istotą słabo rozwiniętą pod względem inteligencji, upartą, pełną uprzedzeń i przesądów. Następnie trzeba to jajko zanieść lub zawieźć na targ do miasteczka, o kilka mil drogi, co samo przez się stanowi już podróż, i tam to jajko sprzedać. Grosz, w najlepszym razie dwa! a ileż to razy jajko się słucze i cały kapitał oraz czas stracony przepada bezpowrotnie... Kiedyż więc, pytam, człowiek tak ciężko pracujący może mieć czas na trudnienie się kradzieżą? Jedyny zarzut, że brał często pieniądze od Gansfедера—upada, jeżeli weźmiemy na uwagę, że Symcha jest jego zięciem. Któż poczyna za złe zięciowi, że bierze pieniądze od teścia? Któż rzuci kamieniem potępienia na teścia, który daje zięciowi pieniądze? Nic łatwiejszego, jak podciąć i obalić kurze nóżki, na których wznosi się wielki gmach oskarżenia. Co winien Symcha, że mieszkał w karczmie bieleckiej i że po za tą karczemką ciągną się wielkie lasy?—Ależ te lasy istniały na długi czas przed urodzeniem Symchy Borucha i prawdopodobnie długo jeszcze po jego śmierci istnieć będą; że zaś w lasach kryli się złodzieje, to rzecz niemal od początku świata znana i wiadoma, a tem się dająca wytłómaczyć, że ani w polu, ani na

łące, ani na drodze publicznej ukrywać się nie mogą.

Długo i wymownie przemawiał rzecznik Symchy, a kiedy skończył, posiedzenie zawieszono.

Imię pan Dawid zachwycony był przemówieniem obrońcy swego syna.

— Co? — rzekł do znajomego żydka doradcy — pięknie mówił, prawda?

— Co dziwnego... jabym za takie pieniądze nie tylko mówił, ale nawet śpiewał dwie godziny z rzędu!...

— Mnie się zdaje, że po tem przemówieniu Symchę zaraz wypuszczą.

— Ja myślę że nie, chociaż... daj Boże, ja mu życzę.

— Dlaczego wy mnie tak straszycie, ja jestem ojciec, mnie przykro słuhać takiej mowy.

— Więc dlaczego zapytujecie?

— Chcę wiedzieć.

— Nikt nie może teraz wiedzieć, jak się to wszystko skończy...

— Ale adwokat tak pięknie mówił, tak pięknie, samą prawdę, powiedział; nic więcej, nic mniej tylko samą prawdę, i adwokat Nuty też dobrze mówił i Wulfa także.

— Nic się teraz nie można dowiedzieć... choć

oni bardzo pięknie mówili, ale, widzicie, sąd ma różne swoje fantazy i grymasy.

— Żeby to tak można...

— Cóż?

— Słuchajcie, wy jesteście praktyczny człowiek, idźcie wy do tego sądu przez kuchnię, może co usłyszycie.

— Na co? Za parę godzin będziemy wiedzieli, a jeżeli dziś się nie skończy, to jutro napewno. Teraz już prędko pójdzie.

I rzeczywiście poszło bardzo prędko. Na następnem posiedzeniu przemówił jeszcze krótko prokurator, obrońcy nie mieli już wiele do powiedzenia— sprawa skończona — oczekiwano wyroku. Ten czas dla Symchy Borucha, a zapewne i dla jego towarzyszków wydał się długim jak wieczność. Mniemał on, że sędziowie zapomnieli całkiem o sprawie, że wyszli na spacer, czy może wyjechali gdzie daleko, że już nie powrócą do sądu i zostawią tu wszystkich interesantów w niepewności i niepokoju aż do końca świata.

Wogóle czekanie nawet na coś przyjemnego, na przykład na przyjazd spółnika z pieniędzmi, budzi w człowieku pewien niepokój. Cóż dopiero czekanie na wiadomość niemłą. W takim wypadku człowiek może przekląć wszystkie zegary, może mieć nawet żal

do słońca, że zachód swój spóźnia, do nocy, że zbyt powoli się zbliża.

Wreszcie... nadszedł oczekiwany moment ogłoszenia wyroku... Zrobiło się w sali tak cicho, że można było słyszeć brzęk skrzydeł przelatującej muchy. Odczytano wyrok skazujący prawie wszystkich oskarżonych, dwóch czy trzech tylko uniewinniono — i ci zostali zaraz wypuszczeni na wolność.

Symcha Boruch, pomimo całej wymowy swego obrońcy, skazany został na trzy lata więzienia.

Dawid Kaltkugel był zmartwiony, przyjaciele i życzliwi pocieszali go jak mogli.

— Nie macie się co martwić— mówili — to jest głupstwo!

— Trzy lata!

— To dopiero pierwsza instancja. Można jeszcze apelować, można robić kasację...

Nie wielka to była dla Imé pana Dawida pociecha. Więc udał się do adwokata, który tak wymownie Symchy bronił, do tego samego adwokata i prosił, żeby nie opuszczał go aż do końca. Dlaczego nie apelować, skoro apelują wszyscy? Nechemiasz wraz z synami, Nuta, Wulf, węglarze, cała ta gromada, którą surowy wyrok dotknął. Przeciągnęła się rzecz jeszcze kilka miesięcy. Symcha Boruch ostatecznie skazany został na dwa lata więzienia.

Człowiek wie, że odsiedziawszy rok, ma jeszcze

siedzieć drugi i że gdy ten rok upłynie, to będzie koniec. Mając określony, stały termin, tem się pocieszać można, że każdy dzień skraca ten termin o jeden dzień, miesiąc o miesiąc. Już się tedy Symcha Boruch nie rzucał, nie martwił, nie przeklinał, ale siedział z całą powagą i spokojem. Gęś albo kura, chociaż to głupie ptaki, rozumieją jednak, że jak trzeba siedzieć to trzeba — i siedzą do czasu, bez żadnych grymasów i fanaberyi.

Wprawdzie mają za to pociechę w licznych potomstwie i w powiększeniu się rodziny, ale zachodzi pytanie, dlaczego Symcha Boruch miałby nie mieć pociech — dlaczego, mając czas wolny, nie mógłby obmyślić planu rozmaitych nowych, niepraktykowanych interesów, bezpiecznych, pewnych, nie zagrażających niebezpieczeństwem. Ile można przez dwa lata wysnuć z głowy najpiękniejszych myśli, ile zbudować projektów, jak dokładnie rozważyć szczegół każdy, ile wprowadzić poprawek, ulepszeń i dodatków!

Zapewne, jest to bardzo przykro oddawać się jedynie i wyłącznie tylko rozmyślaniom, ale jeżeli nie można inaczej, to trzeba się z losem pogodzić. Symcha Boruch widział się z ojcem, widział z żoną i wydał dyspozycyę, jak i co ma być zrobione, żeby interesa szły jako tako. Karczemkę miała prowadzić sama pani Symchowa, przy pomocy starej ciotki i najmłodszego brata Symchy — Mendla.

Bardzo to jeszcze młody kawaler, zaledwie trzynaście lat życia ukończył, ale na interesa wódczane wielki znawca i może być nieocenionym pomocnikiem dla bratowej. Za fatywę swoją pobierał ma pewne wynagrodzenie stałe i niewielki procent od dochodów.

Kapitał, jaki miał Symcha, podzielono na dwie części: mniejszą podjął się obracać Imć pan Dawid Kaltkugel, większą posłano Gansfederowi, aby ją w ruch puścił i fundusze pomnażał.

Imć panu Dawidowi nie bardzo się to podobalo.

— Dlaczego mnie nie oddasz wszystkiego? — zapytał. — Czy nie ufasz mojej uczciwości?

— Owszem, ufam zupełnie...

— Więc?

— Niech już tak będzie, jak postanowiono.

— Może ci się zdaje, że ja nie potrafiłbym obracać tak znacznymi pieniędzmi? Jeszcze ciebie na świecie nie było, jak ja miałem zatrudnienie przy wielkim kupcu zbożowym, przy takim kupcu, coby ciebie razem z Gansfederem kupił za dwudziestą część swego majątku. Ty nie masz racyi obawiać się, Symcha, ja potrafię więcej, aniżeli tobie się zdaje.

— Nie o to idzie, ojczu, wcale nie o to.

— Wiedz jeszcze, że tu możesz wiedzieć przy-

najmuiej, co się z twemi pieniędzmi dzieje, gdy tymczasem tam oddajesz po prostu na przepadłe.

— Pewne one będą jak mur... ale jeszcze nie o to idzie.

— Więc o cóż nareszcie?!

— O sprawiedliwość.

— To, ojcze, przedewszystkiem; może ojciec chce powiedzieć, że w takim domu, gdzie są mury bardzo grube, a okienka bardzo małe, można o sprawiedliwości nie wspominać... ale ja zawsze przy tem stoję, że sprawiedliwość jest główna rzecz na tym świecie. Ojciec mi dał cokolwieczek, troszeczkę, Gansfeder dał mi dużo; ojciec mi dał trochę wiadomości do interesów i do handlu, Gansfeder dał mi dużo; teraz więc, kiedy ja siedzę, ojcu powierzam trochę kapitału, Gansfederowi zaś dużo. Nie będzie powiedziane, że postąpiłem źle.

Imię pan Dawid skrzywił się, jakby po wypiciu octu, i rzekł:

— Jak ci się podoba; twoje jest, możesz więc rządzić jak uważasz i jak ci się zdaje.

Niewiele już ojciec z synem rozmawiał; trochę o interesach, trochę o żonie i dzieciach, poczem stary Kalkkugel odjechał z powrotem do Trzmiela, a syn jego został na miejscu.

Miał dość czasu do rozmyślań. Przed oczami jego duszy przesunęły się kolejno wszystkie dni jego

żywota, począwszy od najwcześniejszej młodości, aż do chwili ostatniej, tej smutnej chwili, w której zawarły się za nim ciężkie drzwi żelazne i odgradziły go od świata, rodziny i interesów.

Gansfeder był za wielki ryzykant; gdyby nie jego nadzwyczajna śmiałość, wszystko ułożyłoby się inaczej, gładziej, spokojniej bez przykrości. On nie byłby zmuszony do wyjazdu, porządni ludzie nie rozmyślaliby teraz w czterech ścianach zamknięci. Ale stało się już i niema takiej siły, która mogłaby fakt spełniony cofnąć.

Symcha zastanawiał się bardzo gruntownie nad swoją przeszłością, przypominał sobie każdy szczegół, każdego człowieka, z którym miał kiedykolwiek stosunki, i przyszedł ostatecznie do wniosku, że dni swoich nie zmarnował. Robił co mógł, żeby odebrać choć część swego dziedzictwa. Powinęła mu się noga — nic nie szkodzi, ma jeszcze czas przed sobą, ale zacznie inaczej, zupełnie inaczej. Przedewszystkiem porzuci wieś i tę okolicę, w której operował dotychczas, a przenieś się do miasta, gdzie dużo domów, dużo ludzi, dużo interesów. Będzie obracał pieniędzmi, będzie nimi handlował, bo to jest towar najlepszy i zawsze poszukiwany, a można się na nim bardzo prędko dorobić.

Całe dni, tygodnie, miesiące schodziły mu na takich kombinacjach, na rozmyślaniu i budowaniu

projektów—i nareszcie wypełnił się czas zamknięcia, otworzono klatkę, i Imé pan Symcha Boruch Kaltkugel nie wyfrunął z niej jako ptaszek lekkomyślny, ale wyszedł majestatycznie i powoli, jak przystoi na człowieka, który ma wielkie myśli w głowie i wielkie projekty do wykonania.

KSIEGI PIĄTE I OSTATNIE

W których opisane są świetne czasy bohatera i jego wiek sędziwy.

Bieży czas jako woda w strumieniu, leci jako ptak na lotnych skrzydłach, przechodzi, mija i nie masz siły, która mogłaby go wstrzymać w pochodzie. Bieży i w biegu swoim figle różne wyrabia: jednemu si wizną głowę i brodę popruszy, innemu blask z oczu zdmuchnie, innego do ziemi przygniecie i przygarbi, a iluż to ludziom zupełnie oczy zamknie i do innego życia ich powoła. Wszystko się starzeje, a czas idzie niczem niepowstrzymany, kroki jego zawsze jednaki, mierzony, nie mniejsze i nie większe, wciąż jednako. I nie tylko na ludziach, a'e i na domostwach,

na budowlach piętno swoje wyciska, dzieło zniszczenia czyniąc.

Ot, choćby ta karczemka w Bielicy — cóż się z niej zrobiło? Była niegdyś nowa i piękna, o ścianach gładkich, o złocistym dachu słomianym — dziś poczerniała, przygarbiona, dach ma wystrzępiony i brudny. Pokudłał się od wichrów, poczerniał od deszczu, gnść zaczął miejscami; szybki w oknach przybrudziły się, poprzypalały od słońca, drzwi i okiennice poczerniały zupełnie. Z kuźni, w której Nechemiasz z synami takie nadzwyczajne podkowy robił, śladu już niema. Ze ścian jej zbudowano obórkę dla krowy, a komin okopcony stoi samotnie, oplukuje go deszcz, cegła po cegle odpada i w końcu zrobi się z niego rumowisko.

W karczmie mieszka Mendel, najmłodszy brat Symchy, człowiek już żonaty, ojciec rodziny, szynkarz wielki; ale nie robi takich interesów, jak niegdyś jego brat.

Ludzi zdolnych brak.. Złe losy powołały ich gdzieindziej, a chociaż, po-zukawszy dobrze, możeby się znaleźli drudzy zdolni i ryzykowni, ale niema głowy, któraby wszystkim pokierować umiała — niema Gansfedera!...

Zniknął on jak kamfora, z żoną i dziećmi, tylko pamięć o nim pozostała. O jego czynach bohater-skich ojcowie opowiadać będą synom, dziadkowie

wnukom, a że każdy od siebie coś dorzuci, wiąż z czasem utworzy się o dzielnym Gansfederze legenda arcywspaniała...

Wiedzie Mendel w Bielicy żywot cichy, trochę z drobnego handlu czerpiąc dochody, lecz pociesza się nadzieją, że, zebrawszy kapitalik, podwoi obroty, że poszuka sobie wioski ludniejszej, gdzie znajdzie więcej pola do rozwinięcia swych zdolności.

Imię pana Dawida Kaltkugla, rodziciela Symchy Borucha, niema już w Trzmielu i nigdzie go już niema na tym świecie. Zaziębił się, powracając z jarmarku, zachorował i po tygodniu cierpień przeniósł się do lepszego życia.

Stało się to niedługo po wyjściu Symchy Borucha na wolność. Jako najstarszy syn, Imię pan Kaltkugel stawiał się przy łóżku chorego. Stary Dawid nie był jeszcze bez nadziei, doktor obiecywał nawet polepszenie. Pomimo tego Imię pan Dawid miał przecucie śmierci, obojętnie przyjmował lekarstwa, a natomiast kazał sobie sprowadzić kilku nabożnych żydów i prosił ich, aby się modlili i czytali psalmy. Kiedy czuł się gorzej, rozkazał wszystkim wyjść ze stancyi i został tylo sam z Symchą Boruchem.

— Słuchaj — rzekł do syna — dni mego życia są skończone, lada chwila zamknę oczy moje na zawsze.

— Nie mówcie tak, ojcze, będziecie żyli jeszcze sto lat,

— Daj pokój, czuję, że duch mój uchodzi... Dlatego kazalem cię zawołać, aby ci powiedzieć kilka słów.

— Mówcie, ojcze.

— Nie wiem czy usłuchasz, bo mądrość swoją wysoko cenisz i zdania ojca nigdy nie miałeś w poważaniu.

— Ale...

— Nie zaprzeczaj, bo tak było... ale posłuchaj. Umierający lepsze ma oko i dalej widzi niż ten, kogo życie zaślepia... ja ci chcę coś powiedzieć.

— Słucham was, ojcze.

— Ja ci chcę powiedzieć, że dużo felerów jest w naszym życiu.

— W czym, ojcze?

— W życiu naszym jest felerów dużo, my błądzimy.

— Ale w czym?

— We wszystkim.

— Tak wam się zdaje, ojcze, my czynimy tylko co możemy, jak możemy i jak nam się uda.

— To właśnie bardzo źle, myśmy powinni czynić to, cośmy powinni.

— Ojcze, jesteście chorzy, nie trudźcie się mówieniem, doktor zakazał wam męczyć się. Ja wam dam trochę wody z winem albo lepiej samego wina i wy próbujcie zasnąć. Spanie pokrzepi was.

— Nie, nie, Symcha, tobie nie idzie o to, żebym ja wina się napił i zasnął, tylko żebym nie mówił. Wy jesteście teraz tacy mądrzy, że wcale nie chcecie słuchać starszych, a ty nie ciekawys nawet dowiedzieć się, co myśli twój umierający ojciec! Ma się rozumieć! On stary, on prostak, co on może powiedzieć tobie, który jesteś mądry, wypraktykowany, obrotny. Ma się rozumieć! Twój ojciec nie zarobił tyle przez dziesięć lat, ile ty potrafiłeś zarobić w ciągu roku... Masz rację, tyś mądrzejszy, na co masz słuchać starego!?

— Z wielkiem przeproszeniem... nie gniewajcie się. Owszem, ja mogę posłuchać co wy mówicie, tylko idzie mi o was. Tymczasem spoczniście, nabierzcie trochę siły a gdy się wzmocnicie, mówcie ile wam się podoba.

— Nie; ja chcę teraz powiedzieć: Jutro już moje usta mogą być zamknięte, a język martwy... Symcha! w naszym życiu jest dużo felerów, a nasza zguba nie od żadnych narodów przyjdzie, ale od nas samych. Tak napisano jest, tak zawsze mówił twój nieboszczyk dziadek Migdał, człowiek nabożny i spo-

kojny. My sami sobie wrogami jesteśmy, gdyż żądamy za wiele...

— No, no! ja się bardzo dziwię, że mówicie takie słowa. Sami uczyliscie mnie, że świat do nas należy.

— Tak, ale trochę i do nich... miarę trzeba znać...

— Czy wyście inaczej robili, niż my...

— Inaczej... myśmy skubali po trochu, aby żyć i nie przeszkadzaliśmy żyć drugim... wy chcecie wszystko pochłonąć odrazu. Symcha, słuchaj mnie, to duży feler jest i od tego feleru przyjdzie wasza zguba. Moje oczy zamkną się niezadługo i może dlatego lepiej widzą teraz... Ja proszę cię, Symcha, jeżeli chcesz być szczęśliwym na tym świecie, nie żądaj za wiele, nie bierz za wiele...

To były prawie ostatnie słowa Imc pana Dawida Kalkugla; gwałtowny kaszel nie pozwolił mu dokończyć tego, co chciał synowi powiedzieć, a kiedy kaszel przeszedł, chory wpadł w takie osłabienie, że nie mógł mówić i leżał prawie nieprzytomny, dysząc ciężko - i już do samego zgonu w takim stanie pozostał.

Kiedy Dawid Kalkugel zamknął oczy na zawsze i kiedy go uczciwie, w najbliższym miasteczku, na żydowskim cmentarzu pochowano, Symcha Boruch, według starego obyczaju, szatę na sobie rozdarł, obu-

wie z nóg zrzucił, głowę popiołem posypał i tak osiem dni na pokucie przesiedział. Spełniwszy ten ostatni względem zmarłego ojca obowiązek, zaraz odjechał i już go nigdy w okolicy jego rodzinnej nie widziano — ale mówiono o nim dużo.

Dochodziły wieści, że powodzi mu się doskonale, że wyborne interesa robi, kapitałami znacznymi obraca, że i pod względem powierzchowności tak się zmienił, że z dawnych znajomych niktby go nie poznał. Osoba to, jak mówią, wspaniała, aż blask od niej bije. Tuszę ma dobrą, twarz jego lśni od zdrowia i dostatku. Nie żałuje sobie na jedzenie, a ubiera się... jak się ten człowiek ubiera! Nie tak jak panowie, którzy noszą się całkiem krótko, ani nie tak jak zamożni kupcy, noszący się całkiem długo. Strój Symchy jest pomiędzy tymi dwoma rodzajami pośredni; to też mąż ów wygląda jak największy pan pomiędzy kupcami i jak najwspanialszy kupiec między panami. Ma na sobie buty lakierowane z cholewami na wierzchu, kamizelkę aksamitną, na niej łańcuch szczerozłoty możliwie najgrubszy, z masą świecideł i breloków, surdut angielski długi za kolana i stosownie do pory roku, albo kapelusz cylindrowy, albo czapkę futrzaną z jakiegoś bardzo kosztownego zwierzęcia!

Człowiek, który tak się wspaniale stroił, musiał też i odpowiednio mieszkać. Symchą Boruch zajmą-

wał apartament na pierwszym piętrze w bardzo okazałej kamienicy, w najpiękniejszym domu, jaki przyozdabiał żydowską dzielnicę miasta gubernialnego.

W mieszkaniu Symchy Borucha, złożonem z czterech stancyi oraz z kuchni, był salon urządzonej wykwintnie. Stała w nim kanapa i dwa fotele zielonym adamaszkiem obite, stół orzechowy, dwa fotele czerwone i kilka krzeseł krytych materją w tureckim guście. Naczelne miejsce w tym salonie zajmował fortepian, a na nim duży tombakowy samowar i cztery wysokie lichtarze mosiężne. Ze środka sufitu zwieszał się żółty świecznik na grubym postronku, a pomiędzy oknami było lustro, stłuczone wprawdzie, i to w dwóch miejscach, ale duże i imponujące ramami przeraźliwie złotemi.

W tymto salonie przyjmował Imć pan Symcha Boruch gości, czesem w syberyjnym szlafroku z czerwonymi wyłogami, opasany grubym również czerwonym sznurem, czasem w angielskim surducie, a zawsze w mycce jedwabnej na głowie. Mycka to była nie zwyczajna, okrągła, nie taka, jakiej żydzi noszą zazwyczaj, ale stojąca, wysoka. Wzór do niej wziął Symcha Boruch z oleodrukowego portretu sir Mozesa Montefiore, wielkiego filantropa i wielkiego żyda angielskiego. W tej mycce przyjmował Symcha licznych swoich faktorów i klientów; starą zaś aksamitną jarmułkę przywdziewał jedynie podczas

świąt uroczystych i sobót, gdy znajdował się w ściślem gronie rodziunem.

Bywały zdarzenia, że zgłaszali się do niego hrabiowie nawet, ma się rozumieć podupadli finansowo— on ich zawsze jak najuprzejmiej przyjmował.

Do jednego młodzieńca o ślicznem nazwisku i o szkaradnej hipotece wychodził w szlafroku, aby dać poznać, że z młodym arystokratą łączy go poufale stosunki.

— Pan hrabia wybaczy mi mój szlafrok — mówił—ale ja jestem delikatny na zdrowiu, mam parę felerów i ufam, że, ze względu na nasze przyjacielskie stosunki, ta poufałość będzie wytłomaczona.

Młodzieniec, któryby wziął pieniądze nie tylko od izraelity w syberyjnym szlafroku, ale nawet od samego Belzebuba w jeszcze grubszym negliżu, uśmiechnął się przyjaźnie i mówił, że jest zachwycony tym dowodem zaufania i przyjaźni.

Zupełnie też słusznie mógł potem mówić Symcha Boruch, że z młodym hrabią X. żyje jak z przyjacielem, i że ten nigdy inaczej do niego nie mówi, jak: kochany Symchusiu.

— Symchusiu, daj pieniędzy.

— Bardzo owszem... ile pan potrzebuje?

— Tysiąc rubli.

— Na co?

— A tobie co do tego?

— Pan mnie nie rozumie, panie hrabio, ja się pana nie pytam, na jaki wydatek pan użyje moje pieniądze; tylko na co ja je mam dać?

— A no... oczywiście na niżej podpisanego.

— Muje się zdaje, że niżej podpisany nie ma żadnej ewikcyi.

— Przepraszam cię, Symchusiu, mam jeszcze ciotkę, a wiesz, że ta jest coś warta...

— Oj, oj, i jak warta, ale tymczasem ona sobie żyje zdrowa.

— No, kiedyś przecie...

— Panie, ja mam honor znać tę osobę. Ona mi wygląda na okropnie długi termin, to kamienna kobieta, to żelazo. Chyba żeby chciała za pana weksel podpisać.

— Wątpię.

— Dlaczego?

— Ona pisać nie lubi.

— Niech ją pan grzecznie poprosi... Zresztą pan wie, że ja nie będę sprawdzał... wystarczy mi pańskie słowo, że to podpis cioci. Ja...

— Ostatecznie możebym podpis dostał, ale potrzeba mi bardzo pilno... Mój Symchusiu, jesteś moim dobrym przyjacielem. Wszak prawda?

— No, tak... zapewne.

— Więc radź, rób co chcesz. Ja dziś potrzebuję koniecznie, nieodzwornie... gwałtownie!

— Ja chcę panu pokazać, że jestem przyjacielem; ja panu tymczasem dam pięćdziesiąt rubli, do jutra rana to powinno wystarczyć; a jutro, jak pan przyniesie podpis cioci, to pogadamy o dalszym interesie...

Symcha Boruch obrał sobie specjalność interesów wątpliwych.

Kto nigdzie nie mógł dostać pieniędzy, kto miał wszędzie zamknięty kredyt, ale jeszcze jakiegokolwiek resztki lub cienie widoków na przyszłość posiadał, ten szedł do Symchy jak w dym i nigdy z próżnemi nie odchodził rękami. Kapitalista ten pożyczał pieniądze na ślad ewikcyi, oczywiście płacąc śladem waluty; nabywał sumy hypoteczne, figurujące na ostatnich najniepewniejszych numerach, i płacił za nie w stosunku pięć lub dziesięć za sto—swoją drogą robił doskonale interesa. Żywiła się przy nim cała rzesza faktorów, czynnych, myszkujących zawsze po sądach, hipotece, po wszystkich hotelach w mieście.

Sam o sobie Symcha mówił, że nie jest człowiekiem grymaśnym.

— Do mnie przychodzi młody panicz, chce pieniędzy... ja mu daję pieniądze. On mi powiada, że na wekslu jest podpis ojca, matki, wuja, brata... ja mu wierzę. Ja kupuję weksel. Jeżeli jest prawdziwy, to mi zapłacą; jeżeli fałszywy, także mi zapłacą, gdyż

nie zechcą dopuścić, żeby piękne nazwisko siedziało w kryminale.

Doprawdy nazwisko to jest śliczna rzecz, a honor jeszcze piękniejsza. Wogóle rozumował sobie Symcha: najlepsze interesa są to tak zwane „złe interesa.“ Można je bowiem nabywać prawie za darmo, a choć się czasem straci, strata jest bardzo niewielka, gdy się zaś zarobi to porządnie.

Bardzo Symcha Boruch protegował i był nieźmiernie usłużny dla takich kawalerów, którym pilno było do pełnoletności... Rozumiał ich położenie i wchodził w nie—a chociaż nie mógł przyspieszyć biegu czasu, jednak wyprzedzał go niekiedy.

Czasowi nie czyniło to żadnej ujmę, a młodzieńtki interesant miał wygodę.

— Opieka to jest wielkie udręczenie — mówił, przyznając klientowi zupełną słuszość — potrzebna ona jak dziura w moście.

— O, tak...

— Ja wiem... ja znałem wielu paniczów w podobnym położeniu, co oni mieli ambarasu z opiekunami! I po co? na co? Nie dzieci przecież, ale panowie... u nas taki kawaler już jest ożeniony. Całe szczęście dla nich, że mnie znali, a ja jestem bardzo usłużny, nieraz na tem tracę... ale robić... taką moją naturą!

Wyprzedzał Symcha czas, a młodzieniec urządził wyścig dystansowy z majątkiem.

W mieszkaniu Symchy Borucha znajdowała się kasa ogniotrwała, żelazna, w niej chował wszelkie dowody, pieniądze zaś puszczał wciąż w ruch.

— Moja kasa—mówił nieraz—podobna jest do dużego miasta.

— Jakto do miasta?—zapytał klient.

— Bo mieszka w niej bardzo wiele osób... i jakie to osoby, sami panowie, same państwo.

— A, zapewne... a jak też ludne to pańskie miasteczko?

— Nawet sam nie mógłbym zrachować jego mieszkańców... dość powiedzieć, że ich jest dużo... i nie tylko z miasta, ale z okolicy... nie tylko z bliższej okolicy, ale i z dalszej... Tu każdy trafi, każdy wie, że gdy nigdzie nie znajdzie ratunku, to u Symchy na pewno...

Rzeczywiście, każdy trafiał do Symchy, a mówiąc dokładniej, Symcha trafiał do każdego, miał bowiem na swe usługi gromadę faktorów, którzy mu sprowadzali interesantów.

Jednego lata Symcha Boruch, dla poratowania zdrowia, udał się do Karlsbadu i tam niespodziewanie spotkał swego teścia, wielce szanowanego Gansfeldera.

Ten także się zmienił, posiwiał i nabrał dobrej tuszy.

Teś z zięciem przywitali się bardzo po przyjacielsku, nawet z okrzykiem radości. Wypytywaniom końca nie było, jeden i drugi miał dużo do powiedzenia, i ta tylko była w ich wzajemnych zwierzeniach różnica, że Gansfeder guldenami pstrzył swoją mowę, Symcha zaś swoją rublami bogato haftował.

Gansfeder zarzucił dawny strój zupełnie i ubierał się po mieszczańsku, brodę strzyżoną miał, głowę błyszczącym kapeluszem przykrywał...

Teś zapytał o Bielice, jeziora, lasy.

— Jest Bielica -- odrzekł Symcha—ale to już nie ta Bielica co dawniej, są jeszcze lasy i są jeziora, ale dziś to już nie warto.

— Dlaczego?

— Niema ludzi, ludzi brak..

— No, no.

— Od czasu, jak wyście wyjechali, od czasu tej nieprzyjemnej sprawy, wszystko zmarniało.

— Szkoda.

— Zapewne że szkoda.. były to złote interesa, sliczne interesa!

— Dlaczegoż mówisz: były?... mogą się jeszcze powtórzyć.

— Przepadły już.

— Ty tego nie mów, Symcha, nie przepadło

w Bielicy; to, co zarobiliśmy tam, stało się podstawą dzisiejszych naszych interesów i dzisiejszego majątku... Ja bo mam już trochę majątku.

— I ja mam...

— Chwalić Boga, ja wiedziałem, że ty nie będziesz kapcan, że się dorobisz.

— Korzystałem często z waszej rady, a wyście mi zawsze dobrze radzili.

— Tak jest: ja miałem kawałek głowy w swoim czasie. Nie potrzebuję się chwalić, ale miałem.

— Czy wam dziś brak?

— Już to nie to, co dawniej było... Zrobiłem się delikatny przy moim teraźniejszym zatrudnieniu, nie mam ruchu i przez to nie czuję się tak lekkim i żwawym jak dawniej... Powiedz mi, co się dzieje ze starym Nechemiaszem?

— Umarł.

— Szkoda.. a jego synowie starsi?

— Nie wiadomo gdzie są. Gdy ich wypuścili z tamtąd wreszcie, poszli w świat i wcale o nich nie słychać.

— A Wulf i Nuta trzymają jeszcze jeziora?

— Zbiednieli. Nuta na wieś poszedł, handluje trochę z babami, Wulf uczeplił się przy jednym kupcu leśnym.. bardzo biedni... Wszyscy nasi spółnicy dawno podupadali i interes upadł, bo niema kto nim pokierować.

— To mnie dziwi, byli przecież ludzie zdolni, ja pamiętam, strach na nich poszedł wielki, ja sam bałem się, niech Bóg broni. Uciekłem do miasta. Co prawda, bez nas Bielica nie miała już dla nich żadnego znaczenia. Do miasta przyzwyczaiłem się bardzo prędko...

— To się rozumie. W mieście jest zupełnie inne życie, ale przyjemne i wygodne. My zawsze wolimy być tam, gdzie jest więcej ludzi i większy ruch. Zarobek w takim mieście większy.

— Jak wam wiadomo z moich listów, zacząłem handlować pieniędzmi i z początku nie było wielkich rzeczy, ale po kilku miesiącach, po pół roku, ogromny ruch się zrobił! Ciągłe interesanci przychodzili i przyjeżdżali, a teraz nie jest nic nadzwyczajnego zobaczyć powóz przed domem, w którym ja mieszkam. Zawsze miałem na myśli wasze słowa, że najlepsze interesa są tak zwaiane „złe interesa.“ Doprawdy, to bardzo mądre słowa, złote słowa...

— Ja się bardzo cieszę, że ty, Symcha, moje rady masz w pamięci.

— Dlaczego nie miałbym mieć ich w pamięci? Wasza rada to moneta, to pieniądz. Z początku okrzyczano mnie za waryata.

— Ciebie? kto?

— Żydki nasze... później mówili, że jestem nadzwyczajny ryzykant, a teraz, jak się przekonali, że

odzyskałem w całości sumy nabyte za bezcen, że odebrałem należności od ludzi uważanych za zupełnych bankrutów, to zazdroścą mi i mówią, że mam wielki rozum. Znaleźli się i tacy, co mi chcą robić konkurencję.

— Wszystko to przez zazdrość.

— Co szkodzi! niech robią. Takich klientów, którzy do mnie przychodzą, jest jak piasku w morzu. Nie spodziewam się, żeby mi ich kiedy zabrakło... Jako dowód, że ludzie ufają w mój rozum, powiem wam, że bardzo porządni ludzie z naszych przychodzą do mnie po radę, gdy chcą zbankrutować.

— I cóż ty robisz w takim wypadku?

— Przystępuję do interesu, jako niby spółnik. Doprawdy, to nie jest zła rzecz.

— Niby ja nie wiem! Bardzo się cieszę, że ci się tak powodzi.

— Spodziewam się, że i wy także nie macie powodu narzekać.

— Nie, tylko zdrowie mi nie bardzo służy. Doktor mi każe co rok jeździć do wód... to kosztuje. Słuchaj, Symcha Boruch, na przyszły rok ty przyjedź z żoną tu; ja też przyjadę i może moje córki przyjadą z mężami. Zrobimy sobie taki zjazd rodzinny. Mnie będzie to bardzo przyjemnie. Twojej żony już tak dawno nie widziałem... musi być ładna kobieta.

— Bardzo... nie wiem czy w całym mieście znaj-

dzie się druga taka wspaniała żydówka... to dama jest... przekonacie się na przyszły rok, jak tu przyjeździemy. Ona też potrzebuje Karlsbadu...

— A cóż ty robisz ze swymi chłopcami?

— Cóż mam robić? prowadzę ich wysoko... praktykują przy mnie, ożenią się bogato... Córki moje, a żebyście zobaczyli moje córki... to też damy, zawsze bardzo wystrojone i bardzo eleganckie. Gdy pokażą się w ogrodzie na spacerze, każdy się za nimi ogląda. O najstarszą starają się już; kilka razy swat przychodził, ale ja się nie śpieszę, czekam, może się jeszcze coś lepszego trafi.

— Masz rację; na dobry towar kupiec się znajdzie.

Przez całe cztery tygodnie Symcha Boruch cieszył się towarzystwem swego teścia, w jednej stancyi mieszkali, razem stołowali się, razem chodzili na wody i odbywali wycieczki piesze, w celu pozbycia się nadmiaru tuszy.

Symcha poznał kilkunastu bardzo porządnym kupców i aferzystów, nasłuchał się nader ciekawych opowiadań o wielkich interesach, o giełdzie wiedeńskiej, rozjaśnił horyzont swoich pojęć o kilkanaście procentów. Taka wycieczka pod wieloma względami dobrze robi, nie tylko bowiem ratuje zdrowie i daje wielką sumę przyjemności, lecz zarazem odświeża umysł, naprowadza go na nowe myśli, zbiera obfite

zniwa z doświadczenia innych ludzi, z ich pomysłów i kombinacji, powiększa i wzbogaca zapas wiadomości, zaostrza dowcip, ćwiczy w sztuce opowiadania i wogóle odświeża człowieka i orzeźwia, jak kąpiel w czystym strumieniu, po długiej i nużącej podróży.

Nadzwyczaj przyjemna wycieczka — i Symcha postanowił sobie powtarzać ją corocznie.

Pożegnanie z teściem, również jak przywitanie, było bardzo czułe — przyrzeczono sobie nawzajem możliwie częstą wymianę listów.

Zjazd familijny odbył się tylko dwa razy, na trzeci albowiem wielce szanowny Imc pan Gansfeder stać się już nie mógł, gdyż zakończył swój pożyteczny i pracowity żywot. Symcha musiał z tego powodu odbyć podróż za granicę. Przyjechał razem ze swoją małżonką, chodziło bowiem o odebranie spadku, który, jak słusznie należało przewidywać, nie był do pogardzenia.

Wiele ambarasu przytem było, wiele sporów i kłótni, atoli, po kilku tygodniach, wszystko ułożyło się pomyślnie; interesa nieboszczyka Gansfedera zlikwidowano, odstąpiono je miejscowym aferzystom, zrobiono akuratny podział i państwo Symchowie powrócili do domu, przywiozłszy z sobą dość okazałą sumkę, którą Symcha niebawem puścił między ludzi,

aby nie próżnowała, lecz przynosiła dochody jak należy.

Rok biegł za rokiem, Symcha Boruch wciąż cieszył się zdrowiem, tylko broda zaczęła mu siwieć. Zyskał przez to na powadze... Z siwą brodą do twarzy mu było, choćby ze względu na różne honorowe funkcje, do jakich go powoływano.

Cała ludność żydowska dużego dosyć miasta zapraszała Imć pana Symchę do zarządu ogólnemi jej interesami; cokolwiek się w jej gospodarstwie robiło, Kaltkugel musiał w tem udział przyjmować.

I pysznił się z tego Imć pan Symcha i w ambicję się wbijał, gdyż ta jest zazwyczaj ludzkich pożądań gradacya, że najpierw człowiek pieniędzy pragnie, a gdy je posiada, tedy mu się honorów, poszanowania i miru zachciewa. Jużby rad na świeczniku stać i hołdy zewsząd odbierać, już mile go wszelkich pochlebstw kadzidło lechce po nosie, już chce paść oczy widokiem pochylonych głów i zgiętych grzbietów. A choć to głowy mizerne, nędznemi, starymi czapkami pokryte, choć na owych grzbietach pochylonych łachy się trzęsą, jednak i to pysze Symchy Borucha pochlebia, że się gną przed nim i kłaniają. On zadziera głowę do góry i zda się mówić: patrzcie com ja, bogacz, a co wy, marni nędzarze!...

Całe żydowstwo ubogie, głodne, obdarte, czasu ostrej zimy lub też przed uroczystemi świętami, ciśnie

się do drzwi Imć pana Symchy, który na czele kahalnej dobroczynności stoi i ofiary miłosierdzia zbiorowego między wszelakich łapserdaków rozdziela. On i sam potrafi rzucić datek hojny, byle tylko mówiono o nim, byle sława jego czynów i jego imienia rozchodziła się po świecie.

I rozchodziła się ona też daleko i szeroko, aż do mieściny rodzinnej, do Trzmiela, do karczemki bielińskiej, nad jeziora, do lasów.

Symcha Boruch! Któż nie znał tego imienia? Kaltkugel — któż nie znał tego nazwiska! Bogacz, kapitalista, wielka głowa, kahalny macher, mąż zaufania, sławny człowiek, bez którego żadna ważniejsza rzecz w mieście stać się nie może.

On patrzy dziś na ludzi z góry — a jak niegdyś na niego patrzono?!

Gdyby nagle groby się otworzyły i umarli z nich powstałi, jakżeby się zadziwili, ujrawszy dzisiejszego Symchę! Jakżeby szeroko otworzył usta ten melamed, który przepowiadał, że Symcha Boruch na zawsze osłem wielkim i nieukiem zostanie — i ci wszyscy niby mądrzy ludzie, a przedewszystkiem pachciarz z Trzmiela — ci wszyscy mądrzy ludzie, z których żaden nie chciał dać młodemu wówczas Kaltkuglowi córki za żonę! Oni nie chcieli!... niechże go zapytają teraz, czy onby chciał obecnie dla którego z synów

swoich wziąć podobnie ordynaryjne i proste, a niebo-
gate żydówki.

Niech się zapytają, niech spróbują, a odejdą za-
wstydzeni i oczów nie będą śmieli pokazać... Ale...
nie próbowaliby nawet, ba, żaden swat nie podjąłby
się tak bezczelnie zuchwalej propozycyi! Symcha
Boruch? Schody do tego szczytu już nie z setek są
ułożone, ale z tysięcy. On sam się ślicznie dorobił
i po takim ślicznym człowieku jak Gansfeder sukce-
sę dostał i takich kilka nadzwyczajnych interesów
zrobił, że tradycya o nich, niby legenda najpiękniej-
sza, niby poema epiczne, z pokolenia w pokolenie
przejdzie, i takich sztuczek kilka urządził, takich fi-
glów mądrości, że jeszcze je wnuki i prawnuki wspo-
minąć, rozbierać i komentować będą...

Paskudne, za przeproszeniem, po prostu psie ję-
zyki ludzi zazdrosnych, złośliwych, a pysznych i nie
uznających zasług cudzych, wspominają z przekąsem
o tych smutnych chwilach, które Symcha Boruch na
rozmyślaniu w samotności przepędził.

Wspominają o tem po cichu, gdyż głośno odzy-
wają się nie śmia; Symcha Boruch bowiem ma wpły-
wy, ma długą i ciężką rękę, którą może dosięgnąć—
i zemścić się za szkalowanie swego honoru.

Ci ludzie wymawiają po cichu brzydki wyraz:
kryminał.

I cóż ztąd?

Czem właściwie kryminał różni się od zwyczaj-
nej kamienicy? Powiedziawszy prawdę, tylko wię-
kszą solidnością murów i tem, że w pierwszym lu-
dzie mieszkają niedobrowolnie i darmo — w drugiej
z własnej ochoty i za pieniądze.

Symcha Boruch, mówią, siedział dwa lata—iluż
to jest ludzi, którzy nad książkami przesiadują całe
życie, ilu takich, co nie przez dwa, ale przez dziesięć
lat leżą w łóżku chorzy! Czy człowiek może być od-
powiedzialny za nieszczęście? Stanowczo nie. Nikt
bowiem, o ile nie jest pozbawiony zdrowych zmysłów,
nieszczęścia nie szuka, a jeżeli ono samo go spotka,
to jest przypadek, taki sam jak pożar, złamanie nogi,
wpadnięcie do wody. Ilu ludzi najporządniejszych
i najzacniejszych miało w swoim życiu przypadki
i do tego nawet bardzo brzydkie!

„Świat jest podły—powiedział raz Symcha Bo-
ruch w przystępie rozżalenia — jest brzydki, dziki
i niewdzięczny; liczy każde potknięcie się człowieka
na równej drodze, a nie chce pamiętać, ile śmiałych,
ryzykownych kroków człowiek ten na śliskiej dróżce
postawił.“

Żona Symchy Borucha jest dama co się zowie;
atlas, aksamit, koronki ozdabiają jej wspaniałą i ma-
sywną postać; złota, pereł, drogich kamieni ma na
sobie tyle, co w jubilerskim sklepie. Chodzić prawie
nie może, z powodu otyłości nadmiernej—poświęca się

jednak dla ludzi i nie chcąc ich pozbawiać widoku strojów i bogactwa, wytacza się do ogrodu, czyniąc wysiłki na lzwyczajne—i zasiadłszy na ławce, jaśnieje w słońcu nie jak brylant, ale jak sklep z kosztownościami, jak... lombard. Całe miasto przechodzi, patrzy i podziwia, całe miasto, a najbardziej ta część jego ludności, która postępuje najśluszniej, obliczając wartość człowieka na gotówkę.

Córeczki Symchy Borucha to panienki, a jakie panienki—prawdziwe hrabiny, ubierają się podług ostatniej mody, a mówią po francusku tak jak po żydowsku, z takim samym akcentem, z wielką pewnością siebie. Ojciec kilka razy miał z niemi ostrą przepawę z powodu, że wyrażały się z lekceważeniem o ludziach nieubranych podług ostatniej mody i o kapotowych konkurentach.

Symcha Boruch bardzo się rozgniewał z tego powodu, ale w duchu szczyił się, że ma córeczki takie pyszne i edukowane.

Z wyborem zięciów pewne przewidywał trudności. Panienki tego rodzaju nie chciałyby się może zgodzić na mężów ze sfery prostych, ordynaryjnych ludzi, Symcha Boruch zaś w tej właśnie kandydatów na zięciów upatrywał. Pocieszał się atoli myślą, że bogactwo młodzieńców przeważa na szali, i że panienki zgodzą się na oblubieńców kapotowych, jeżeli ci zaimponują im majątkiem. Niezadługo w domu

Imię pana Symchy Borucha rozpoczął się okres bardzo gorączkowego życia: zaręczyn, szycia wypraw, weseła. To ostatnie odbywało się rzeczywiście z wielką pompą i wystawnością; to tylko Symchę martwiło, że obecność ubogich krewnych przyćmiewała nieco blask jego bogactwa. Nie zapraszał on tych familiantów, przyjechali sami, trudno było drzwi zamknąć przed nimi.

Nie upłynęło wiele czasu, a Symcha córki za mąż powydawał, synów pozenił i po kilku latach miał sporo delikatnych wnuczków i mógł być pewnym, że nazwisko, tak uświetnione przez niego, nie zaginie.

Pomimo że się rodzina znacznie zmniejszyła, Symcha apartamentów nie zmienił. Przyzwyczał się on już do wygody i komfortu, do swojej kanapy zielonej, na której drzemał codzień po południu, do wielkiego fotela z wysokim oparciem... Lubił siedzieć na nim i rozmyślać o interesach korzystnych, o przeszłości, i przyszłości, lubił siedzieć godzinami całemi i wpatrywać się w szafę żelazną, obok stojącą przy ścianie.

Było mu dobrze i wygodnie. W szlafroku, w mycce na głowie wyglądał co się zowie okazale i na pierwszy rzut oka można było poznać, że to był mąż wielce poważny i szanowany.

Fajkę zupełnie zarzucił. Dobrze to dla furmanów, pachciarzy, dla drobnych aferzystów, co od wsi

do wsi się włóczą, ale nie dla człowieka mieszkającego w mieście, w pięknym apartamencie, mającego stozunki z panami i z paniczami. Symcha Boruch palił tylko cygara dobre, bo mu się smak bardzo wydelikacił i tanie, gdyż pieniędzy nie lubił na zbytki wydawać.

W apartamencie Symchy Borucha zbierała się sama śmietanka; zwyczajni ludzie przychodzili tam wprawdzie, ale za interesami. Takı przyszedł, powiedział co miał powiedzieć, dostał co miał dostać, uklonił się nisko, bardzo nisko i poszedł. Co taki kapcan ma mówić, w jakim celu siedzieć? Czy to jest człowiek, z którym można pić herbatę, palić dobre cygaro, grać w karty—w „dreimałkies“ albo w „oko“? Wcale nie, on szuka swojego towarzystwa i doprawdy jemu tam lepiej, niż między znacznymi osobami, on czuje się swobodniejszym i weselszym w swoim gronie. Gąsior nie utrzymuje kompanii z wróblem, indyk nie brata się z wroną, jest arystokracya i jest pospólstwo.

W kompanii zacnej, w towarzystwie samych notablów i honoracyorów Symcha Boruch wszystkie od zajęć wolne chwile przepędzał, zaszczyty z nimi dziełił, na radach zasiadał, swe zdania z ich zdaniem na jednej szali ważył, ręka w rękę szedł i stał się im jako równy, jako brat, i był jako jeden z patryarchów miasta.

I tak się Symcha w tem bogactwie, w tych honorach pomaleńku starzał, aż się zestarzał tak, iż mu broda zbiełała jak mleko, jak ów śnieg, co zimową porą na polach się kładzie.

Siwowłosy Symcha Boruch stał się wzorem nabożności i cnót wszelakich. Codziennie wychodził do bóżnicy i przykładnie pacierze odmawiał, święta ze wszelkimi ceremoniami obchodził, książki nabożne czytał, chociaż dokładnie nie rozumiał ich treści, do sławnych rabinów jeździł i z honorami przyjmowany był przez nich, a jak mówił Jak o. mówił, jak przemawiał, jakie budujące zdania wygłaszał, to tylko było słuchać, uczyć się i podziwiać.

Nie tylko młodzi ludzie, ale i dorośli, starzy nawet, słów tych słuchając, budowali się i wzmacniali na duchu, jeden drugiego trącał i szeptał:

— Patrz, ucz się, bierz przykład; żywot sprawiedliwego to księga, w której każdy dzień kartą, rok foliantem. Nie piórem pisana ona, ale czynami, nie litery ją zapełniają, ale cnoty... Przewracaj te karty, patrz na nie pilnie i za przykładem idź, naśladowaj, abyś został dobrym i cnotliwym, jako ten, na którego patrzysz i którego słów słuchasz.

Symcha Boruch zachęcał ludzi młodych zwłaszcza, aby szli prostemi drogami, aby nie łakomili się na cudze, aby w pocie czoła pracowali na kawałek chleba.

— Ja tak od małego dziecka robiłem — opowiadał — tych zasad się trzymałem i doszedłem do stanowiska; nikomu nie skrzywdziłem, niczyjego dobra nie pożądałem, szedłem sobie swoją drogą, prosto... zarabiałem ciężką pracą, a jeżeli teraz mam trochę pieniędzy, to jej, tej właśnie pracy zawdzięczam i jej tylko, więcej nikomu. Wołałem w pocie czoła zapracować na kawałek chleba, aniżeli mieć mięso niesprawiedliwie nabyte. Nieraz traciłem na tem, nieraz zrzucałem się korzystnego interesu, nieraz żona robiła mi wymówki, ale cóż robić. Nie mogłem inaczej — taka już była moja natura. Mam dziś trochę majątku; dlaczego tylko trochę? Ponieważ chodziłem prostymi i uczciwymi drogami; gdybym postępował inaczej, miałbym dziś... miliony.

Tyle Symcha Boruch o swojej wielkiej uczciwości opowiadał, tyle o swoich cnocie mówił, tyle nauk moralnych młodym ludziom dawał, że uznano go w całym mieście za męża, będącego wzorem sprawiedliwości...

I w tych zaszczytach, poszanowaniu, honorach, w dostatku i bogactwie ubiegały dni starości Imię pana Symchy Borucha. Ubiegały spokojnie, jako dni łagodnej jesieni, promieniami słońca ozłoczone, ubiegały, dochodziły kresu, aż wreszcie doszły...

I wypełniły się dni tego męża i umarł — i legł nie jako kwiat kosą podcięty, lecz jako kłos dojrzały, wysypawszy z siebie całe bogactwo ziarna.

Był w mieście płacz, jęk i żal, zbiegła się ze stron różnych rodzina, płaczki zawodziły nad grobem żale głosem wielkim.

I jako żywot Imię pana Symchy Borucha się skończył, tak się i te o nim ksiąg pięcioro zamyka, enocie bohatera na cześć, sprawiedliwości na świadectwo, potomnym na wzór do naśladowania.

K O N I E C.



83242 / 1

Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

<i>St. Kozłowski</i> „ Taboryci ”, dramat w pięciu aktach	tom	1
<i>T. T. Jez</i> „ W Zaraniu “, powieść	tomów	3
<i>E. Goncourt</i> „ Bracia Zemganno “	tom	1
<i>T. Padalica</i> „ Powieści Ukraińskie “	„	1
<i>Edm. Rostand</i> „ Cyran de Bergerac “, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów	2
<i>Irena Mrozowicka</i> „ W płytkim prądzie “	tom	1
<i>Jonas Lie</i> „ O Zachodzie “, powieść norweska „	„	1
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i> „ Krystyna “	tomów	2
<i>H. Andersen</i> „ Bajki i Opowiadania “	tom	1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

<i>Józef Bliziński</i> „ Obrazki “	tom	1
<i>Artur Gruszecki</i> „ Szarańcza “ powieść na tle stosunków szląskich	tomów	3
<i>Juliusz Breton</i> „ Artysta “ (Savarette)	tom	1
<i>Jan Lam</i> „ Wielki Świat Capowic “	tomów	2
„ Głowy do poztoty “	tomów	4
<i>J. W. Goethe</i> „ Reineke-Lis “	tom	1
<i>Stanisław Pilecki</i> „ Dwa głosy “	tom	1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów),

<i>Marya Konopnicka</i> „ Pod prawem “ powieść	tom	1
<i>Teofil Lenartowicz</i> „ Poezye “	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „ Nowele “	tom	1

15/10

<i>Adolf Dygasiński</i> „W Kielcach“ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . . .	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „Nowele“	tom	1
<i>Józefat Nowiński</i> „Biała gołąbka“ poemat dramatyczny w 5 aktach	tom	2
<i>Marek Twain</i> „Bajeczki dla starych dzieci“ przełożone z oryginału przez <i>Ali- nę Świdorską</i>	tom	1
<i>Michał Synoradzki</i> „Muszkietierowie króla jegomości“ romans historyczny. . .	tomów	4
<i>Eliza Orzeszkowa</i> „Jędza“	tom	1

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb. 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale III-gim roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Klemens Junosza</i> „Żywota i Spraw Imć pana Symchy Borucha Kalkugła“	tomów	2
---	-------	---